

Oleś Honczar

# BRZEG MIŁOŚCI



**Oleś Honczar (ur. 1918) na  
Połtawszczyźnie, wybitny pro-  
zaik ukraiński, znany jest pol-  
skiemu czytelnikowi z nastę-  
pujących pozycji przekłado-  
wych:**

**CHORAŻOWIE**

**CZŁOWIEK I BRONŃ**

**CYKLON**

**SOBÓR**

**TAURIA**

**TRONKA**

Oleś Honczar

# BRZEG MIŁOŚCI



BRZEG  

---

MIŁOŚCI

Tytuł oryginału ukraińskiego

БЕРЕГ ЛЮБОВІ

Oleś Honczar

# BRZEG MIŁOŚCI



tłumaczył:  
Stanisław Edward Bury

wydawnictwo lubelskie

Okładkę, obowlutę i kartę tytułową  
projektował

JERZY KOSTKA

Redaktor

ANNA ŁAZUKA

ISBN 83-222-0017-X

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie  
Lublin 1979

## 1

W białe, oślepiające dni wczesnego lata dziewczęta z miejscowej uczelni medycznej prowadzą na terenie fortecy zajęcia z obrony przeciwlotniczej. Młode medyczki w ciężkiej odzieży ochronnej, z noszami, z przezuconymi przez ramię torbami Czerwonego Krzyża, rozproszone na fortemnym pustkowiu, ze śmiechem poruszają się w domniemanej strefie radioaktywnej, walcząc z ćwiczebną „śmiercią”, i ciągle kogoś ratują, ratują...

Teren między wałami fortemnymi doskonale nadaje się do takich zajęć: doły, pagórki, chwasty. Każdego lata archeologowie pracują w tych dołach, a na pagórkach pasą się kozy kosmicznej ery. Forteca, budowla z rzymskich lub jeszcze wcześniejszych czasów, nikogo już od dawna nie odstrasza. W strzelnicach gnieźdzą się ptaki. Na wieżach turyści pozostawiają swoje autografy. Okazale forteca prezentuje się tylko od strony morza: już z daleka rysuje się jej sylwetka na skalistym urwisku nad limanem, nad białym miasteczkiem winnic. Jest w jej wieżach jakaś tajemni-



czość, jest czyjaś pamięć, jest echo dawnych namiętności...

Tam, gdzie kiedyś Rzymianie lub Turcy zgrzytali zębami, ciągnąc do warownych budowli swoje ofiary, dziś młode medyczki biegają wesoło między wałami, śmiejąc się oczami do przechodniów przez przeciwgazowe maski. A w przerwach między zajęciami siadają na murach, chłodząc się podmuchami wiatru oraz lodami, kupowanymi przy wejściu do fortecy; w swoich białych fartuchach wyglądają jak stado gęsi. Są zmęczone, ale pełna napięcia praca daje im wiele satysfakcji, jak gdyby rzeczywiście udało im się kogoś wyratować. Wśród śmiechu zaczepiają żartobliwie archeologów, którzy kopią w pobliskim dole, lśniąc spocnymi grzbietami jak rzymscy niewolnicy w kamieniołomach. Rycerze nauki ciągle w czymś grzebią, wciąż czegoś szukają, obojętni na wszystko, z wyjątkiem swoich odwiecznych skorup.

— No, powiedzcie, co tam było u tych starożytnych? — wołają medyczki. — Czy znali miłość?

— A kino było?

— A dlaczego wygnali aż tak daleko swego poetę?

— Piewcę miłości... Barbarzyńcy!

Na murach śmiech, odpowiedzi od archeologów brak.

Jakby w ogóle nie słyszeli, pochłonięci pracą. Muszą pracować w zaduchu, w spiekocie. Pochyleni, zaaferowani, rzadko który spojrzy w tę stronę, gdzie jaśnieją na murach figlarne dziewczęce twarze i migają w słońcu smagłe zgrabne nogi w oczekiwaniu na wieczorne tańce.

Jeśli zajęcia prowadzi ulubiona wykładowczyni Wira Konstantynowna, uwaga młodych medyczek skupia się wyłącznie na niej. Niedawno powróciła z dalekiego kraju na południu, gdzie przebywała z misją

Czerwonego Krzyża — to takie interesujące, proszę nam jeszcze opowiedzieć, Wiro Konstancyjnowo, o tym złotym Bengalu, gdzie zimują nasze żurawie... To przecież kraina poetów, kraina wiecznej wiosny, miłości, czarnych oczu, oślepiających uśmiechów i poezji ruchu kobiecych rąk, które potrafią urzec nawet węża... Oto wyprężył się pionowo jak napięta czuła struna i porusza głową śledząc tancerkę, która też jak wąż wije się blisko niego w tańcu, potrząsając ramionami jak rozszalała Cyganka w swoich licznych spodnicach...

Jednak Wira Konstancyjnowna nie jest dziś skłonna do opowiadania: oczy smutne, twarz zamyślona. Ale kiedy wreszcie przemówi, to w wyobraźni dziewcząt jawi się już nie beztroski taniec, lecz tłum głodnych dzieci i wycieńczonych matek oraz wyciągających się ze wszystkich stron, kościstych i pokrytych strupami rąk, które wołają o pomoc... Punkt Czerwonego Krzyża pracuje przez całą noc, jest bez przerwy obleżony, ani na chwilę nie milkną lamenty, rozdajesz i rozdajesz tym nieszczęśliwym swoje leki i porcje żywności, jednak potrzebujących ciągle przybywa, i sama już padasz z nóg ze zmęczenia i wyczerpania podczas tych bezsennych nocy bengalskich, których piękna nie zdążysz dostrzec... Wiecznie zielony mityczny eden, skąd mają się wywodzić nasi prarodzice.

Lepka, duszna noc. Za brezentem twego namiotu stękają i jęczą powaleni cholera ludzkie; wreszcie ciebie samą, nieludzko zmęczoną, powali sen. Męczą cię jakieś zmyły, zjawia się baba-jaga w białym medycznym fartuchu — otwierasz oczy, a na skrzyniach z lekarstwami i żywnością waruje jakaś poczwara, dla której na próżno szukać nazwy. Ale to tylko mały gad bengalski, podobny do polnej jaszczurki twojego dzieciństwa. Może to daleki przodek tego węża, który

kiedyś skusił Ewę? Sprężył się, wpatruje się w ciebie z napięciem... Skoczy czy nie? Nieszkodliwy czy śmiertelnie jadowity?

A potem śmigłowiec unosi cię w najdalsze rejony, a ziemia pod tobą wszędzie zalana przez olbrzymią powódź, nie ma gdzie wylądować, a kiedy wreszcie znajdzie się takie miejsce, to znów czeka cię to samo: wilgotne powietrze tropiku i las wyciągniętych do ciebie rąk, i wołanie o ratunek w przerażonych oczach nie znanych ci ludzi.

— Wiro Konstantynowno, a co pani tam czuła?

— Czułam, dziewczęta, że muszę, że mam powinna. No, jak to się mówi, że powierzono mi misję...

Mówi spokojnie, dla nich jest to już głos frontowego żołnierza, którego fotografia — uśmiechniętej, bardzo młodej dziewczyny w czapce uszance — widnieje na honorowej tablicy w ich medycznej uczelni. Tak kiedyś wyglądała ta oszroniona teraz siwizną, z przygasłym spojrzeniem kobieta o twarzy nie pierwszej już młodości. Czyżby one, jej wychowawice, miały się stać z upływem czasu podobne do niej?

Chłuba uczelni Inna Jahnycz, celująca uczennica, a poza tym poetka (jej pieśń wykonuje chór uczelniany), która stojąc na uboczu wpatruje się uważnie w zmarniałą twarz wykładowczyni, pyta ją poważnym tonem:

— Czy to prawda, że wszędzie, gdzie przebywamy, pozostawiamy część swego serca?

— Chyba tak.

— O, to bardzo niebezpieczne — ironizuje Switłana Wusyk, przyglądając się w lusterku swym długim rzęsom. — Tu częśćka, tam częśćka... Czy nie wynikną w związku z tym sercowe ubytki?

— Szczodremu sercu ubytki nie grożą — odpowia-

da wychowawczyni nieco urażona i odwraca się w stronę limanu.

Wira Konstantynowna milknie, jednak dziewczęta jakby odczytywały snujące się w jej głowie myśli:

...Zawsze wam powtarzam: nie żałujcie serca dla dobrej sprawy. Może zdarzyć się tak, że którejs z was przyjdzie wkrótce doświadczyć tych tropików, wówczas przekonacie się, do czego zdolne jest ludzkie serce... Pośród wezbranych wód powodzi będzie lądował samolot Aeroflotu z bagażem darów Czerwonego Krzyża dla powodzian. I betonowego pasa będzie tak mało, że przy lądowaniu będzie skwierczeć guma na kołach podwozia samolotu i trzeba będzie gasić płomień gaśnicami. I nie będzie żadnej innej wody tylko zanieczyszczona mikrobami, i nie będzie żadnego straszniejszego słowa od określenia epidemia, i nawet ciebie ogarnie rozpacz w obliczu rozmiarów nieszczęść, powszechnego brudu, antyśanitarnych warunków, w obliczu chmury rozsadników najstraszliwszych chorób — a jednak, pokonując rozpacz i zwątpienie, ciągle od nowa będziesz stawiała do walki, ryzykując na każdym kroku życiem, chociaż chce ci się żyć nie mniej, dziewczęta, niż wam...

Gdzieś szaleją epidemie, ryczą sztormy, a tu taka oślepiająca cisza. Z rzadka przemknie „Meteor” obsługujący wybrzeże, gdzieś na horyzoncie pojawi się czółno i zniknie w morskiej dali. W znacznej odległości od brzegu tkwi nieruchomo znajoma barka, wysysając z morskiego dna czarny piasek na budowę. W innym miejscu już od wielu dni pracują nurkowie, wydobywając drobnicowiec, który zatonął zbombardowany w 1941 roku. Płynął ze zbożem, w jego ładowniach było pełno pszenicy, która podobno zachowała się w dobrym stanie, tylko szerniała. Próbując dostać się do tej pszenicy nurkowie zupełnie przypadkowo

natrafili na ruiny antycznego miasta, które swego czasu też znalazło się pod wodą; zainteresowali się nim oczywiście pracujący w pobliżu archeologowie.

Życie upływa tu medyczkom dość monotennie. Tylko raz lub dwa razy w roku pojawia się na horyzoncie szkolny statek żaglowy „Orion”, płynąc dokądś lub powracając skądś z uczniami szkoły morskiej na pokładzie, niedosiężny stąd, z wybrzeża, jakby w stanie nieważkości, jakiś nierealny jak przybysz z baśni lub dziewczęcych snów. Przepłynął, rozplynął się, znikł. Medyczki długo jednak pamiętają ten dzień.

Wszystkie dziewczęta otrzymały już przydział miejsca pracy. Przyszłe pielęgniarki i felczarki rozjadą się w różne strony; jedna cieszy się z przydziału, druga jest mniej zadowolona, ta wychodzi z komisji z uśmiechem, tamta zalewa się czarnymi (z tuszu) łzami. Innie sprzyjało szczęście, opuściła gabinet uśmiechnięta, chociaż ostatnio rzadko bywa w dobrym nastroju — są po temu delikatne powody.

— Nie wiem, gdzie tam kto, bo ja do Kurajówki! — powiedziała wesoło do przyjaciółek.

Zgodnie z życzeniem. Dla większej pewności jeszcze przedtem przewodniczący kurajowskiego kołchozu zgłosił zapotrzebowanie na nią w rodzinnej wsi, co przyczyniło się w znacznej mierze do takiego właśnie przydziału. Przecież interweniował nie byle kto, bo sam Czerednyczenko, znany w całym okręgu był znakomity kombajnista, a teraz przewodniczący najlepszego kołchozu na całym wybrzeżu, Bohater Pracy Socjalistycznej — któż ośmieliłby się nie spełnić jego życzenia?

Inna chyba naprawdę się cieszy, że wraca do domu i będzie wypędzać choroby ze swoich kurajowskich ziomków. Wkrótce pomknie jednym z tych „Meteorów”, wzbijających pieniste fale, pozostawiając in-

nym tę swoją dziewczęcą fortecę z jej kozami i siwym burzanem. Powita ją inny krajobraz: otwarty nadmorski step, równy jak boisko piłkarskie, z niską smugą łądu i widoczną z morza warstwą gliny pokrytej czarnoziemem, kruszoną co roku przez jesienne sztormy, wraz z trawą i korzeniami perzu.

Z twoimi stopniami, Inko, mogliby zaproponować ci coś lepszego — powiedziała Kława Prychodko, która wprawdzie przyjaźniła się z Inną, jednak zawsze trochę jej zazdrościła. — Gdzieś do jakiegoś luksusowego sanatorium wśród magnolii i cyprysów... A oni ciebie do Kurajówki.

— Sama o to prosiłam. I nie żałuję.

Ogarnęła ją jednak wątpliwość: czy rzeczywiście nie żałuje? Czy ten kurajowski wariant okaże się dla niej szczęśliwy? Może się jednak rozmyśli, ale będzie już za późno?

Kurajowska perspektywa rysowała się przed nią dość wyraziście: będą przychodzić do niej mechanicy z krwawiącymi zadraśnięciami na rękach, będzie zmywała ze świeżych ran stepowy kurz, bo skleczenia przy pracy nie należą niestety do rzadkości, zwłaszcza w nocy; będą przychodzić kobiety ze swoimi zadawnionymi chorobami, emeryci będą natarczywie domagać się dla siebie nieśmiertelności, będzie musiała walczyć o każde łóżko w tej zagęszczonej lecznicy, bo dopiero teraz ma zapaść decyzja o budowie własnej. Tak, kłopotów jej nie zabraknie, nie będzie się tam nudzić...

— Ten wasz złoty Bengal, dziewczęta — powiedziała Wira Konstantynowna — to pojęcie względne... Złoty będzie tam, gdzie najbardziej na was czekają.

Jak w porę się odezwała. Jahnycz podziękowała wykładawczyni milczącym spojrzeniem. Bo właśnie Kurajówka czeka na nią. Ojciec, matka, rodzina... I jeszcze ten, którego zakochane spojrzenie odczuwa mi-

mo dzielącej ich odległości, ten, do którego pisywała nocami pełne tęsknoty listy — niekiedy wysyłane, a niekiedy podarte na strzępy i rzucone z tych murów do limanu.

## 2

Pieśń nazywała się „Brzeg miłości”. Powstała podczas jednej z tych nocy, kiedy po wyjeździe z Kurajówki ogarnęła Innę przemożna tęsknota za rodzinną wsią i męczyły ją jakieś trwożne przecucia. Wydawało się jej, że tylko ten emocjonalny wybuch, stop bólu, spowiedzi i wezwania, tylko magia uczucia, przetworzonego w śpiew, pomoże jej zatrzymać to, co tak bardzo bała się utracić. Nie o laury jej chodziło, nie próżność popchnęła ją do twórczości; to co napisała, zrodziło się z najgłębszej duchowej potrzeby.

Przy każdej okazji Inna podkreślała, że pieśń ta należy nie tylko do niej, przecież dziewczęta pomogły dobrać melodię, zaś na papierze nutowym została zapisana dzięki pomocy znajomych wykładowców ze szkoły muzycznej — właśnie dzięki tym zbiorowym wysiłkom pieśń weszła na scenę i w życie. Mimo tej autorskiej skromności sława Inny Jahnycz jako poetki umocniła się, chociaż nie obeszło się, rzecz jasna, bez złośliwych docinków na temat „nowo objawionej Safo” i „kurajowskiej Marusi Czuraj” \*.

Niespodziany sukces w lokalnej skali nie wpłynął na jej sumiennosc w nauce i wykonywaniu praktycznych zajęć, bo jednak nie pióro, lecz strzykawka pielęgniarzki wydawała się jej ważniejsza i pewniejsza

---

\* legendarna ludowa poetka ukraińska z XVII w. (przyp. tłum.)

od wszystkiego. Pieśń pieśnią, ale czeka na nią codzienna wyczerpująca praca, więc dziewczyna przygotowywała się do niej z całą kurajowską cierpliwością i zawziętością.

Życie lubi cierpliwych — pamiętała o tej nauce ojca i wewnątrz ją akceptowała, jednak fakt odkrycia w sobie nieoczekiwanego talentu nie minął dla Inny bez śladu; nieraz przyłapywała się na gorącym pragnieniu, by pieśń jej poderwało i poniosło w świat, żeby doleciała do uszu tego, któremu stanie się od niej lżej. Wyobrażała sobie, jak mu teraz ciężko i jak trudno mu przywyknąć do miejsca, w którym się znajduje. No cóż, ma to, na co zasłużył, pokutuje za winę, którą sam wyznał w sądzie. Szalał na motocyklu, na swojej zwariowanej „Jawie”, po całym wybrzeżu, tak długo, aż najechał na grupę dzieci z obozu pionierów. Oczywiście nieumyślnie, jechał zbyt szybko i nie zdążył już zahamować, ale czy jest to usprawiedliwienie? Poza tym był nietrzeźwy.

Inna nie lubi go, kiedy jest pijany, nie cierpi! I matka, i sąsiadki perswadują: z kim się związałaś? Chuligan, łobuz, a ty jesteś pierwsza w uczelni, będziesz lekarzem... Słuchała i w wielu sprawach przyznawała im rację. Kiedy jednak wspomni te jej pierwsze przeżycia miłosne, gdy razem kąpali się w mierzei w zabronionej strefie (dla niego nie ma zakazanych stref), gdzie biały piasek nie dotknięty ludzką stopą, tylko ślady ptasich palców widnieją, gdzie lśniaca fala przyływu wysokości dorosłego człowieka wali wprost na ciebie... Tam właśnie rozkoszowali się we dwoje samotnością, kąpali się i psocili, obryzgując się wzajemnie wodą. To tam po raz pierwszy wziął ją na ręce i wyniósł z wody, z świetlistej fali, i niósł bardzo delikatnie i ostrożnie, obcałowując po drodze... I tych jego rąk, wcale nie brutalnych, nie chuligańskich, lecz tak



czułych, pieśczośliwych, nie potrafi zapomnieć, bo to ręce miłości... Przed ich siłą i delikatnością ustępują wszystkie argumenty, wszystkie głosy rozsądku i trzeźwości.

Rzadko do niej pisywał stamtąd. Rzadko i zawsze jakoś aluzyjnie. Lecz wkrótce skończy się już jego kara i spotkają się znowu w Kurajówce. Jakim powróci stamtąd, co przyniesie w swym sercu? Wnętrze rozjaśnione świadomą pokutą, głód czystego uczucia — czy też ordynarne nawyki i cyniczne słowa na ustach?

To ją teraz niepokoiło najbardziej. O nim najczęściej myślała, gdy wychodziła z dziewczętami na mury fortecy, ciepłe jeszcze po upalnym dniu. Chyba i w Kurajówce zatęskni nieraz za tymi wieczorami w fortecy, za tymi starodawnymi murami, wypolerowanymi w ciągu lata do połysku przez zakochane pary. Z morza wieje lekki wiatr, wokół śmiech, nie denerwuje tranzystorowa muzyka i czeka się jak daru przyrody na tę chwilę, kiedy księżyc wytoczy się z mroku, gdzieś z głębin pranocy, wszędzie i wyściele na morzu swą czarodziejską migotliwą ścieżkę.

Forteca liczy już dwadzieścia lub więcej wieków, tysiąclecia minęły od czasu, kiedy po raz pierwszy przybiły do tych brzegów uzbrojone żaglowce rzymskie. W proch obróciło się to, co było Augustem i jego legionami, ruiny fortecy stały się poligonem archeologów i miejscem tańców, wszystko zmienił niezwykły czas, nie zmieniona pozostała tylko ta migotliwa ścieżka na morzu, ścieżka zakochanych i poetów. Kiedy wschodzi księżyc i ścieżka wyłania się powoli z perłowej nocnej wody, z rozedrganego księżycową poświatą mroku — milkną nawet najwięksi krzykacze i gaduły, a dziewczęta jeszcze mocniej tulą się do swoich nurków, ich oczy zasnuwają się w zamyśleniu księżycową mgiełką, bo oto przychodzi ta osobliwa chwila, kiedy

sama przyroda uwieńcza odwieczny akt tworzenia. Jak olbrzymie staje się morze w taką księżycową jasną noc, jak rozprzestrzenia się...

Zrodzona w ciszy oderwała się od horyzontu nocna latarnia nieba — i znów wzmógł się gwar. Jeden z nurków wystawia na mur torbę z piwem, inni śmiejąc się popisują się przed dziewczętami swymi sukcesami, osiągniętymi w ciągu dnia.

— Ktoś tam miał ochotę zatapiać, a do nas należy wydobywanie tego.

— Zamawiajcie, dziewczęta, co mamy dla was wylowić z morza! Rzymski statek ze złotymi dukatami, a może turecką galereę? Na razie, co prawda, musimy wydobywać statek ze zbożem...

— Już tyle dni wydobywacie to zboże, a ono ciągle na dnie.

— Bo to nie takie proste, jak się wam wydaje. Nawet wyrostek robaczkowy wyciąć niełatwo, a tu musi się jeszcze pracować pod wodą. Jak ci na własną głowę z uszami nagwintują jeszcze jedną głowę metalową, i jazda w dół, w głębiny, to myślicie, że to spacer? Siedzi przed tobą na dnie jakieś zamulone, włochate straszdyło, i zgaduj teraz, z której strony do niego podejść. Najpierw trzeba hydromonitorem przebić pod statkiem tunele i wprowadzić tam pontony, a potem pompować w nie powietrze. Tylko że wpierw musi się przeleźć przez ten tunel pod statkiem. A nie takie to proste, kiedy wiesz, że wisi nad tobą ze dwa tysiące ton żelastwa...

Chłopak zamachnął się, by wyrzucić pustą flaszkę po piwie gdzieś za mur, w to swoje morze, gdzie w dzień pracuje jako nurek, ale stojąca w pobliżu dziewczyna chwyta go za rękę.

— Gdzie rzucasz?! Tam się dzieci kąpią!

— Przepraszam. Jesteśmy dzikusy...

— Nie ma się czym chwalić.

Gdzieś z dołu dolatuje pluskanie i wrzawa; to pod murami dzieci rybackie kąpią się przy księżycu, dokażują, bawią się jak młode delfiny.

Podchodzą młodzi archeologowie. Okazuje się, że wcale nie są tacy drętwi. Wystrojeni, ogoleni (niektórzy nie noszą brody), zapraszają grzecznie dziewczęta do tańca w takt muzyki z zachrypniętego tranzystora, a później, zaspakajając ich ciekawość, opowiadają o tym, co tam w ciągu dnia wykopali.

— Spodziewaliśmy się znaleźć miecz centuriona — pokpiwają — a wydobyliśmy zardzewiałą blaszkę wielkości kopiejki. A może to miecz tak został zżarty przez korozję, że zmalał do rozmiarów blaszki?

— No, ale to jednak z dna morskiego — przypomina rosły archeolog-nurek. — W całości zachowała się tylko helleńska smoła i kalafonia w skorupach amfor...

— Prócz tego mamy jeszcze jedną stelę z białego marmuru z napisem.

— A co tam napisane? — pyta jedna z dziewcząt.

— To już nasz poliglota, Rosawski, rozszyfruje — nurek skinął na chudego brodatego chłopca, który chyba wstydził się swojej zwichrzonej „naukowej” brody.

— Już rozszyfrowałem — rzekł skromnie.

— No i co oni nam piszą? — naciera Switłana Wusyk.

— „Urodziłam się z matki Atenki i ojca z Hermionu — recytuje poliglota, nie spuszczać oczu z Inny Jahnycz. — Mam na imię Teodora. Widziałam wiele krajów i pływałam po całym Poncie, bo mój ojciec i mój mąż byli żeglarzami. Zaiste szczęśliwe były moje dni, upływające pośród miłości i muz. Po urodzeniu córki, podobnej do mnie, jeszcze jako zupełnie młoda, pełna nadziei i życia, porzuciłam ten słoneczny świat, przenosząc się do świata wieczności — Hadesu...”

— A co dalej? — pyta Inna wzruszonym głosem.

— Dalej marmur jest uszkodzony.

Inna zna tego chłopca. Medyczki często spotykają się z archeologami w powiatowym domu kultury. Chłopak nawet czymś ją pociąga (tylko nie brodą!), ma takie jasne dziecięce oczy, które zapalają się natchnieniem, kiedy zaczyna mówić o swoich grodziskach, o poezji antycznych stepów, o złotym pektorale czy o innych najnowszych znaleziskach. To, co dla kogoś jest tylko skorupą lub blaszką, dla niego przedstawia wartość unikalną; i można słuchać godzinami, gdy zacznie doszukiwać się w wykopanych przedmiotach jakichś magicznych czy nawet religijnych treści, w przedmiotach użytkowych dostrzegać amulety, które miały chronić stepowego Scyta przed złymi siłami, złym spojrzeniem, porażką i innymi przeciwnościami losu. Rosawski był przekonany, że archeologiczne zainteresowania Inny mają głębszy charakter, dostarczał więc jej książek o antyku i albumów z pięknymi reprodukcjami artystycznych wyrobów dawnych mistrzów z czasów, kiedy człowiek czuł się jeszcze bliski ptakom i zwierzętom, roślinom i ziarnom, leśnym i wodnym bóstwom...

Dziewczynę istotnie interesował ten świat rozszalałej antycznej fantazji, poetycznych miłości i dzikich bachanalii; świat, w którym ten chłopak czuł się tak pewnie i swobodnie. Miał komputerową pamięć, potrafił deklamować całe poematy Owidiusza i traktaty antycznych autorów. W dniu, w którym się poznali, recytował Innie z pamięci duży fragment dzieła Hipokratesa „O powietrzu, wodzie i ziemi”, a teraz przekazał tak sugestywnie zapis tej Teodory, płynnie, nie zaczynając się — czy rzeczywiście dopiero teraz go rozszyfrował, czy czytał go już gdzieś przedtem? I dlaczego przede wszystkim do niej zaadresował to posłanie ze starożytności? Jak odległe czasy, a mimo to Innę po-

ruszyła do głębi ta spowiedź młodej kobiety z zamierzonej epoki, o naturze niewątpliwie wrażliwej i poetyckiej; zaprzyjaźniłyby się chyba, gdyby ją spotkała w swym życiu...

A jednak się spotkały — poprzez tysiące lat! Kiedy przekazywał ten zapis, tekst nabierał w jego ustach jakichś dodatkowych, znaczących podtekstów. I chłopak nie odrywał od niej oczu. Ostentacyjnie wyróżniał Inną spośród jej koleżanek i właśnie do niej skierował to dojmujące zwierzenie Teodory... Ale dlaczego do niej?

Kiedy po pewnym czasie archeolog stał już obok niej i pochylony nad murem zaczął mówić o antyku, Inna i tym razem wyławiała głębsze podteksty przeznaczone tylko dla niej. Z ciekawością słuchała o Scytach, o ich odwadze i rycerskości, opiewanej jeszcze przez Owidiusza. A Scytyjki, sądząc z ozdób, miały nie być jaki smak! Wręcz elegantki stepowe!

— Ale dlaczego ona nazywa się wieżą Owidiusza? — Inna wskazała na najwyższą wieżę. — Czyżby Owidiusz mógł tu przebywać?

— Dlaczego nie? — ożywił się chłopak. — Badacze oczywiście uważają, że nie był tu nigdy, ale ja mam w tej sprawie odmienne zdanie. Jestem przekonany, że jego lekkie rzymskie sandały stąpały po kurzu i śniegu tej fortecy. Bo czy istotnie już wszystko zostało zbadane? Czy rzeczywiście nie można już oczekiwać odkrycia jakichś nowych, ważkich faktów? Miejscem jego zesłania była, jak wiadomo, Istria, dzisiejsza Zadunajszczyzna, ale kto mógł mu zabronić zbadać również całą ówczesną Północ i zwiedzić nasze obecne ziemie? Mógł zresztą podróżować samowolnie, jak Szewczenko, który wbrew carskim zakazom wyruszył wraz z ekspedycją dla zbadania Jeziora Aralskiego... Oczywiście najłatwiej powiedzieć: nie był. Troi też nie było, dopóki nie znalazł się śmiałek, który wybrał się

tam i odkopał ją spod wiekowych nawarstwień. I tylko dzięki temu, że uwierzył epickim poematom Homera. Dlaczego i w tym wypadku nie może zdarzyć się coś podobnego? No bo pomyślmy: skąd poeta ma tyle wiadomości o stepowych plemionach, o Aborygenach, którzy wówczas osiedlali się na tym wybrzeżu? Jest przecież stwierdzonym faktem, że miał on wśród Getów prawdziwych przyjaciół, nawet próbował pisać w miejscowym języku... Nie, nauka nie powiedziała jeszcze w tej sprawie ostatniego słowa. Owidiusz będzie jeszcze wpisany do historii tych ziem!

Pasja, z jaką mówił młody archeolog, podobała się Innie. Czuło się, że nieraz już przemyślał nad tym, ma na te sprawy własny pogląd, kieruje się własnym, a nie pożyczonym rozumem. I widać było, że te dawne plemiona, które utonęły w powodzi wieków, nie są mu obojętne, że szuka w nich swego rodowego korzenia i jakby je przed kimś broni.

— Szkoda, że ci, co wznosili te kurhany, nie umieli pisać, chociaż to też jest właściwie problematyczne — ciągnął dalej z zapałem. — Umieci czy nie umieci, ale stali duchowo na wysokim poziomie. I Owidiusz, który ich poznał, stwierdził to właśnie.

— Zauważyłam, że Owidiusz nie jest panu obojętny...

— Nie zasługuje na obojętność! Pani też powinna przeczytać w oryginale jego poematy. Ale jest jeszcze wiele spraw nie wyjaśnionych. Co, powiedzmy, oznacza u Owidiusza ten tajemniczy ptak Ibicus, jakiś zaszyfrowany symbol, którego światowa nauka nie potrafiła dotąd wyjaśnić? Okryte są również tajemnicą same przyczyny zesłania poety, ten dziki i niezrozumiały gniew wszechmocnego Oktawiana Augusta... Jak pani widzi, wiele tu jeszcze pozostało znaków zapytania...

Kiedy mówił o gniewie rzymskiego cesarza, czuło się, że jego samego przepętnia gniew na Oktawiana za jego samowolę. Komu jak komu, ale cesarzom nieraz dostawało się od tego chłopca, nie oszczędzał ich. Nie ukrywał, że jego sympatie są po stronie tych, którzy już wówczas uprawiali tu winorośl, uczciwie pracowali i zaorywali odłogi, co prawda jelenim rogiem, bo innych narzędzi wtedy jeszcze nie było... A ci rzymscy rozbójnicy wyciągali ręce aż tu. Na jednej z płaskorzeźb widać wyraźnie, jak kłują miejscową ludność swoimi krótkimi mieczami, a jednego brodatego olbrzyma powalili na ziemię i zakuwają go w łańcuchy: będą mieli jeszcze jednego gladiatora... I nie tylko tego się nie wstydzili, ale chwalili się tym jeszcze na płaskorzeźbach, bandyci! I jeszcze rzeź ludności upamiętnili pomnikiem, postawionym w stepie za Dunajem. Wiadomo jednak, jaki los czeka grabieżców i ich fałszywą sławę: bo oto minęły wieki i potomkowie gladiatorów, stepowi pasterze, rozwlekli na wszystkie strony ich białe marmury i zrobili z nich koryta do pojenia bydła. Taki sam los spotkał Kolumnę Trajana: służy do pojenia owiec. Później, rzecz jasna, nasi archeolodzy pozbierali to wszystko, pościgali do muzeów, dla nas takie rzeczy są niezwykle cenne, można jednak zrozumieć i tych, którzy — jakby dla wyrównania rachunku krzywd — poją owce w białych imperatorskich marmurach!

Chłopak uspokoił się dopiero wówczas, gdy zmienił temat i zaczął opowiadać o znalezisku swoich zadunajskich kolegów: odlany z brązu fantastyczny smok, jakaś straszliwa chimera, która bezsprzecznie kryje w sobie tajemnicę jakiegoś symbolu. Olbrzymi ten smok pokryty jest łuską, ma lwi ogon i głowę owcy lub psa...

— Ale włosy i uszy ludzkie! A na pysku jakiś dziwny, ledwie dostrzegalny grymas przypominający uśmiech... Co on oznacza? Kto może na to odpowiedzieć? Kryje się tu jeszcze mnóstwo zagadek. Ale czy i my sami nie jesteśmy dla siebie zagadką?

— Dlaczego pan tak sądzi?

— A czy dla pani wszystko do końca jest zrozumiałe? Więc proszę mi wyjaśnić, dlaczego jaskiniowy człowiek potrafił tak szybko się dźwigać i po jakich szczeblach wspinał się z tych mrocznych praczasów do swoich szczytowych osiągnięć? Na ile się zmienił, a w czym pozostał taki, jak był w starożytności? Zamienił jeleni róg na traktor, galerę na statek kosmiczny, ale czy zniknął w człowieku niepokój i pociąg do odwiecznych tajemnic?

Było już późno. Księżycowa ścieżka wyraźnie się oddaliła, stopniowo zanikając. Może właśnie tą ścieżką przybył kiedyś do tych brzegów Owidiusz, a potem oddalił się nią stąd, pozostawiając po sobie legendę? Młodzież rozpięzchła się już na wszystkie strony, pod wieżami i murami majaczyły samotne pary. W takie ciepłe, księżycowe noce, które Inna tak lubi, wydaje się, że samo powietrze przesycone jest miłością. Wszędzie rozlegają się gorące szepty, wszędzie się całują, nie zwracając na nic uwagi, splatają się dłonie i obejmują ramiona w omdlewających uściskach, oczy wypromieniowują do oczu miłosne fluidy, pełne autentycznego lub udanego oddania...

W jedną z takich nocy powstała tu właśnie pieśń „Brzeg miłości”. Może i dziś coś by się narodziło, gdyby nie ten archeolog. Już czas na niego, powinien już iść ostrzyć na jutro swą archeologiczną łopatkę, ciągle jednak nie potrafi odejść od Inny. On również patrzy na księżycową ścieżkę, jakby i ją chciał rozszyfrować



i rozciąć nożem archeologa ten zwiewny mariaż księżycy i morza.

— Podobno otrzymała pani już przydział? — pyta po dłuższym milczeniu.

— Tak, wkrótce pożegnam się z uczelnią.

— Pojedzie pani do Kurajówki. Wzywa brzeg miłości...

— Skąd pan wie?

— Wiem wiele o pani. Tylko że pani nie chciała dołączyć dostrzec mojego zainteresowania.

— Dziwne.

— Nie ma w tym nic dziwnego. Ludzie szukają skarbów, jednak nie zawsze tam, gdzie one się znajdują. A one są może właśnie pod nami, o tu, gdzie stoimy, pod warstwami pyłu i śmieci.

— Znów mówi pan zagadkowo.

— Skarb jest zawsze zagadkowy. Gdzieś tam leży i lśni w mogilnej ciemnicy swoimi złoceniami... Spojrzysz na kurhan i aż ci dech zapiera: jest tam czy go nie ma? Jeszcze nie odkryty, jeszcze zaledwie możliwy, a już nas intryguje, niepokoi... Miałem jednak na myśli inne skarby... Niech pani znajdzie, Inno, skarb cenniejszy od ludzkiej szczerości, przyjaźni i oddania, od... pierwszej spontanicznej miłości, którą ktoś nosi w sobie tajemnie i która tak nieudolnie... szuka... pani!

— Niezupełnie rozumiem.

— Żąda pani jasności, ścisłości, wyrazistości? Nie wiem, jak trzeba mówić w takiej sytuacji, Inno... Kiedyś stosowało się w takich wypadkach odpowiednią formułę: oddaję pani moją rękę i serce! Rozumie pani? Niech je pani przyjmie, nie odrzuca ich, Inno — wyciągnął do dziewczyny rękę.

— Pan chyba żartuje — powiedziała, chociaż była przekonana, że to nie żarty.

— Rękę i serce — powtórzył zmienionym, twardym,

ostrym głosem. — I zapewniam panią, że pani nie pożałuje. Wszystko zrobię, góry przeniosę, żeby tylko rozkwitł pani talent!

Wierzyła jego słowom, wierzyła w szczerość jego nieoczekiwanych oświadczeń. Pochlebiało jej nawet, że jej skromna osoba wywołała u archeologa taki wybuch uczucia. Kto wie, czy nie jest to właśnie ta chwila, kiedy rozmiijamy się z własnym losem? Ze spokojnym uśmiechem wysłuchuje jego słów, które inną dziewczynę mogłyby uszczęśliwić. Może właśnie na tym wale popełnia teraz błąd, który będzie kiedyś opłakiwała? No cóż, już dawno wiadomo, i nie ona to wymyśliła: serce nie sługa... A on ciągle jeszcze mówi o jej świeżym, nieprzeciętnym talencie...

— Pan mówi o tej pieśni...

— O pani. Wydaje się, że pani sama nie zna jeszcze własnych możliwości. Kiedy pierwszy raz usłyszałem ten pani „Brzeg”, powiedziałem sobie: to poetka! Wyjątkowa, autentyczna. Tak, tak, może nawet i Safo, może nasza współczesna Marusia Czuraj, której dane było opiewać właśnie to wybrzeże... Nie epigonka, nie bezkrytyczna konsumentka, lecz prawdziwy twórca. Nawet nasz legendarny Owidiusz też by panią tak ocenił.

— Ho, ho, jak szczodrze... Czy pan nie przesadza?

— Nic nie przesadzam. Wiąż między wiekami jest silniejsza, niż to sobie wyobrażamy. Nieśmiertelna gałąź twórczości, to bezsprzecznie najpewniejsza realność, której nic nie złamie, nad którą nawet czas nie ma władzy.

Dziewczyna rozkwitała od jego komplementów, cóż mu jednak mogła odpowiedzieć?

— Pan jest chyba dobrym i wielkodusznym człowiekiem. I szczerze jestem panu wdzięczna za to wszystko... Też chciałabym dla pana szczęścia.

— Moje szczęście to pani.

— Proszę tak nie mówić... Jest przecież tyle innych dziewcząt.

— Inne dziewczęta mnie nie obchodzą. Nie chcę powierzonych, zmanierowanych, zbyt praktycznych, wyzbytych wszelkich marzeń...

— Nie wszystkie są takie.

— Możliwe. Ale pani, Inno... I co ja mam teraz robić... Czym panią poruszyć? Chce pani, bym padł na kolana?

Było widoczne, że istotnie zaraz uklęknie. Zupełnie jak w jakiejś sztuce teatralnej.

— Zmieńmy temat, dobrze? To nie ma sensu.

— Dlaczego?

— Czy to tak trudno się domyślić?

Domyślił się. Zamilkł, spochmurniał, ściskając w męczącym napięciu obu rękami kamień.

— Mam odejść?

— Tak.

— Nie boi się pani zostać sama?

— Chcę zostać sam na sam z Owidiuszem — uśmiechnęła się z ulgą.

## FANTAZJA KSIĘŻYCOWEJ NOCY

*Widziała zupełnie wyraźnie, jak szedł morzem, zbliżając się coraz bardziej do brzegu. W długiej rzymskiej todze, w sandałach ze sznurowaniem do połowy łydek, kroczy powoli księżycową ścieżką po jej migotliwej powierzchni. Wędrowiec — z Wiecznego Miasta na wieczne wygnanie.*

*Powitała go wietrzna, lodowata pustka. Wszystko było tu niezwykle: i bezkresne przestrzenie, i wycie nocnej wichury, i zdziwały wygląd załogi, powracają-*

cej z murów fortecy w sięgających do pięć ośnieżonych baranich i wilczych skórach. Trudno było rozpoznać w niej Rzymian, tak bardzo upodobniła się do barbarzyńców. Nawet centurion, dowódca tej załogi, potężny i dzielny wojak, zarośnięty jak zwierz, którego ciało już dawno nie widziało łaźni i nie zaznało aromatycznych maścideł, w cuchnących skórach przypominał raczej barbarzyńskiego pasterza wołów niż obywatela sławnego Rzymu.

Owidiusz też wnet upodobnił się do nich. Widywano go, wielkiego poetę rzymskiego, kiedy wychodził czasami w zwierzęcych skórach na mury fortecy i stał tam samotny, wpatrując się w bezkresne i tajemnicze stepy.

Aż tu się zatrzymał, na wygnaniu gdzieś na końcu świata, niedosiężnym dla jego potężnych bogów i niedostępnym dla wesołych kochanek znad Tybru. Wszechwładny Rzym wie, na co skazać poetę, który popadł w nietaskę: nie na wypicie kielicha wina z trucizną, nie na afrykańskie lwy na arenie koloseum — skazuje go na zapomnienie, na samotność, na zagubienie się przez to dożywotnie wygnanie wśród kry i śniegu, gdzie nie ma i nigdy nie będzie potrzeby obcowania z poezją.

Już nie istniejesz, poeto. Oddany na pastwę tych barbarzyńskich zim zginiesz tu bez wieści i wściekłe getyjskie wiatry rozwieją po tym wybrzeżu subtelne tkaniny twoich złotem tkanych poematów. Nigdy nie wyrosnie dla ciebie na tym wybrzeżu wieniec z wiecznie zielonego lauru! Miast wieńca scytyjskie mrozy raczej wykują ci sarkofag z granitowych brył lodu, podobnych do białego ferraryjskiego marmuru.

Zamiast opiewanych przez ciebie, bliskich ci bogów, którzy tak beztrósko porzucili cię w biedzie, witają cię na tych brzegach inni bogowie — bezlitośni

bogowie Północy, którzy z wściekłością rozpętują straszliwe zawieruchy, uderzające z dziką siłą, pogrążając na długo stopy w nieokiełznanym szaleństwie żywiołu. Nie po rzymsku świszczą i wyją miejscowe wichury; ślepnie od śniegu załoga, ślepnie przestrzeń, niewrażliwa na twe ofiary, głucha na twe skargi i żale, obojętna na twe słodkie poematy, przepojone winem miłości. Już za życia stajesz się świadkiem własnego umierania. Twoja patrycjuszowska młodość знаła wszystkie rozkosze życia — przyjaźni i sławy, pieśczęt miłosnych i rozpusty. Gdzie jest to wszystko, gdzie sława i wieńce z upragnionego wonnego liścia? Nie wdzięczny, przeklęty przez ciebie Rzym zapomniał o wszystkim, szydząc z twego śpiewu, jesteś teraz zwykłym śmiertelnikiem, żywcem wyzutym z życia, z czasu, z ludzkości. Bo ludzkość — to Rzym, innego świata nie potrafisz sobie wyobrazić. I odtrącono cię od niego. W swej olśniewającej nieosiągalności ulotnił się gdzieś ze wszystkimi swoimi wspaniałościami, swymi bogami i ołtarzami ofiarnymi, z nocami ucztujących bez ciebie muz i nienasyconych pieśczęt. Wszystko bez ciebie, tobie pozostała już tylko piekąca gorycz wspomnienia.

I, być może, tęsknisz teraz tak bardzo nie tyle za Rzymem, co za bezpowrotnie przeżyтыми tam latami. Bo już zbliża się starość. Ale ona nie przyniesie ci w rekompensacie należnego temu wiekowi szacunku, lecz jedynie ból samotności. A byłeś przecież ulubieńcem losu, złotousty i wytworny, powszechnie lubiany tonąłeś w rozkosznych objęciach rzymskich heter i upajających woniach lauru. Na twoją cześć wino rzeką się lało, miałeś mnóstwo różnych przyjaciół — szczerych i obłudnych, wiernych i dwulicowych; teraz pozostał ci już tylko groźny, nieubłagany gniew Oktawiana.

Augustus Octavian, princeps senatus, ten sam, który bawił się kamyczkami z dziećmi niewolników, z ma-

łymi niewolnikami... I ten, który cudze żony z patrycjuszowskich rodów zaciąga wprost z uczt na swoje rozpustne łoże... Udając się później do swej małżonki Liwii już z góry musi obmyślać różne pochlebne kłamstwa. Złoty Augustie, dawny przyjacielu, posyłam ci z tego wygnania moje przekleństwo, chociaż — być może — kiedyś znów będę błagał twej łaski i zmiłowania i śpiewał hymny pochwalne na cześć tego, którego moc odczuwa się aż tu na tych wałach, a jego miecz sięga aż do tych barbarzyńskich brzegów, umocniwszy i tutaj wieczystą potęgę Rzymu.

Tu są tylko półludzie. Dzicy, prymitywni, podstępni, wylaniają się od czasu do czasu z głębi stepów w swoich dziwacznych skórach i czapach, jakich rzymskie oko nie widziało. Tak, to półludzie, jakieś nieuchwytnie centaury, bo koń i jeździec u nich stanowi jedność. Nigdy nie widzieli Wiecznego Miasta. Tylko niektórzy trafiają do niego jako niewolnicy, w łańcuchach. Gdyby pozwolono mu wrócić nad brzegi Tybru, opisałby ich całą fantastyczną dzikość, rzeźbiłby na białych marmurach postaci tych zagadkowych istot z łukami i śpiewającymi strzałami. W swej posiadłości ustawiałby te rzeźby wśród oliwkowych gajów na publiczny pokaz i by ucieszyć, być może, twoje oczy, ceszarze!

Bardzo mnie znieważyłeś i ciężko ukarałeś. Żyję teraz wśród zwierząt i półzwierząt, wśród gepardów, dzikich kotów, hoźych stepowych antylop i ociężałych turów, które pasąc się groźnie na mnie spoglądają. A tutejsi koczownicy też swoim uporem przypominają turów. Rzucono mnie tu na pożarcie wścieklej samotności. I chyba ma rację twój centurion, mówiąc do mnie: „Słaby, nieodporny na tutejsze warunki, zginiesz tu, a wraz z tobą zginie pamięć o tobie. Bo tylko cesarowie żyją wiecznie!”

Zginę, zginę... Nie pozostawię po sobie śladu. Ta zi-

*mna, niezmierna, nieromantyczna pustynia wszystko pochłonie. Nie powrócą do Rzymu nawet prochy poety Owidiusza, forteczna załoga wymuruje nad nim ciężki lodowy sarkofag.*

*Centurion okazuje ci szacunek, bo poetycka sława Owidiusza Nazona dotknęła swym skrzydłem również jego; ma nadzieję, że wcześniej czy później Oktawian przebaczy tobie, piewcy chwały Rzymu, a wówczas napiszesz poemat, w którym wspomnisz i o nich, tych surowych i dziczałych żołnierzach, którzy tu, na najdalszych krańcach, skazani na barbarzyńców, strzegą siły i trwałości rzymskiego imperium. Wspomnij o nich chociaż półsłowem, poeto, bo miecz to tylko siła, a pieśń — to nieśmiertelność.*

*Niekiedy ciągną od stepów po śniegach ci półludzie, pędząc przed sobą bydło, by sprzedać je załodze. Targ odbywa się na krach limanu, na których nawet jeździec mógłby cwałować na koniu. Chociaż to brodaci półludzie, to jednak umieją liczyć denary, nauczyli się nawet kląć najprawdziwszą łaciną. Bywa, że rozchodzą się przyjaźnie, zdarza się jednak, że o owczy ogon wszczytna się bójka, idą w ruch miecze i batogi, gorąca krew tryska na marmurowe kry, jakiś brodacz leci głową w dół do przerębli, będzie odtąd koczował gdzieś tam w głębinach morza.*

*Owidiusz nie ma do nich żalu. Przygląda się spokojnie, jak wiążą łańcuchami tego młodzieńca z koczowniczego plemienia, który podczas targów o bydło domagał się sprawiedliwej ceny, a potem rzucił się do bójki i klął z wściekłością po łacinie.*

*A potem przysła wiosna, zmiotło gdzieś chmury i odkryło się niebo takie wysokie, takie błękitne jak niebo Italiki. Nastął właśnie tymczasowy rozejm między wojowniczymi plemionami a najeźdźcami rzymskimi, więc Owidiusz mógł bezpiecznie zapuszczać się w ich*

stepy. Był urzeczony pięknem tej barbarzyńskiej wiosny, morzem czerwonych kwiatów, które przybywający tu botanicy będą nazywać przez tysiące lat scytyjskimi tulipanami. Owidiusz czuł, jak ożywa jego zlodowaciała dusza. Przedzierając się z rzymskiej katastrofy przez nieprzenikniony mrok rozpaczony dotarł wreszcie do przystani spokoju. Z samego jądra burzy uszedł ze strzelistymi, nie uszkodzonymi masztami. Ta wiosna, te bezkresne przestrzenie przywracały jego duchowi jasność i moc. Czuł się silny. Błąkał się nieuzbrojony po stepach, wdawał się w rozmowy z jeźdźcami, z pasterzami wołów. I nie bał się już ich, okazało się, że zdolni są do przyjaźni, do żartów, że przejawiają mądrość. I właśnie wtedy dokonał sam dla siebie odkrycia, że ma przed sobą ludzi. Ci ludzie wieczorami rozpalali wspaniałe ogniska, częstowali Rzymianina pieczonym mięsem, owczą bryndzą i miodem, a potem śpiewali. A potrafili śpiewać bardzo pięknie. Śpiewali jak Orfeusze, jak jego dawni bogowie, nie — piękniej od nich. Takim śpiewem obdarzały jego beztroską młodość nad brzegami Tybru tylko jego rzymskie kochanki-harfistki w przejrzystych muślinach.

— Nie przelewaj więcej ich krwi — powiedział później centurionowi. — Schowaj miecz, zawrzyj z nimi pokój. Ci ludzie umieją śpiewać.

I nawet on, zwykły prostak, żołnierz, który umiał tylko ścinać głowy, zrozumiał tym razem Owidiusza i postuchał go, nie wiadomo tylko, czy na długo.

Pewnego wieczora poeta ruszył wraz z nim w step. Świeciły nad nimi gwiazdy, a oni siedzieli przy ognisku, gdzie w miedzianych kotłach na trójnogach, które miały zachować się przez wieki, gotowała się prosta koczownicza strawa. Step przywykł bronić się przed najeźdźcą, jednak tego wieczoru, mimo iż kunsztownie karbowana zbroja lśniła groźnie w blasku ogniska, nie



było żadnych kłótni, ciągle wybuchał przy ognisku przyjacielski śmiech, a matki-koczowniczki, zupełnie niepodobne do wilczyc, karmiły piersią swoich pucotowatych stepowych Romulusów i Remusów.

Nie było jeszcze Sarmatek ani Połowczanek, jeszcze nie było wesółych Słowianek, miały się dopiero w przyszłości narodzić, a stepowe ognisko już płonęło dla nich wesóło, wokół niego zaś wirował ich praojciec, taniec ognia, pobrzękując ozdobami, a ich pramatka pieśń tknęła się już z ludzkiej zadumy, ciszy i gwiazd. Publiusz Owidiusz Nazon wciągał z rozkoszą w płuca suche, pachnące stepem powietrze. Mądrymi oczyma, które już tak wiele widziały, wpatrywał się w tańczącą przed nim młodą dziewczynę ze złotymi ozdobami, która zaćmiewała urodą wszystko, czym kiedykolwiek upijał się kiedyś podczas rzymskich bachanalii.

— Nazwę cię Danae — powiedział jej, gdy skończyła tańczyć. — Daję ci imię bogini, bo jesteś równa bogom.

— Nie godzi się córce pierwszego spośród plemion nosić cudze imię. Mam własne.

— Jakie?

— Ibis. Mam imię ptaka, którego nigdy nie widziałeś i o którym nigdy nie słyszałeś.

Gdyby tego wieczoru powrócono mu młodość! Gdyby ta młoda tancerka i śpiewaczka mogła go pokochać, wynędzniałego, postarzałego, zapomnianego przez wszystkich wygnańca!

A jednak go pokochała. Niczego się nie bojąc i przechodząc spokojnie między mieczami żołnierzy zjawiała się na murach fortecy przy tej samej wieży, która od tego czasu nazywa się wieżą Owidiusza. Przynosiła mu lecznicze stepowe zioła, które mogły wyleczyć nie tylko z najgorszych nawet rzymskich chorób, ale i ze starości. Pierwsza medycyka tych czasów, natchniona

swoim czystym uczuciem, postanowiła odmłodzić poetę dla twórczości i miłości.

— Pokochała cię dlatego — powiedział centurion — że jesteś Rzymianinem, że bronią cię fortece i ciężki miecz u twego boku.

— Nie za to — odpowiedziała dziewczyna.

— A za co?

— Bo jesteś pieśniarzem — zwróciła się do wygnańca. — Dusza twoja jest pełna światła. Słowem przemieniasz wszystko w piękno, od twojego słowa rozkwita mój step. Za to musi się pokochać.

— Ależ ja zostawiłem swoją młodość w Wiecznym Mieście. Moje rzymskie kochanki już się zestarzały, a tyś taka młoda... I żadnym bogom nie uda się wyrównać naszych lat. Patrz, ta oto moja siwizna nas rozdziela.

— Nie chcę, żeby rozdzielała. Bo jesteś przecież Owidiuszem, twoja poezja nie zna starości. Dusza twoja jest zawsze młoda, dlatego cię kocham!

Słowa te brzmiały w jej ustach jak najpiękniejsza pieśń. Czuł, jak dzięki niej odradza się. Czuł, jak w jego żyłach zaczyna pulsować gorąca i młoda krew.

Czym ci się odwdzięczę, młoda uzdrowicielko? Wprowadzę cię taką, jaką jesteś, do mego hetyckiego poematu, może ostatniego już poematu w moim życiu. I będziesz w nim wiecznie młoda, wiecznie piękna, jak niebo, jak ten wasz wiosenny, rozkwitający step. Będziesz rozkwitać w moim słowie dalekiego ci języka, i przeżyjesz nas oboje o umierających ciałach bezbronnych wobec Chaosu. Będziesz trwać poprzez wieki i czas będzie bezsilny wobec twojej młodości!

W jej czarodziejskich ziołach, w jej natchnionej pieśni miłosnej było istotnie coś uzdrawiającego, jakaś cudotwórcza, czarnoksiężska wręcz siła. Bo Owidiusz zmienił się w oczach, załoga zauważyła, że odmłodził i

*nabrał sił, nic teraz nie było mu straszne, i tylko on jeden wiedział, skąd zjawilo się w nim po raz pierwszy to poczucie nieustraszonej postawy poety...*

3

Było już późno, wszyscy porozchodzili się, umilkły tranzystory, tylko cykady koncertują niez mordowanie.

Pochylona nad murem Inna słucha w zamyśleniu. Morze pociemniało, księżycowa ścieżka zgasła, czerwona latarnia księżycza dopala się na zachodzie za miasteczkiem, za wzgórzami, gdzie w dzień byłyby widoczne winnice; tylko gwiazdy świecą jasno. Żegnajcie wzgórze, żegnajcie złociste, jędrne grona, nalane słonecznym sokiem.

Nieraz Inna pracowała tam z dziewczętami, kiedy całą szkołą wychodziły pomagać w jesiennych pracach. Były to piękne dni, w pracy tej Inna dostrzegała wiele poezji, bo czy nie jest poetycki obraz smagłego i wesołego człowieka ze słonecznym gronem w ręku? Ciekawe, czy winna latorośl rosła tu za czasów Owidiusza? I czy mieszkali wtedy ludzie tam w dole, u podnóża fortecy, gdzie teraz jaśniej światłami miasto, siedziba władz rejonowych. Typowe miasto południowe, wapienne, w dzień oślepiająco białe, tonące w kwiecie akacji, z białymi domami o oknach okolonych zielenią winorośli. Podczas studiów Inna zżyła się z tym swoim białym grodem, z jego antyczną — jak się jej zdało — bielą, i teraz, kiedy zbliżał się czas rozłąki, chciałaby wierszem przekazać mu jakieś pożegnalne słowa wdzięczności. Czuje, jak wzbiera w niej smutek rozłąki z miastem, z uczelnią, z tymi ponurymi, zupełnie nieromantycznymi wieżami, gdzie wszędobylski turysta pozostawia swoje barbarzyńskie ślady.

Gwiazdy płoną coraz jaśniej, morze ciemnieje, i chociaż prócz mroku nie ma tam niczego, dziewczyna jakby czekała na coś: zdaje się jej, że tam, gdzie z wieczora jaśniała księżycowa ścieżka, tej nocy może się coś zjawić.

Wpatruje się w gwiazdy. Poczowała na twarzy powiew wiatru. I gdy w końcu zbierała się do odejścia, na dalekim horyzoncie światła reflektorów straży granicznej wyłowiły z mroków morza jakiś żaglowiec. Kto jeszcze nie spał, mógł to zobaczyć: w snopach światła, pod pełnymi żaglami, powracał z rejsu „Orion”.

#### 4

Żaglowiec szkolny „Orion” wracał mocno poturbowany, dziewczyna nie mogła jednak widzieć z murów fortecy jego świeżych ran, odniesionych podczas ostatniego ćwiczebnego rejsu. Dopiero później brygady specjalistyczne z wydziału remontowego stoczni będą mogły zarejestrować jego ciężkie uszkodzenia i postawić nieomylną diagnozę. A gdy zrobią co trzeba i wygoją jego rany, wypuszczą swego ulubieńca w nowy, może jeszcze trudniejszy rejs.

Byli w rejonie Malty, kiedy zaskoczył ich gwałtowny sztorm o wścieklej sile, zupełnie tu nie spotykany o tej letniej porze roku. Uczniowie nie zmrużyli oka już dwie noce, raz po raz wypadali z kubryku w nocny szkwał, by zmienić wyczerpanych do ostateczności towarzyszy lub też pomóc im. Wydawało się, że nie ma już ocalenia dla żaglowca, rzucało nim jak drzazgą, z ciemności szły ciągle na niego nawałnicą góry wody o wadze tysięcy ton, i nowicjuszom żeglarskim wydawało się cudem, że go dotąd nie zmiażdżyły i że „Orion” na przekór wszystkiemu ciągle jeszcze

utrzymuje się na falach. W takie noce szczególnie dojmująco odczuwa się, jak przepastne są morskie głębie i jak gęsty i nieprzenikniony jest mrok.

Kapitan miał pełną świadomość niebezpieczeństwa, w takiej sytuacji nawet praktykant rozumie, że te same żagle, które tak płynnie i lekko niosły „Oriona” w pogodne dni, teraz mogą stanowić dla niego śmiertelne niebezpieczeństwo; każdy z nich wsłuchuje się więc w trwodze, jak huczą nad nim pod uderzeniami huraganowego wiatru napięte żaglowe płótna, więc nie dziwią nikogo nawet najsurowsze rozkazy, bo oto nastąpiła ta rzadka noc krańcowego zagrożenia, kiedy w wyznaczonych uprzednio miejscach przy każdym maszcie i takielunku bez przerwy dyżurują młodzi marynarze z nożami, gotowi na pierwszy sygnał ciąć żagle, obcinać własne, strudzone skrzydła, żeby chociaż w taki sposób osłabić ich działanie.

Tej nocy Jahnycz doznał poważnych obrażeń. Fala rzuciła go przez cały pokład między liny, omal nie zbiła go za burtę, i kiedy podbiegli do niego młodzi żeglarze, nie mógł bez ich pomocy nawet się podnieść. Chwycili go pod ręce i zawiedli do lazaretu. Jednak i tam czuł się nadal źle, stękał i pojękiwał, czego chłopcy nigdy u niego nie słyszeli. Był to zły znak. W noc ciężkiej próby unieszkodliwiło i powaliło najlepszego majstra i jedyne go w istocie, niezastąpionego znawcę sztuki żeglarskiej. Tego, który podczas rejsu uczył praktykantów, i którego doświadczenie stanowiło dla nich wręcz magiczną siłę.

Przemoknięty do nitki wił się teraz z bólu i klnąc chwycił się za brzuch. Ginał Jahnycz, umierał majster. Atak ślepej kiszki czy czegoś tam innego tak starego skreślił, że wielu kursistów straciło już nadzieję: to już koniec. Śmierć człowieka zawsze sprawia silne wrażenie, a tu przecież miał ich opuścić majster Jahnycz,

miał porzucić ich, nowicjuszy, w najcięższej sytuacji, oddać na pastwę nocnych żywiołów. Niedobry to znak! „To rzeczywiście jakiś zły omen” — pomyśli mimo woli niejeden spośród młodych, bo morze wpędza niekiedy marynarzy w tak beznadziejne sytuacje, że nawet współczesny, inteligentny chłopiec zaczyna wierzyć w stare marynarskie przesady.

Więc Jahnycz jako niezawodny psycholog i wychowawca widocznie nawet teraz nie zapomniał o tym, co dzieje się w myślach kursantów i co by się stało z nimi, gdyby nagle tak głupio oddał ducha. Nie, on nie ma prawa porzucać teraz swojej wachty!

I kiedy lekarz okrętowy zaproponował natychmiastową operację, Jahnycz wychrypiał tylko:

— Możecie krajać...

Mimo że medycyna była w jego przekonaniu jednym wielkim oszukaństwem, natychmiast podstawił się pod nóż. Młody lekarz kazał przywiązać chorego do koi, następnie przywiązano również jego samego, trwający nadal sztorm uniemożliwiał bowiem operowanie bez tych niezbędnych zabiegów. Słysząc było stękanie, krzyk, przekleństwa, jakieś zwierzęce wycie. Całe jestestwo Jahnycza protestowało przeciw tej operacji, która w jego przekonaniu miała go wyrzucić na opak. W innej sytuacji nigdy nie zgodziłby się na coś takiego, więc fakt, iż teraz oddał się pod nóż, został przyjęty przez załogę jako ostatni jego podarunek dla nich. Jak poradzą sobie bez niego w taką noc?

— Różnijcie!... Nie, nie różnijcie! — chrypiał coraz bardziej, i zdawało się, że w tym nieprzytomnym charczeniu i bełkocie nie ma żadnego sensu; tylko obecny przy operacji oficer polityczny rozszyfrował ten bełkot jako przedśmiertną wolę starego i jego wezwanie, by nie ciąć tam w górze żagli i trzymać się do końca.

Następnego dnia huragan oddalił się i spokojne już

morze zaświeciło słońcem. Kursanci, którzy po zakończeniu tego szatańskiego pojedynku z żywiołami przyszli odwiedzić Jahnyca, zastali go wycieńczonym, ale pogodnym. Chłopcy, chociaż bardzo zmęczeni, żartowali wypytyując Jahnyca, o jakiej to cioci Moci krzyczał pod nożem chirurga. Ale Jahnyca nie podjął żartu, nie było żadnej cioci Moci.

— Jak tam bezan? A grot? A fok? Nie potrzaskały? — tylko to go teraz interesowało.

— Ale było krzyku! — chłopcy nie ustępowali. — Już się wydawało, że koniec, nie ma naszego Neptuna, a tu patrzcie! Udało się wrócić z rejsu na tamten świat!

— Czy to dzięki sile woli, czy po prostu wściekł się pan na tę sytuację?

— Widocznie serce chciało jeszcze żyć — odpowiedział Jahnyca po namyśle. — Czuję, że już umieram, że to już kaput, ale jakoś nie mogę umrzeć...

Mówił cicho, z zakłopotaniem, jakby czuł się winny, że wywołał wśród załogi taki popłoch i sprawił tyle kłopotu zarówno jej, jak i temu konowalowi z nożem. Mówił o sercu, bo nie powie im przecież, że pozostał przy życiu przede wszystkim przez nich i dla nich, nie mógł bowiem porzucić żółtodziobów w tę najcięższą dla nich noc. To dla nich właśnie położył się pod nóż, przez nich nie umarł, żeby tylko nie załamali się i spróścili tej pierwszej najtrudniejszej próbie. Serce samo wie, kiedy powinno chcieć żyć!

Rejs tymczasem trwał, żaglowiec wziął kurs na rodzinne brzegi. Wkrótce musieli zabrać po drodze z tratwy greckich rybaków, którzy nawet kiedy byli już nakarmieni i przebrani w sportowe stroje kursantów, ciągle nie mogli przyjść w pełni do przytomności; w trwającym jeszcze zamroczeniu nie mogli zrozumieć,

w jaki sposób udało im się już po zatonięciu łodzi szczęśliwie ucześć się tej nędznej tratwy i wytrzymać do czasu wyłowienia ich przez „Oriona”. Lekarz udzielał im teraz pierwszej pomocy i już nie stękanie Jahnycza napełniało kubryk, lecz on sam musiał słuchać, jak młody kędzierzawy Grek, któremu robiono zastrzyk, coś jękliwie bełkocze w swoim języku, co zresztą we wszystkich mowach brzmi jednakowo. Uratowanych rozbitków mieli wnet wysadzić w Pireusie, podobnie jak świeżo operowanego Jahnycza na dalsze leczenie, on jednak ostro się sprzeciwił, czując się tym bardzo dotknięty.

— Jeśli jestem dla was takim ciężarem — powiedział kapitanowi — to wrzucicie mnie do morza, byle blisko naszego brzegu, żeby bliżej Kurajówki...

Kapitan uspokoił go: nie zrobią nic wbrew jego woli.

— A Kurajówka, to potęga... — dodał z uśmiechem.

Przez pewen czas Jahnycz miał się jednak na baczności, obawiając się jakiegoś podstępu ze strony „konowała”; da jakieś proszki i człowiek obudzi się w obcym porcie...

Bał się jednak nie Pireusu, lecz samotności. W tym porcie był już wiele razy, ludzie jak ludzie, chociaż innego plemienia. Jego pierwszy rejs prowadził właśnie do Pireusu; był wówczas jeszcze gołowąsym komsomolcem, dodawszy sobie lat (co pozostało już w dowodzie osobistym) wstąpił na wezwanie komsomołu do marynarki wraz z tysiącami takich jak on pucołowatych, krępych wyrostków stepowych. I tak się złożyło, że gdy tylko wszedł na pokład, ruszył od razu w rejs dla wykonania odpowiedzialnego zadania Kominternu. Zadanie polegało na tym, żeby wtargnąć znienacka do portu i bez zezwolenia władz portowych zabrać na pokład bułgarskich rewolucjonistów, zagrożonych po upadku powstania. Odszukał ich i zabrał potajemnie



tej nocy na statek. No a teraz mieliby w tym samym Pireusie jego samego wyrzucić za burtę?

Ale nie doszło do tego. Mają jednak sumienie.

On nie ma nic przeciw Pireusowi, lepiej jednak nie pokpiwać z jego Kurajówki. Bo każdy człowiek ma swój brzeg do którego tęskni i zdąża niezależnie od tego, gdzie się znajduje. Marynarze już dawno zauważyli, że nawet statek płynie szybciej, kiedy wraca do rodzinnych brzegów. Sam płynie!

Wylegując się w kubryku pod dozorem lekarza, Jahnycz wracał powoli do zdrowia, wykonując cierpliwie wszystkie polecenia „konowała”, nudził się jednak coraz bardziej. Korciło go, by się dowiedzieć, dokąd teraz płyną, jaki tam jest dzień na górze i jaki wiatr. No i bardzo był ciekaw, jak wygląda teraz „Orion” po sztormie i tych piekielnych nocach, czy podobny jest jeszcze do siebie, czy też bardzo okaleczony i zmieniony nie do poznania. Chciał też wiedzieć, jaki to statek pozdrawiał buczeniem ich „Oriona”; jakże nie pozdrawiać to cudo, nawet obcy kapitanowie już z daleka poznają go na morskich szlakach. Czy jedzie statek duński, francuski czy norweski — mijając „Oriona” zawsze zabuczy syreną, taki to już stary morski zwyczaj. I komu jak komu, ale Jahnyczowi bardzo przypadł do serca.

Kiedys przyszedł go odwiedzić kapitan, how do you do, mister Huryjowicz. Usiadł przy łóżku, zagadnął o samopoczucie, pochwalił odwagę i talent młodego lekarza, z którym chyba się przyjaźnił.

— Nieźle sobie poradził, chociaż pan, Huryjowiczu, był jego pierwszym operowanym pacjentem.

— To było widoczne, przede mną rznął tylko żaby w instytucie, a tu nareszcie dorwał się -do człowieka, miał się na kim uczyć.

— Daj pan spokój. To dobry fachowiec.

— Ale nie umiał znaleźć właściwej kieszki, wciąż ciągnął za inną.

— No nie, mówię poważnie: zuch z niego! W takiej sytuacji, przy takiej huśtawce, kiedy wszystko leciało na zbity łeb, nie stracił jednak głowy, postawił z miejsca trafną diagnozę i niemal bez narkozy...

— ...i w dodatku tępym nożem...

— Oni nie mają tępych. Dyplom dostał nie za darmo, a poza tym z odznaczeniem.

— A jednak ciągnął kieszkę nie tę co trzeba — kpił Jahnycz, po czym pogrążył się w myślach.

Widział już różnych kapitanów i różnych lekarzy. O swoim obecnym kapitanie, Janczence, jest jak najlepszego mniemania: młody kapitan ma szacunek dla wieku, umie cenić zasługi, w żadnym z rejsów nie skrzywdził starego świadomie. Janczenko jest również jednym z wychowanków Jahnycza, też terminował kiedyś na „Orionie”, i tak jak wszyscy kursanci łąził po rejach, stał przed wykładowcą z sekstansem w ręku, dokonując pomiarów wysokości słońca. Wielu ich, młodych, przewinęło się przez „Oriona”, wielu hartowało się pod jego żaglami! Szkolenie na „Orionie” trwało bez przerwy, kursanci ciągle się zmieniali, wielu spośród wychowanków Jahnycza, których ganiał do siódmego potu, szkolił, chwalił lub ganił, pływa teraz po światowych oceanach w charakterze nawigatorów, pierwszych oficerów, a nawet kapitanów; tylko on tkwi na pokładzie „Oriona”, jakby przyrósł do niego. Jest nie do zdarcia. Ciągle kroi i szyje żagle z mocnego, zleżalego, specjalnie wyprawionego, gotowanego w oleju płótna. Ale żaglowe płótno dopiero w jego rękach stawało się żaglem. Wciąż nowym i nowym, którzy przychodzą tu ze szkół morskich na przeszkolenie, przekazuje sekrety swych niezbyt skomplikowanych umiejętności: jak zawiązać taki czy inny węzeł, jak

zaczumować koniec liny, jak na stalowym końcu umocować „haszę”, co nazywa się uczenie „ogonem”... Jakby to nie było wszystko jedno: hasza czy ogon... Okazuje się jednak, że nie. Ktoś może nazywać to ogonem, ale dla niego to jest hasza — narzucił swą kurajowską terminologię całej marynarce. Dobrze, że chociaż nie zapominają o nim. Niejeden spośród tych, co przechodzili szkolenie na „Orionie”, nawet gdy wylądował w ministerstwie lub też spotkał gdzieś w dalekim porcie kolegę z tamtych czasów, nie zapomni spytać: „No a jak tam nasz Jahnycz, ciągle jeszcze wiąże węzły?”.

— Właśnie przed chwilą dostaliśmy z portu radiogram, pytali o pana — mówi kapitan. — Interesują się pańskim zdrowiem.

— Pewnie myśleli, że posłużył już rekinom za obiad... Ale, jak widzicie, jest jeszcze żywy i ciepły. Nie tak łatwo się go pozbyć.

Jahnycz patrzy na kapitana zmrużonymi oczami. Przyjemnie oglądać mężczyznę w rozkwicie młodości. Marynarz całą gębą, szkoda gadać! I wcale nie kryje się z tym, że jest zakochany w swoim „Orionie”. Młoda żona pyta go kiedyś: „Kiedy wreszcie nacieszysz się do syta tym «Orionem»?”. „Chyba nigdy” — odpowiada. Wszyscy widzą, że dumny jest z tego, iż jest kapitanem i że jemu samemu ciągle jeszcze trudno w to uwierzyć. Nie każdy ma to szczęście, zwłaszcza w tak młodym wieku, więc może dlatego jest taki sumienny w pracy i tak się nią cieszy. A kiedy wydaje komendę: „Stawiać żagle!”, to z wyrazu jego twarzy widać, że jest w „Orionie” naprawdę zakochany. A gdy żagle pójdą w górę i „Orion” załopocze nimi na wietrze jak ptak skrzydłami na niebie, to wszyscy czują się tak, jakby było to jakieś wielkie święto; a dla kapitana święto podwójne, bo to właśnie on poprowadzi

ten skrzydlaty, niezwykle, młodzieńczy statek. Stanie na mostku, spokojny jak zwykle, wyprostowany — z takim można by popłynąć nawet dookoła świata.

Zarówno przy ludziach, jak i wtedy, gdy są sami, kapitan okazuje swemu majstrowi szacunek. Kiedy się żenił, Jahnycz siedział przy weselnym stole jako przybrany ojciec. I teraz podczas tych odwiedzin nie ma w kapitanie nawet cienia zarozumiałości, radzi się Jahnycza to o to, to o tamto, słowem o wszystko, co dotyczy statku, bo „Orion” wyszedł ze sztormu z solidnymi potłuczeniami i niewykluczone, że będzie musiał pójść do remontu w stoczni.

— A co się dzieje w mojej klitce? — pyta Jahnycz o swoją żaglową pracownię. — Kto ją teraz utrzymuje w porządku?

— A któż by? Kursanci.

Już oni tam naporządkują! U Jahnycza każda rzecz ma swoje miejsce, zapasowe płótna leżą na półce dokładnie zwinięte, jak beły materiału w sklepie, na każdym płótnie żaglowym metka, Jahnycz może znaleźć po ciemku każdą najdrobniejszą rzecz, nawet igłę. Wie, gdzie leży jaka begotka, remizka czy ten naparstek do pracy, który w gwarze marynarskiej nazywa się hardaman. A jeśli gospodarzą tak bez niego, to potem nawet przez tydzień nie zaprowadzi ład w swojej klitce!

Tak idiotycznie przygniotła go wtedy sztormowa fala, tak dźgnęło go pod żebra, że nawet wyrostek robaczkowy nie wytrzymał. Nawet jeszcze teraz głupio mu przed kapitanem: skompromitował się! Jemu, weteranowi, nigdy nic podobnego się nie przydarzyło.

— Myślałem, że jestem nie do zdarcia — Jahnycz jakby się teraz tłumaczył przed swoim zwierzchnikiem. — Zęby jeszcze wszystkie całe i nie rozumiem, dlaczego bołą...

— Zdarza się — mówi kapitan, patrząc gdzieś w bok,

jakby i on był zakłopotany. — Nie pan pierwszy. Każdemu może się to przytrafić. No, ale wszystko będzie all right. Jak wrócimy, to załatwimy panu zniżkowe skierowanie na wczasy lecznicze.

— A po diabła mi to?! Nigdy nie włościłem się po kurortach...

— To już zadecydują lekarze — oczy kapitana znów uciekły w bok.

Co się z nim dzieje? Dotąd zawsze patrzył mu w oczy podczas rozmowy, a teraz...

— Nie, nie, nawet o tym nie myślcie! — oponuje Jahnycz. — Jeśli wytrzymałem pod nożem, i to przywiązany, to teraz możecie być o mnie spokojni.

— Dobrze, idziemy — powiedział kapitan jakby spokojniejszym głosem, ruszając do wyjścia. — Piękny wiatr, wszystkie żagle napięte.

Życzył Jahnyczowi zdrowia, co zwykle czynią wszyscy w takich sytuacjach, i how do you do! — pozostawiając go w męczących domysłach. Dlaczego on mówił o tym skierowaniu? Czyżby chcieli go spławić? Mieliby sumienie? Oczywiście, wiek robi swoje, w ciągu kilku dziesiątków lat przeżyło się wiele różnych sztormów. Natura obdarzyła go żelaznym zdrowiem, gdyby był młodszy, wytrzymałby nie takie sztormy, a tu ledwie się z tego wylizał. Mógłby wykitować, przywiązany tak do koi. Do Kurajówki poszedłby radiogram, a jego zaszyliby w żaglowym worku i z balastem po desce — z rozpędu — za burtę... Tym razem przemógł jeszcze sam siebie, nie poddał się, bo gdyby uległ, to byłaby zdrada. Przecież im potrzebny jest Jahnycz żywy, bez niego tu jak bez igły i naparstka, więc nie zawiódł ich jeszcze tym razem, ale jak będzie dalej? Czy stanie się dla nich już tylko Neptunem dla śmiechu lub — co gorsze — kłopotliwym balastem? Nie, nie powinni go

skrzywdzić, bo jest przecież weteranem i wszyscy wiedzą, gdzie stracił zdrowie! Nie w portowych pijatykach i mordobiciach. Szukajcie przyczyn nie w waszych głupich apendycytach, lecz w Ognioowych Rejsach. Nigdy nie wystawiał na pokaz swoich zasług, ale jeśli będzie trzeba, to brzęknie wszystkimi orderami: widzicie to? Uczestnik Ognioowych Rejsów, a wy go wyrzucacie?!

Później przez całą noc śniła mu się wojna i polarne rejsy. Płynął znów w konwojach po wodach Północy z transportem materiałów wojennych, otrzymanych od Stanów Zjednoczonych w ramach land and lease. Rejsy te były najeżone olbrzymimi trudnościami i niebezpieczeństwami. Chociaż towarzyszyły im okręty wojenne, chociaż statki były pomalowane na ochronny kolor pływających gór lodowych, jednak pewnego dnia lotnictwo hitlerowskie wykryło tę dziwną karawanę „gór lodowych”. I wówczas chyba po raz pierwszy zajrzał z bliska śmierci w oczy. W powstałej sytuacji dowództwo miało prawo zrezygnować z jednego statku, spowodować jego wybuch i zatopienie tej „góry lodowej” z zaopatrzeniem wojennym wypełniającym nie tylko ładownie, lecz i pokłady. Ale przecież fronty czekały na to zaopatrzenie, więc dowództwo nie skorzystało z tego ostatecznego uprawnienia i nie porzuciło swej „lodowej góry”, chociaż bomby sypały się już na nią z wściekłym wyciem. Jedna z nich uderzyła w komorę z dymnymi świecami. Statek pograżył się w dymie. Jednocześnie na pokładzie wybuchł pożar, zaczęły pękać beczki, napełnione jakimś tam płynnym ołowiem, rtęcią czy czymś w tym rodzaju. Ta trująca ciecz rozlała się po pokładzie, i chociaż Jahnycz zdawał sobie sprawę, czym to grozi, i ani na chwilę nie zapomniał, że w ładowniach pod nimi są również materiały wybuchowe, które w każdej sekundzie mogą eksplodować,

jednak zdecydował się natychmiast. Paniki na szczęście nie było, wszyscy trzymali się dzielnie.

A cóż to on gorszy od innych? Odganiał myśl o śmierci, bo silniejsze od niej było poczucie odpowiedzialności, które mu nakazało stanąć przy działku przeciwlotniczym i strzelać tak długo, aż atakujący bombowiec nieprzyjacielski spadnie na zбитy łeb prosto do morza. To samo poczucie odpowiedzialności kazało mu wziąć do ręki gumowego węża, którym — brodząc po kostki w rozlanej z beczek truciźnie — spychał ją i zmywał z pokładu za burtę. Wielu z nich zmarło później w szpitalu, już na lądzie. Jahnycz też otrzymał wtedy swoją dawkę, uważaną za śmiertelną; ogłuchł, ośleplł, przeleżał się w szpitalu w Igarce, wykaszłał swą dawkę i wrócił do konwoju. Nie oszczędzał siebie, kiedy trzeba było, siedł bez słowa, chociaż niekiedy wiedział, że idzie na zatracenie.

Dopiero po wojnie dowiedział się, że kiedy pływał z konwojem, w ciągu jednego dnia stracił całą rodzinę, w ułamkach sekundy utracił to, co miał najdroższego: żonę i małe dzieci. Zbombardowany został parowiec, który z rodzinami marynarzy przebijał się do brzegów Kaukazu. Dopiero znacznie później znajomy kapitan opowiedział mu szczegóły. Dowodził sąsiednim statkiem i widział na własne oczy, jak faszyci bombardują tych bezbronnych ludzi, nic jednak nie mógł zrobić, bo sam był wtedy pod ogniem.

Nie może być nic straszniejszego, niż wyobrazić sobie, jak toną małe dzieci. I nawet delfinów nie było w pobliżu, żeby przyszły z pomocą — podobno mają już taką naturę, że ratują tonących... Żona wciąż zjawia się we wspomnieniach Jahnycza jak żywa, dzieci natomiast pamięta jak przez mgłę. Wyobraźnia podsuwa dziecięce buzie, które w niemych krzyku wołają do nieba; widzi je, jak trzymając się za ręce zanurzają się

coraz głębiej, coraz głębiej... Więc zrywa się niekiedy w nocy w tym pólśnie, by je ratować i przygarnąć... Ale ręce obejmują tylko wodę.

5

Następnego dnia Jahnycz pojawił się na pokładzie. Był już wieczór — jasny, księżycowy. Na falach mi-goce księżycowa ścieżka, na kasztelu brzdąkają gitary. Na widok Jahnycza młodzież ożywia się.

— Chłopaki, patrzcie, kto idzie!

— Hurra! To nasz Neptun! Hurra!...

Wiatr ledwie dyszy, żagle lekko drżą.

Jahnycz usiadł na uboczu, na kupie lin, nie zwracając na nikogo uwagi. Chłopcy są dobrze wychowani, nie narzucają się, nie dokuczają żartami. Jahnycz lubi takie jasne morze, jakże inne niż podczas ciemnych nocy, kiedy samo jest jak noc, jak zgęszczony mrok. W takie ciemne noce czuje się pod sobą każdą głębinę, każdą otchłań morską. A teraz nawet otchłanie nie są straszne.

Jest w nim obecnie spokój tej jasnej, spokojnej nocy. Duża łysina świeci odbitym księżycowym blaskiem. Stary zadarł głowę, zaczepił spojrzeniem o takielunek, wzrok jego poszybował do gwiazd.

Przechodzący właśnie oficer polityczny na widok Jahnycza stanął jak wryty.

— To pan? Gratuluję zmartwychwstania. To rozumiem: wczoraj pod nożem, a dziś już na nogach! Wiodocznie jest jeszcze sporo oliwy, nie tak szybko się wypali. Popłyniemy jeszcze razem, Huryjowiczu, prawda?

— Popłyniemy.

— Szybkość statków wzrasta, a planeta kurczy się... Stała się już maleńka jak ta Hellada.



— Co to takiego?

— Była kiedyś tam, gdzie dziś Grecja. Skrawek, jeden okręg według współczesnej skali, ale jak daleko promieniowała! Czują się niewątpliwie kruszyną pośród nie odkrytych jeszcze ziem i oceanów. Niezbadane lądy wydawały się bezkresne, pełne fantastycznych dziwów amazonek i centaurów, półzwierząt — półludzi... I taką maleńką Helladą jest teraz nasza planeta w kontekście wszechświata z jego kosmicznymi przestrzeniami — wzrok oficera pobiegł również ponad masztami do gwiazd. — Gdyby tak wiedzieć, czy prócz nas są w tym wszechświecie jeszcze jakieś inne żywe stworzenia lub istoty myślące takie jak my... Może jesteśmy sami we wszechświecie? Sami samiuteńcy? Jeśli tak, to to nas zobowiązuje do wszechludzkiej przyjaźni i do zachowania naszej planety i wszystkiego co na tej planecie na następne miliony lat.

Wychodząc, ponownie dodał Jahnyczowi otuchy: popływamy nieraz jeszcze po błękitnych szlakach...

— A cóż to, uważacie, że jestem wśród was, młodych, starym repetentem?

— Ma pan właśnie to, co jest nam potrzebne: stop mądrości z młodością.

Pocieszył go, dzięki i za to.

Jahnycz znów jest sam. Siedzi, wsłuchuje się w coś — może w dochodzące z góry brzdąkanie, a może w jakieś inne dźwięki płynące z dołu. Kogoś szukają, ktoś się zgubił...

Na pokład wpadł lekarz, błysnęły groźnie okulary.

— Gdzie on jest, ten krnąbrny pacjent?!

Gitara umilkła. Na twarzy lekarza niepokój: z kimś jest kiepsko.

— Nie widzieliście gdzie Jahnycza?

— A co się stało?

— Uciekł.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

— Siedzi tam na linach. Zamyślił się jak Taras na zesłaniu\*.

Lekarz natarł na dezentera.

— Jak panu nie wstyd?! Wyjść z lazaretu bez pozwolenia! Szwy jeszcze nie zdjęte. Powiem kapitanowi!

Jahnycz nie reaguje, siedzi milczący jak głaz. A lekarz znów o tych szwach: potrzaskają i kto będzie wtedy odpowiadał?

— Marsz natychmiast na miejsce!

— Tylko bez krzyku. Jeszcze pan za młody, żeby na mnie głos podnosić.

— A szwy?

— Mam gdzieś pańskie szwy!

Na pokładzie znów salwa śmiechu.

— A jeśli popękają?

— Co to za szwy, że mogą popękać? Proszę zakładać takie, żeby nie pękały.

Jahnycza zabrali i sprowadzili na dół, pod skrzydła medycyny. I aż do samego portu nikt go nie widział już na pokładzie, jakby go tam na dole przykuli łańcuchami. Chłopcy nosili mu tam z kambuza jedzenie. Zazwyczaj kiedy się porządnie napracował, nie był też później leniwy w jedzeniu. A tu mu dają kaszkę manę, jak dziecku. Gdy zażądał barszczu i strączków czerwonej papryki, lekarza aż zatrzęsło.

— Jaka tam do diabła papryka! Obowiązuje ścisła dieta!

— Nie pozwalacie papryki, to przynieście chociaż ze trzy porcje kompotu z suszonych owoców. I koniecznie żeby były morele i czarne gruszki!

---

\* znany obraz wielkiego poety ukraińskiego Tarasa Szewczenki przedstawiający go na zesłaniu za działalność rewolucyjną (1847—1857)

Jahnycz był przekonany, że morele, podobnie jak czerwona papryka, a w większej jeszcze mierze pomarszczone szerniałe dule dają siłę i zapewniają długowieczność, a on chciał przecież żyć jak najdłużej.

Ciągle się złościł na lekarza. Myśli, że jak ma dyplom, to już zjadł wszystkie rozumy. A sam raz po raz chwytą się za policzek: „ale wierci!...” — to ząb tak go wierci, też mi lekarz, własnego zęba nie potrafi wyliczyć. A Jahnycz jeszcze nigdy nie jęczał z powodu zębów, nie ma pojęcia jak bołą. On ma własne, nie żadne tam sztuczne, i przednie, i tylne. Wzrok też na razie nie zawodzi, nawleka igłę bez żadnych tam ich okularów...

Którejś nocy Jahnycz nie mógł do późna zasnąć, leżał w ciemności z otwartymi oczami. W pewnej chwili usłyszał przez otwarty iluminator jakąś rozmowę. Poznał głos lekarza, który rozmawiał chyba z jednym z wykładowców szkoły morskiej, odbywających rejsy, żeby uczyć kursantów również podczas ich praktyki. No tak, to ten atleta z owłosionymi rękami, który ma zwyczaj wszystkich na statku pouczać i pcha się tam, gdzie go nie proszą. Kiedyś Jahnycz po prostu wypędził go ze swojej pracowni, żeby nie zasłaniał światła, bo sterczy jak słup, a on miał właśnie pilną pracę. Wykładowcy, to jak wiadomo ludzie wykształceni, o dużej wiedzy; jeśli natomiast chodzi o tego, to Jahnycz ciągle nie może zrozumieć, czym ten atleta wzbogaca kursantów, bo nie jest przecież specjalistą ani od żagli, ani od budowy statków, ani od aparatury. Podobno jest filozofem — jeszcze tu, na „Orionie”, diabli filozofów nadali!... A tamci gadają i gadają, dyskusja zapowiada się chyba na całą noc.

Jahnycz podciągnął się na koi, by być bliżej iluminatora, i zaczął pilnie nasłuchiwać: mówili właśnie o nim.

— Jaki to cierpliwy człowiek z tego Jahnycza — słyszy głos lekarza.

— A może to po prostu przytępione odczuwanie bólu? — odpowiada pytaniem „filozof”.

„Ale głędzi blagier!” — myśli Jahnycz.

— Nie sędzę — znów głos lekarza. — On należy do ludzi, którzy potrafią, jeśli trzeba, mocno zacisnąć zęby.

— Patrę na niego i myślę niekiedy nawet z żalem: oto on, ostatni już Mohikanin żagli, człowiek-anachronizm. Człowiek epoki, która odeszła i nigdy już nie wróci.

— Czy to nie przedwczesne horoskopy? A może ujrzemy jeszcze olbrzymie żagle na nowoczesnych tankowcach, obsługiwane elektronicznie?

— Tankowców też nie będzie.

— A co będzie?

— Nie wiem, co będzie, ale wiem czego nie będzie.

— Nieźle powiedziane. Splątane na morski węzeł.

— O węzłach również zapomnimy. I o tych wszystkich pańskich węzłowiążach... Fach wprawdzie stary, ale prymitywny.

„A ty, głędo, zawiązałeś w swym życiu własnymi rękami chociaż jeden porządny węzeł? — to znów, oczywiście, myśli Jahnycza. — Potrafisz tylko pleść jałowe węzły swym długim ozorem!”

— Nie zgadzam się z panem — słyhać głos lekarza. — Powiada pan, że ostatni. Ale gdybyśmy nawet przyjęli, że żeglarska flota dożywa już swoich dni, to przecież trzeba oddać sprawiedliwość temu zawziętemu żeglarzowi. Tyle oddania, tyle zaciętości w pracy, tyle wreszcie artyzmu i zamiłowania do tego rzadkiego już rzemiosła! Gdyby pan oderwał go od igły, od płótna żaglowego, to przestałby istnieć.

— A co tam operacja wykazała? W środku już chyba zupełnie zgnił?

— Proszę sobie wyobrazić, że nie. Organizm okazał się nad wyraz zdrowy, wszystkie wewnętrzne organy jak u młodzieńca.

— To niewiarygodne!

— Ależ tak. Rozcinałem i widziałem na własne oczy. Powiadam panu, jak u chłopca.

— On należy już jednak do przeszłości. W naszych czasach jest anachronizmem. Niech tam sobie jeszcze dyszy i gdera, ale tak naprawdę, to... pitekantrop.

— Ja bym powiedział inaczej: poeta żagli... Pierwszy spośród ich twórców, niemy piewca.

Słowa te w ustach lekarza były dla Jahnyca zupełnie niespodzianką. Patrzcie: konował, zrzęda, okazuje się jednak, że człowiek z pojęciem. Tamten takie rzeczy ci prorokuje, a ten... Ano, czas pokaże, kto ma rację.

Kiedy nocne gaduły wreszcie sobie poszły, Jahnyca westchnął z ulgą: jednak teraz nie umrze, bebechy mu jeszcze nie zgniły. Odsiecz przysłała z zupełnie nieoczekiwanej strony. Chciałby tylko wiedzieć, co to takiego ten „pitekantrop” i ten „anachronizm”. Trzeba będzie przy okazji kogoś zapytać.

Zbliżali się do portu. Wszystkich będą witać, tylko na niego nikt nie czeka, chyba że znana jeszcze z młodości kamienna latarnia morska, biejąca wysoką wieżą na wysepce u wejścia do portu. Ma wielu krewnych, w Kurajówce trudno zliczyć Jahnyców, ale wszyscy są teraz w pracy, mają własne kłopoty. Poza tym z Kurajówki jest zbyt daleko do portu, żeby gnać tam dla jakiegoś „jaksiemasz”. On oczywiście o nich pamięta, nie można powiedzieć, od czasu do czasu przekazuje radiogram: jestem zdrow, idziemy takim a takim kursem. Ale co ich obchodzi jego kursy, jego szerokości geograficzne, każdy z nich ma swoje kursy: ten na

traktorze, tamten na fermie, jeszcze inny każdego lata na kombajnie; powstały tam teraz całe „załogi rodzinne”. Nie można rzucić zboża i gnać do portu tylko po to, żeby spojrzeć na łysinę Jahnycza i na jego żylaste ręce... Niektórzy z rodziny uważają, że jest skąpy, przywozi za mało podarków, przeważnie wypchane dziwaczne ptaki i muszle dla dzieci.

W rzeczywistości nie jest skąpy i lubi przywozić prezenty, a jakie — wybaczenie, to już jego sprawa. Jest wśród jego krewnych pewna kobieta, Nelka ma na imię, pracuje w kurajowskiej piekarni. Nie jest to bliskie pokrewieństwo, siódma woda po kisielu, ale gdy on tylko przyjedzie na urlop do siostry, to Nelka pierwsza się zjawia. „Kiedy wreszcie przywieziesz mi, wuju, futro ze sztucznych nerek?”. Siostrze wiezie tym razem japońską chustkę, czarną w czerwone kwiaty, dla jej córki, Inki, taką samą, tylko w jaśniejszych kolorach, a dla innych dziewcząt gazowe apaszki. A co do futra... Nie masz się co łudzić, twoje futro pójdzie raczej na fundusz pokoju.

Jahnycz ma w porcie przyjaciela mechanika, może on wyjdzie na molo. Zaprzyjaźnili się jeszcze podczas Ogniwych Rejsów. Pochodzi z Murmańska. Jahnycz namówił go, żeby przeniósł się na południe. „Dokąd masz tam marznąć, Mykoło? Przyjeżdżaj do nas na słońce!”. A on długo się nie namyślając, jako że marynarze przywykli do zmiany miejsca, przyjechał i zamieszkał w pobliżu portu, w osiedlu marynarskim, przy ulicy Arktycznej. Zaciszenie tam, werandy porośnięte winoroślą, żelazne furtki ładnie pomalowane, a na każdej a to kotwica, a to wycięta z blachy mewa, a nawet mały blaszany żagiel. Na Arktycznej mieszkają przeważnie zasłużeni polarnicy, ludzie z północy, którzy po życiowych burzach zatęsknili za szczerym słońcem południa. Po wiecznych lodach i zamie-

ciach grzeją tu teraz zmarznięte kości, grają wieczorami w „kozła” i uczą się hodować delikatne, południowe kwiaty, jakich przedtem być może na oczy nie widzieli. W święta zbierają się, wspominają najtrudniejsze rejsy, w których zatarasowały ich lody, miażdżyło ich statki, ale nie zmiażdżyło ich samych. Już nieraz przyjaciel napomykał Jahnyczowi: osiadź i ty z nami, znajdzie się kawałek ziemi na naszej ulicy, zrobimy prasę i będziemy wytłaczać sok z owoców. Jednak Jahnycz nie dał skusić się tą prasą. Odbył już dwadzieścia cztery rejsy na „Orionie” i miałby skapitulować przed dwudziestym piątym?

Gdzieś tam na przystani czekają na orionowców żony, dzieci, matki... Kursantów oczekują narzeczone. Będą stać godzinami z bukietami kwiatów czekając, kiedy wreszcie wyłoni się zza horyzontu ten ich wspinały, śnieżnobiały żaglowiec. Najlepiej wpłynąć w pełnym słońcu oślepiającego dnia, kiedy lśnią napięte żagle — żeby ludzie mieli na co popatrzeć, no i żeby operatorzy z kroniki filmowej mieli co filmować.

Jednak po tym sztormie nie mogli robić tylu węzłów, ile się spodziewali, więc wpłynęli tym razem późną nocą, kiedy na jaśniejącym niebie zapalała się już zorza poranna.

Mimo późnej pory czekano jednak na nich na przystani. Nawet przyjaciel Jahnycza, ten mechanik, nie zasnął i przyszedł go powitać.

## 6

Jahnycz siedzi pod winogronowym żaglem i gra z przyjacielem w domino. Grają w milczeniu z namaszczeniem.

— Jeśli przegrasz po trzydziestej partii — mówi do Jahnycza mechanik — to będziesz musiał osiedlić

się wreszcie na Arktycznej. Prasa do owoców już czeka na ciebie.

Jahnycz nie odpowiada, pogrążony w tajemnych wspomnieniach.

Miał tu pewną znajomą (co prawda nazywała się nie Motia, lecz Kława, wołali na nią Kława-żeglarka), ale jej już nie zastał. Wykończyła ją córka alkoholiczka wraz z zięciem. Wdowa po zabitym pod koniec wojny marynarzu (służył jako mat na kutrze patrolowym) i sama z nie byle jakim stażem marynarskim, Kława zaczęła zajmować coraz większe obszary myśli Jahnycza. Odbył z nią dwa rejsy, jeden wokół wybrzeży afrykańskich, drugi po Morzu Śródziemnym. Kława pracowała w kambuzie, nie żałowała więc Jahnyczowi czarnych gruszek! Wyjdzie, bywało, po ciężkiej pracy ze swej pracowni — a wychodził zawsze bardzo punkualnie o tym samym czasie, co do sekundy, chociaż bez zegarka, kursanci mawiali, że można według niego regulować zegarek — i wali prosto do kambuza. Czasami zamienia kilka słów albo milczą, bo ona właśnie jest zajęta swoją pracą, więc Jahnycz usiądzie na stołku u wejścia do kambuza i patrzy, jak ona pracuje. Długo potrafił niekiedy tak siedzieć i patrzeć. I nic takiego między nimi nie było, mimo że plotkowali o nich żartobliwie to i owo. Łączyła ich po prostu przyjaźń, wynikała z potrzeby oparcia się na kimś, która jednoczy niekiedy ludzi samotnych w jesieni życia silniej niż młodych.

Nie ma już Kławy-żeglarki. Odeszła jeszcze jedna dobra dusza. Jak to mówią: pociski padają coraz bliżej...

W tym czasie żaglowiec był w remoncie. Podczas gdy fachowcy dokładnie go badali, Jahnycza ciągnano po różnych komisjach lekarskich. Jedni orzekli to, drudzy tamto, a wszystko rozpętało się w związku z tym



nieszczęsnym skierowaniem, obiecany przez kapitana; no bo to tak jakoś wyszło, jakoby Jahnycz sam walczył o to skierowanie na wczasy lecznicze i niemal podstępem chciał je zdobyć. No a jeśli skierowanie na wczasy lecznicze, to rzecz jasna trzeba zbadać go pod względem przydatności do pracy, więc jedna komisja, druga komisja... Zapisali stopy papieru, opisali dokładnie wątrobę i śledzionę, jakieś młode babska, zdrowe jak kobyły, jakby dla rozrywki kazały Jahnyczowi zamykać oczy, to znów otwierać, oddychać i nie oddychać, przysiądać i wstawać... A w „nerwowym” gabinecie bili go młotkiem po kolanie. W końcu nie wytrzymał i wybuchnął — był przekonany, że żarty z niego sobie stroją.

A jeszcze inne babska zaglądały mu hurtem w zęby, jak stary Cygan kobyle na jarmarku. I absolutnie nie mogły uwierzyć, że ma wszystkie zęby całe i swoje własne.

Tyle papierków, tyle mordęgi, i po co to wszystko? Żeby zdobyć jeszcze jeden papierek, to cholerne skierowanie, o które wcale nie prosił i które było mu niepotrzebne. Nie zabiegał wcale o nie, dajcie je chociażby własnej teściowej. On nie z tych, co wiercą dziurę w brzuchu o wczasy. A oni nie mogą zrozumieć, jak można nie chcieć takiego skierowania... No i nie może się już od niego odczepić, chociaż, co prawda, w rękach jeszcze go nie ma.

Tak mu to wszystko dojadło, że nawet on, najcierpliwszy ze wszystkich marynarzy, stracił w końcu cierpliwość.

— A idźcie wy z waszym skierowaniem wiecie gdzie?!

Zostało to ocenione jako wybryk.

A tymczasem Jahnycz nie miał ze statku żadnego sygnału. Chodził tam, oczywiście, ale panował tu taki

hałas, że trzeba było zatykać uszy. Wszędzie coś klepią, skwierczy spawany elektrycznie metal, na pokładzie rozgardiasz, mnóstwo nieznanomych robotników, rzadko można spotkać chłopców z załogi, a wszyscy spieszą się, zbywają Jahnyca, który czuje się tak, jakby tu wszystkim zawadzał i był wśród nich obcy.

Wybrałby się do Kurajówki, ciągnęło go tam, jednak odkładał to z dnia na dzień czekając, aż się dowie o terminie następnego rejsu. Tymczasem kapitan sam podobno nie wie, czy też świadomie uchyla się od wyraźnej odpowiedzi, i tą jego nieszczerą Jahnyca odczuwa jako osobistą obrazę. Jedno jest jasne: nie wolno mu teraz oddalać się zbyt daleko od „Oriona”. Kiedy wyjaśni się ostatecznie sprawa rejsu, wówczas będzie można odwiedzić Kurajówkę, złożyć — jak to czynią niekiedy okręty — „kurtuazyjną wizytę” (Jahnyca używa oczywiście tego skojarzenia żartobliwie, bo przecież nie o względy kurtuazyjne chodzi...).

Tymczasem zarzucił kotwicę na Arktycznej. Gospodarz radził mu, by nie biegał codziennie na „Oriona” i nie dokuczał im, dopóki przeprowadzany jest remont. „Nigdzie od ciebie nie ucieknie ten «Orion». Gdzie oni znaleźliby takiego roboczego konia, jak ty? Masz pooperacyjny urlop, więc siedź cicho i ciesz się przyrodą. A jeśli będziesz potrzebny, to przecież wiedzą, gdzie cię szukać”.

Jahnyca przyznawał przyjacielowi rację. Istotnie, po co ma się tam pętać podczas największego nasilenia prac remontowych. Robotnicy znają swój fach, robią lepiej od niego. No więc spędza Jahnyca swoje przymusowe wczasy pod winogronowym żaglem u przyjaciela na Arktycznej. Gra w warcaby, czyta gazety, wieczorem ma do wyboru dwa programy telewizyjne. Żyć, nie umierać, a jednak Jahnyca nie zazdrości mieszkańcom Arktycznej tego rajy dla emerytów. Co prawda,

jego przyjaciel nie zalicza się do tych emerytów, którzy zanudzą bez przerwy lekarzy i wydziały socjalne: sam zaofiarował komendzie portu swoje usługi, zrobili go teraz instruktorem na jakichś tam kursach dla mechaników, i chociaż na pół etatu, to człowiek jednak pracuje, nie czuje się wyrzucony za burtę.

Pewnego dnia, odczuwając jakiś niejasny niepokój, Jahnycz nie wytrzymał i udał się na „Oriona”, nie mówiąc o tym nawet przyjacielowi. Na statku było tym razem spokojniej, nie syczało i nie skwierczało. Jahnycz skierował się prosto do swego warsztatu. Stęsknił się za nim, chciał więc chociaż rzucić okiem, bo to przecież jego gniazdo, jego domostwo jak szalas dla owczarza.

Warsztat otwarty, a w warsztacie morda jak przetak wyszczerza szczerbate zębiska — jednego brak, a ten metalowy z boku sterczy jak wilczy kieł. Zgarbiło się to ścierwo sobacze i z jakąś bezczelną poufałością chichocze.

— Widzisz, Jahnycz, nie ma nic wiecznego na tym świecie: ciebie w odstawkę, a mnie na stanowisko.

A więc już się chyba gdzieś spotkali, może w porcie przy kasie? Tylko dlaczego tak go czymś czuć? Z pojawieniem się tego typu zmieniło się od razu powietrze w jego pracowni. Przedtem panował tu specyficzny zapach, właściwy tylko dla takiego pomieszczenia, który Jahnycz w rozmowie z kursantami określał jako szlachetny aromat: gęsta woń smoły, lin, gotowanego w oleju płótna żaglowego, a chyba jeszcze i laurowego liścia, które leży od dawna zeschnięte w kącie. Mieszanka tego wszystkiego wytworzyła woń istotnie niezrównaną, jak z czarodziejskiego ziela. Jahnycz zapewniał, że tak pachnie jeszcze tylko ciało małych dzieci.

A teraz pojawił się w pracowni jakiś kwaśny baza-

rowy fetor, który wniósł ze sobą chyba ten ryj, ten niewyszorowany przetak, szczerzący do Jahnycza szczerbate zęby. Ależ to typek! Chyba wycierał już kąty wszystkich statków, przepędzali go zapewne zewsząd za pijaństwo lub kradzieże, a oni wzięli go teraz na „Oriona”! Jahnycza to poraziło, raniło w samo serce. I zrobili to widać szybko, na łapu-capu, podczas jego nieobecności, chociaż ten cuchnący typ zapewnia Jachnycza, że posłali za nim gońca i szukają go na Arktycznej. Widać jednak, że łże, w rozbieganych ślepiach nieskrywana uciecha, że oto on jest teraz gospodarzem w tym sanktuarium Jahnycza.

Świeżo upieczony znawca żagli zdążył już nieco przemeblować pracownię po swojemu, przekładając zwoje płótna żaglowego — wprawdzie bez sensu, ale za to inaczej niż było. Ten intruz wywołał w Jahnyczu gniew i pogardę, była w nim jakaś maskowana brutalność, nachalność i dwulicowość. Jak oni mogli samą jego obecnością tak splugawić żaglową pracownię „Oriona”?! Jahnycz chciał mu czymś dopiec, okazać mu pełnię swej pogardy i lekceważenia, nie wiedział jednak, jak to zrobić. I nagle olśniło go.

— Oddaj hardaman!

Przybłąda zgłupiał.

— Co takiego? Co mam oddać?

— Nie słyszałeś o hardamanie, łapserdaku?!

No i teraz właśnie pogarda Jahnycza wypełniła całą pracownię. Pochylił się ku niemu, przyglądając się temu typowi, i zastygł w tej pozie swej niezmierzonej wyższości.

— A jak będziesz szyć? Gdzie twój żaglowy napa-  
stek?

— Trzeba było od razu tak mówić — dopiero teraz zorientował się, o co chodzi. — Napa-  
stek jest tam, w skrzynce.

— Daj go tu!

— Ale to przecież mienie...

— Ja ci dam zaraz mienie! — krzyknął Jahnycz. — To pamiątka po ojcu. Na statku wszyscy o tym wiedzą, możesz spytać nawet kapitana.

Jahnycz podszedł do skrzynki, dostrzegł od razu swój skarb i schował napastrzek do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— No a ja czym?

— Możesz nawet swoimi kłami, co mnie to obchodzi!

Tego dnia Jahnycz pożegnał się ze swoją pracownią. Zabrał swój nędzny dobytek, chłopcy z załogi pomogli mu przenieść to na Arktyczną. Pozostawił na razie na statku, w kajucie swego ziomka pierwszego oficera, tylko swój bosmański kuferek, żeby mieć pretekst przyjścia tutaj chociaż jeszcze raz, może do tego czasu opamiętają się i rozmyślą. Próbował też wyciągnąć z oficera, jak daleko sprawa zaszła, spodziewając się usłyszeć coś pocieszającego, ale chłopak, szczerze mu współczując, rozwiął raczej jego złudzenia.

— Zdaje się, Huryjowiczu, że skazany pan jest dożywno na łąd. My byśmy chcieli, ale..! Co pan tam narozrabiał na komisji?

— To oni narozrabiali, nie ja.

— Podobno nawet pan komuś nawymyślał. Nie chcą nawet słyszeć o jeszcze jednym rejsie. Urazy, niepełna sprawność, słowem: na emeryturę.

— Czy to... nieodwołalne?

— No cóż, mam kręcić przed panem? Chce pan znać całą prawdę?

— Wał, wytrzymam.

— Pańska pieśń skończona, Huryjowiczu...

Jahnycz wytrzymał, nie umarł, ale w oczach mu pociemniało. Skończona? Skończone życie? No, a wy co na to? Przecież za was umierałem...

— Gdzie jest kapitan? Gdzie oficer polityczny?

Jahnycz wyglądał tak groźnie, że ziomek wyprężył się i szybko wyjaśnił:

— Obu ich wezwano do zarządu portu, w drodze jest komisja z ministerstwa, a tu taki rwetes! Byłby już czas wypłynąć w próbny rejs, jednak stocznia nie wypuszcza, bo tu jeszcze roboty a roboty... I dokumenty dla nowych kursantów jeszcze nie gotowe, słowem, jak pan sam widzi...

— A tam kto na moje miejsce? — Jahnycz spochmurniał.

— To tylko tak, prowizorycznie, zanim znajdziemy... Sami rozumiecie, że to nie kadra, ale skąd wziąć, spróbuj znaleźć dziś drugiego Jahnycza...

Wezwano go do telefonu. Wrócił po chwili jeszcze bardziej spocony i podniecony.

— Kapitan jest już w stoczni... Może złapie go pan tam?

Jahnycz obszedł wszystkie zakamarki stoczni, aż w końcu w jednym z oddziałów spotkał ich obu. Szli, o czymś z ożywieniem rozmawiając. Ujrzawszy Jahnycza zatrzymali się, umilkli. Gdy zbliżył się do nich, nie spuszczać wzroku z kapitana, ten nagle poczerwieniał.

— Macie już mojego następcę? — głos Jahnycza drżał. — Znaleźliście lepszego kandydata?

— Nie o to chodzi. Medycyna, Huryjowiczu. Medycyna... — i kapitan rozłożył bezradnie ręce.

— Nie chcielibyśmy, ale... — dodał ze smutkiem oficer polityczny. — Sam pan wie, nie jesteśmy bogami. I proszę nie sądzić nas zbyt surowo. Wiemy, że zawiniłiśmy wobec pana tysiącrotnie.

Nie czuł do nich złości, nie zamierzał też nigdzie skarżyć się na nich, miał jednak ochotę powiedzieć im w tej chwili cicho, przenikliwym szeptem do samego ucha, w samo serce: „Rozumiem was, ale i wy

mnie zrozumcie, dobrze wiecie, gdzie są moi synowie. Zostaliście mi tylko wy, tylko ci z «Oriona». Jestem wszystek tu z wami, z «Orionem», cały, bez reszty! A wy... Ech, wy... Stop mądrości z młodością...”

7

Urządzili Jahnyczowi królewskie pożegnanie. Ci, którzy pozostali na „Orionie”, zdawali sobie sprawę, kogo tracą, i niejednen z nich czuł, że wraz z Jahnyczem traci część siebie.

Być może Jahnycz nie wszystko zrobił, żeby zostać. Miał chody i w porcie, i w ministerstwie, jego wychowankowie byli wszędzie, mógłby więc... Nie chciał jednak się naprzykrzać. Bo chociaż mieli władzę, cóż oni jednak mogli zrobić przeciw tyranii lat, przeciw tej górze zapisanych na jego niekorzyść papierków! Byli bezsilni wobec tych tryskających zdrowiem i uczonych babsztyli, które sypią swoją łaciną udając, że tak bardzo się troszczą o Jahnyca, a w rzeczywistości myślały w tym czasie tylko o swoich adoratorach. Piszą, piszą, chociaż widocznie nigdy same tego nie czytają, topiąc w papierach swego pacjenta. Dbają oczywiście przede wszystkim o własną skórę, asekurując się: a jeśli podczas rejsu z Jahnyczem coś się stanie?

Zresztą może one czepiają się nie bez racji? Bo jednak coś mu dokucza, tam ukłuje, tu zawierci, jakies zastarzałe bóle coraz bardziej dają się we znaki. I gdyby nawet znalazł się ktoś, kto obroniłby go przed biurokratycznymi szykanami, to kto obroni go przed nadciągającą starością, przed jej jesiennymi wichrami?

Była jeszcze nadzieja w lekarzu z „Oriona”, on mógłby coś wskórać łaciną przeciw łacinie, ale w dniu ich przybycia do portu otrzymał gdzieś aż z Owidiopola ze szpitala telegram, że jego matka jest umierająca.

Rzucił wszystko, wziął zwolnienie i pojechał. I dotychczas nie wrócił.

No więc — pożegnanie...

Zebrali wszystkich na pokładzie, ogłosili zarządzenie, weteranowi wręczyli wysoką premię pieniężną. Przedstawiciel portu wyraził Jahnyczowi podziękowanie, wystąpił też w imieniu kolektywu szkoły morskiej amator przemówień — ten sam filozof z oczami koloru meduzy, o tłustych i owłosionych rękach, w serdaku bez rękawów, nie stosownym dla takiej ceremonii. Głędził coś o pokonywaniu żywiołów, o pasatach i monsunach, piał z patosem o romantyce marynarskiej... Jahnycz puszczał mimo uszu te wszystkie frazesy. Od serca natomiast przemawiał oficer polityczny; przypomniawszy najcięższe rejsy, wyjaśnił młodemu funkcję i pozycję majstra na statku; jeśli już dane było komuś zostać takim majstrem, to nigdy nie straci twarzy, zawsze zachowa swą godność. Marynarz pokroju Jahnycza, orionowiec, nawet gdy włos mu się posrebrzy, przewycięży starość z jej zmęczeniem i chorobami i zawsze będzie młody, bo morski hart, specyfika jego pracy oraz poczucie marynarskiego braterstwa podobnie jak talent artysty nie starzeją się!

Zarówno kapitan, jak i cała załoga słuchali Żurawskiego w skupieniu i z nie ukrywanym smutkiem. Być może niejednen z młodych pomyślał w tej chwili, że i jemu też kiedyś będą urządzać pożegnanie, nikt bowiem nie może nam zapewnić wiecznej młodości.

Przemawiał jeszcze przedstawiciel kursantów, uczestnik ostatniego rejsu, smagły chłopak o tatarskich rysach. Nie mówił długo, podziękował Jahnyczowi za wychowawczy i szkoleniowy trud i zakończył żartobliwie: „Odchodzi pan od nas, drogi Neptunie, ale proszę nie zabierać z sobą wiatrów!”



Jahnycz wysłuchał wszystkich przemówień z kamienną twarzą. Żaden mięsień tej jakby wygarbowanej, orzechowej twarzy nie zdradził tego zamętu, bólu i tej burzy, jaka rozszalała w jego sercu. Wstał wśród młodych, czystych, odświętnie ubranych, w swoim przedpotopowym mundurze marynarskim, zapiętym mimo upału na wszystkie guziki, i odnosiło się wrażenie, że cała ta ceremonia absolutnie go nie obchodzi, zupełnie go nie wzrusza; ale czyż marynarzowi godzi się wystawiać na pokaz ten bezmierny ciężar, który gniecie go już tyle dni i nocy i który będzie już niósł do końca swoich dni? Odpływał swoje, a teraz odchodzi. Więc przyjm, człowieku, należny ci szacunek powściągliwie i z godnością, bo tu winnych nie ma, gdyż to, co spotkało ciebie, wcześniej czy później będzie udziałem każdego z nich.

Uroczystość zakończyła się wręczeniem Jahnyczowi dyplomu uznania i jeszcze jednym podziękowaniem oraz odczytaniem przed frontem marynarzy rozkazem, nadającym Jahnyczowi dożywotnie honorowe członkostwo załogi. Powiadomił o tym sam kapitan; mówił z wyraźnym wzruszeniem, pogłębionym chyba i tym, że — jak się wydaje — on sam nie zrobił jednak wszystkiego, co mógł dla Jahnycza działać w tym czasie. Powiadomiono go poza tym, że chcą mu wręczyć jakiś cenny podarek, zrobią jednak to później, bo nie mogą na nic się zdecydować. Dowcipnisie zaczęli podsuwać a to lodówkę, a to kolorowy telewizor, a to znów pralkę automatyczną, wywołując śmiech. Ale kapitan zwrócił się do Jahnycza poważnie.

— Chcielibyśmy wiedzieć, czego by pan sobie życzył.

— Podarujcie mi igłę — odpowiedział stary po chwili milczenia.

Miał na myśli oczywiście igłę żaglową.

I chociaż to życzenie mogło wydawać się śmieszne, nikt się jednak nie śmiał.

Kapitan wydał rozkaz, żeby zaprowadzić Jahnycza do pracowni żeglarskiej — niech zasłużony weteran wybierze sobie igły, jakie tylko zechce, może wziąć nawet cały komplet.

Jahnycz nie miał ochoty tam iść. Podreptał z wahaniami na miejscu, po czym odwołał na bok kapitana.

— Mogę dać pisemne oświadczenie.

— Jakie oświadczenie?

— Że ani pan, ani lekarz, ani też żadne komisje nie będą odpowiedzialne, jeśli przydarzyło mi się coś na statku... Nie żądam wiele: tylko jeszcze jeden rejs. Chociażby ostatni! Mam już przygotowane takie oświadczenie...

Kapitan zaczerwienił się.

— Drogi Huryjowiczu, nie trzeba żadnego zaświadczenia — głos jego brzmiał młodzieńczo i czysto. — Proszę teraz odpoczywać. Pan już zrobił swoje. Zrobił pan więcej, niż przypada na dziesięciu. Takiego jak pan nie było nigdy przedtem i chyba nie będzie na „Orionie” już nigdy...

Wszystko odbywało się wprawdzie uroczyście, ale w tempie. Na każdego czekała robota, nie wolno było mitrzyć czasu. No więc pierwszy oficer wręczył Jahnyczowi w obecności wszystkich — żeby w razie rewanżu można je było formalnie odpisać — komplet używanych dotąd przez niego w pracy igieł z najlepszej stali. U nóg jego stał już marynarski kuferek, wierny towarzysz i chyba rówieśnik, jego służby. Z miedzianymi narożnikami, obity rzemieniem, zamknięty na chiński zamek, który tylko Jahnycz potrafił otworzyć, stał jego kuferek wypełniony tajemnicami. Pozostawało już tylko pochylić się, wziąć go do ręki i...

Ale w tym momencie podbiegli dwaj kursanci i chwycili go, chcąc odnieść, gdzie trzeba, przecież majster jest po operacji. Jednak Jahnycz się wymówił.

— Dziękuję wam, chłopcy, sam poniosę, nie jest ciężki.

Wziął w jedną rękę kuferek, w drugą zwinięty w rulon dyplom, którego omal nie zapomniał, kapitan wręczył mu go jeszcze raz, ściskając mu z rozczuleniem dłoń — i odprowadzany spojrzeniami załogi zaczął powoli schodzić po trapowej desce na brzeg.

Stąpił krokiem wolnym, zwyczajnym, codziennym. Po raz ostatni.

Kapitan, wsparty o poręcz, z pełnym żalu sercem patrzył za nim bez przerwy. Może po raz ostatni widzi tego zgarbionego człowieka, który był tu tak pomocny i niezastąpiony, tak nieodłączny od „Oriona”, jakby był do niego przykuty. W jego obecności ogarniała wszystkich pewność siebie, wszyscy odczuwali przy nim jakieś domowe ciepło i spokój, był dla statku jakby talizmanem.

Oto już wstąpił na beton mola, poczuł pod nogami twarde ląd, postawił kuferek... Wszyscy na „Orionie” myśleli, że zaraz się obejrzy... Ale on wyjął tylko papierosa „Szyпка” i zapalił, patrząc w stronę portowych magazynów. Stamtąd właśnie zbliżał się ku niemu ten, kto zawsze zjawia się w najbardziej odpowiedniej chwili: przyjaciel, mechanik okrętowy. Podobnie jak Jahnycz przysadzisty, o mocno osadzonej głowie. Podszedł do Jahnycza, przez chwilę rozmawiali o czymś zżywieniem, jakby się naradzali.

Cała załoga, przechylona przez poręcze, nie odrywała od Jahnycza oczu: stał teraz na molo, niski, krępy, jakiś żaloszny, bez ruchu, jakby odrętwiały. Dopalił papierosa, wrzucił do wody niedopałek i splunął. Na statku nigdy tego nie robił i nie pozwalał innym spluwać

nawet za burzę, uważając to za niewybaczalne bluźnierstwo.

Jego przyjaciel stał w pobliżu z kuferkiem Jahnyca, który trzymał teraz w ręku już tylko rulon z dyplomem; jeszcze wczoraj wszyscy na „Orionie” oglądali ten dyplom, pięknie przyozdobiony przez plastyków amatorów ze szkoły morskiej rysunkami, winietkami i wianuszkami z dominującym akcentem plastycznym — rysunkiem władcy mórz, Neptunem...

Przyjaciele ruszyli, poszli dalej nie oglądając się. Jak gdyby „Orion” w ogóle już Jahnyca nie obchodził, jakby nie oddał mu najlepszych lat swego trudnego, katorżniczo pracowitego życia. Bo szyć żagle i montować na rogach metalowe narożniki, to skomplikowana i rzeczywiście katorżnicza praca. Bela płótna żaglowego waży kilka cetnarów, trzeba je wyciągnąć, rozścieścić na całym pokładzie, wysuszyć, przejrzeć dokładnie każdy jard, każdy centymetr, własnoręcznie przetrzeć, sprawdzić końcami palców, czy nie ma jakichś ukrytych wad, czy szcur gdzieś nie przegryzł, czy nie ma fabrycznych mankamentów. Dopiero po upewnieniu się, że płótno żaglowe jest mocne, odpowiednie, można zabierać się do krojenia i zszywania trójgrannymi igłami. Jahnycz niewiele nauczył się w życiu, nie umiał, powiedzmy, odczytywać locji, ale to, co umiał, to już umiał doskonale, był w tym mistrzem. Bo nie o to chodzi, żeby żagle po prostu zszyć, każdy żagiel trzeba uzbroidzić, obszyć żaglowe płótno stalową liną i wszystkimi niezbędnymi detalami, żeby twoja robota wytrzymała nawet najwściekleszą burzę: a to już wymaga talentu, to już prawdziwa sztuka, to artyzm! I jeśli obecnie wśród chłopców, którzy zebrali się na pokładzie, są tacy, którzy umieją kroić, szyć i uzbroidzić żagle, to dlatego że był z nimi majster Jahnycz, że on ich tego nauczył!

Nie może się uskarżać na brak szacunku na „Orionie”. Jeszcze przed operacją specjalnym rozkazem był zwolniony z alarmów dla całej załogi, mimo to jednak stawiał się dobrowolnie na każdy zarządzony alarm z poczucia obowiązku i z wewnętrznej potrzeby. Stoi w kurtczynie marynarskiej na deszczu i szkwale, ręce zeszywniały, palce zdrętwiały, stoi i śledzi uważnie, jak młody kursant mocuje się z takielunkiem lub z końcem liny cumowej. I kiedy stwierdzi, że chłopiec robi to nieporadnie, podchodzi, odsuwa go, zrobi to sam szybko i sprawnie, mówiąc: „Tak właśnie trzeba to robić, synku...”. I znów odejdzie na bok, śledząc spod brwi pracę chłopca kącikiem wszechwidzącego oka.

Na pokładzie ciągle jeszcze nie rozchodzą się, nie spuszczaając ze starego oczu. Zatrzymał się teraz z przyjacielem przy czerwonym automacie, w którym za kopiejkę można się napić wody sodowej. Długo grzebią w kieszeniach, wreszcie Jahnycz znalazł monety; nacedził najpierw szklanek dla mechanika, potem napełnił dla siebie, chwycił łąpczywie i zaczął pić. Odbity w szklance słoneczny refleks pada na surowe oblicze Jahnycza. Z „Oriona” machają do niego, śląc ostatnie pozdrowienia; nawet kapitan, zapominając o swym stanowisku, woła z młodzieńczym przejęciem:

— „Orion” pana nie zapomni!

Dopiero teraz nieruchoma twarz Jahnycza roztajała w słońcu grymasem uśmiechu, przez który przebijał hamowany płacz. Z daleka trudno to rozpoznać, bo ludzki śmiech i grymas bólu są jak siostry...

Jahnycz objął pożegnalnym spojrzeniem statek i wzruszonych na nim ludzi. I widok ten poruszył go bardziej, niż to pompatyczne pożegnanie na statku. Oto jego rodzina, jego „Orion”, może widzi go już po raz ostatni. Są wzruszeni rozstaniem z nim, czuje w sobie ich przeżycia. Jak żal mu teraz „Oriona”, który wy-

głądał niepokaznie i żałośnie, nie posprząpany, jakiś nagi, mniejszy niż na morzu, bo bez żagli, jakby spłaszczony, jakby go coś przywaliło, zdławiło, wcisnęło aż do bólu między oceaniczne kolosy.

Niepozorny stateczek przytulił się do mola i aż trudno uwierzyć, że to ten sam „Orion”, orzeł morski, spotykany we wszystkich szerokościach geograficznych, kiedy pod pełnymi śpiewającymi żaglami mknie wśród oceanicznych przestworzy w lśniącej chmarze wodnego pyłu. A teraz stoi taki zbiedniały, bez masztów, bez żagli, ale w tej swojej zwyczajności jest Jahnyczowi jeszcze droższy. Bo to przecież jego „Orion”, chociaż zachowały się w jego sylwetce tylko pierwotne kształty, nadane mu w stoczni dla lotu, giętkie, opływowe, płynne, jak jędrne ciało delfina...

Jahnycz poczuł w piersiach ucisk, jakby zabrakło mu powietrza. Napatrz się dowoli na swojego „Oriona”, bo będziesz żyć teraz tam, gdzie ni wiatru, ni fali, ni ruchu, gdzie będzie już tylko vegetacja, nie życie, lecz spychanie życia.

Żegnają go jak należy. Kapitan przechylony przez burzę, przyłożył nawet lornetkę do oczu, żeby lepiej widzieć Jahnycza tam na lądzie przy automacie z wodą sodową... Pozostali na statku również przechylają się, posyłając Jahnyczowi ostatnie pożegnania tak, jak żegnają we wszystkich portach świata: machaniem rąk. Fala ciepła zalewa jego serce. Chciałby też im pomachać, obawia się jednak, że mogłoby to wypaść niezgrabnie. W ciągu długich lat morskiego życia jakoś nie nauczył się tego. A powinien był, bo życie marynarza składa się z takiego właśnie machania rękami, z powitań i pożegnań.

Nasłuchuje w napięciu, chciałby usłyszeć, co wołają do niego ci z „Oriona”. Może wzywają go do powrotu? Oficer polityczny daje jakieś znaki... Może coś się zmie-

niło w ostatniej chwili? Nie, najprawdopodobniej pokazują na migi, żeby się trzymał w swoich nowych rejsach na łądzie.

Na „Oriona” nie ma powrotu.

Przyjaciół mechanik przypomina, że czas już iść; bierze do ręki kuferek, obaj ruszają bez pośpiechu i nikną za rogiem rozgrzanego na słońcu magazynu.

Teraz może już jechać do Kurajówki. Zastanawiał się tylko, jak lepiej: łądem czy wodą.

Po pewnym czasie portowcy ujrzą Jahnyca, jak ze zwieszoną głową i swoim kuferkim zmierza do przystanku autobusowego.

## 8

Zaraz pierwszej nocy po przyjeździe Innę wyrwano ze snu.

— Nieszczęście na klepisku! Kogoś tam okaleczyło, potłukło!

Stała nad nią matka, trzymając w pogotowiu spódniczkę mini, w której Inna przyjechała z uczelni. Pospiesznie się ubrała. W sąsiedniej izbie kierowca opowiadał matce o wypadku. Jeden jechał z dużą szybkością z elewatora zbożowego, a drugi z przeciwnej strony do elewatora. A kurz taki, że jedzie się jak w „ślepych locie”. No i przy samym wyjeździe z klepiska doszło do czołowego zderzenia z taką siłą, że poleciały w obu samochodach reflektory.

Innie stanął przed oczami obraz poskręcanego metalu i okaleczonych ciał.

— Czy są śmiertelne ofiary? — spytała z niepokojem kierowcę.

— Mogły być. Ale któryś z kierowców chyba w czepku się urodził. Zresztą sama zobaczysz.

— Trzeba chyba zabrać coś z sobą? — Inna spojrzała z roztargnieniem na matkę.

— Na miejscu jest apteczka — wyjaśnił kierowca. — Bandaże, jodyna, wszystko jest, tylko ty jeszcze jesteś potrzebna, pielęgniarka... Jesteś gotowa?

Dziewczyna energicznym ruchem głowy przerzuciła do tyłu pasmo włosów.

— Jedziemy.

Pomknęli z miejsca w nocny mrok, w zawieruchę.

Właściwie to do niej nie należało. Powinna tam teraz zajmować się rannymi poprzednia kierowniczka miejscowego punktu sanitarnego Warwara Pyłypowna, żona przewodniczącego kołchozu Czerednyczenki, która dopiero wybiera się na emeryturę. Inna nie została jeszcze formalnie wprowadzona w obowiązki i uprawnienia swej poprzedniczki, ale w Kurajówce na takie formalności nie zwraca się uwagi. Na gorąco, prosto ze szkoły na głęboką wodę. Warwara Pyłypowna co prawda odsłużyła już swoje, poza tym w tych dniach zachorowała i leży, skarży się od dawna na serce, przed dwoma laty miała zawał.

Trudno odmówić w takiej sytuacji. Tu nie można zważać na formalności, szkolili ją na medyczkę, więc trzeba jechać, kiedy wzywają pomocy. Inna jest w dobrych stosunkach z Warwarą, obie już dawniej wiedziały, że przyjdzie taki dzień, kiedy jedna będzie przekazywać, a druga przejmować punkt medyczny, nie przypuszczały jednak, że życie ten moment tak przyspieszy. Różne niedomagania coraz częściej przykuwają Warwarę do łóżka i chyba dlatego Czerednyczenko zażądał autorytatywnie od szkoły medycznej skierowania Inny do jej wsi. Zresztą i do tej szkoły Inna trafiła nie bez rad Warwary i jej męża, którzy już dawno zaplanowali taką zmianę.

Do klepiska jest dość blisko. Dawniej było ich kilka,



rozrzuconych po stepie, po brygadach, ale później zdecydowano, że będzie tylko jedno, centralne, lepiej urządzone i zaopatrzone w sprzęt techniczny oraz wybetonowane. Jadąc tam kierowca głośno rozważał tę sprawę, wymieniał plusy i minusy takiego rozwiązania. Inna słuchała go z zainteresowaniem, chociaż osobiście było jej obojętne, czy będzie jedno klepisko czy też dziesięć.

Jest już późno, ale step nie śpi, kombajny pracują, poruszają się na gruntowych drogach we wszystkich kierunkach, wokół nich tworzą się aureole z kurzu. Drogę przeciął im zając, aż biały w świetle reflektorów, a to podobno zły znak. Do takiego nieszczęścia w dodatku jeszcze ten zając... Ale zawrócić przecież nie można. Widać z daleka już jasno oświetlone klepisko z ruchliwymi postaciami ludzi przy stogach i z groźnie wyglądającymi, jakimiś niezwykłymi, nie znanymi Innie, jakby fabrycznymi maszynami; były to, jak się później dowiedziała, nowe agregaty do czyszczenia ziarna, po raz pierwszy sprowadzone na te właśnie żniwa.

Na skraju klepiska leży na brezencie ofiara wypadku. Mały żołnierz, Uzbek lub może Turkmen. Każdego lata jednostka wojskowa przysyła tu swoich chłopców do pomocy w zwózce zboża, on jest jednym z nich.

Na szczęście żyje. Inna przysiadła przy nim, zbadała tętno, obejrzała go dokładnie od stóp do głów, i po pobieżnym zbadaniu stwierdziła, że nie ma żadnych poważnych obrażeń, tylko twarz jest podrapana i kilka siniaków na żebrach, a więc upiekło mu się. Został co prawda potłuczony, przebywa jeszcze w stanie półżo-ku, ale od tego się nie umiera. Kilku innych, którzy podczas zderzenia nabili sobie tylko guzy na głowie, jest też tutaj, nie odstępują kolegi, o którego się nie-

pokoją, no bo jeśli chodzi o nich, to skończyło się na strachu. Większość z nich jest też stamtąd, ze wschodnich republik, być może są nawet ziomkami tego chłopca; rozmawiają o czymś nerwowo gestykułując, pewnie o ofierze wypadku, ale być może o Innie — zamiast solidnego, doświadczonego lekarza, posłali tu jakąś dziewczynę, która wygląda na uczennicę starszych klas.

— Bierzcie go, ale ostrożnie — zleciła kolegom poturbowanego. — I nieście go za mną.

Na okres żniw, podobnie jak w zeszłym roku, zorganizowano na miejscu punkt sanitarny w jednym z przydzielonych na ten cel wagonów mieszkalnych, w jakich nocują mechanicy. Tam właśnie niesiono teraz ofiarę wypadku.

W wagonie tym, włożywszy biały fartuch, Inna poczuła się pewniej. Wygotowała strzykawkę i bardzo długą igłę (krótszej nie znalazła) i zrobiła swemu pierwszemu pacjentowi zastrzyk przeciwszokowy, dała mu sporą dawkę waleriany, znów zbadała puls i dopiero wówczas zostawiła chłopca w spokoju. Niech poleży do rana, a rano się zobaczy co i jak. Jeśli będzie trzeba, to wyprawi go do szpitala.

W każdym razie dobrze się stało, że ona jest tutaj, pomoc jej okazała się niezbędną.

Kiedy pacjent zasnął, Inna stanęła na schodkach wagonu, obserwując klepisko. Kobiety i dziewczęta w chustkach nasuniętych na oczy uwijają się z łopatami pośród pszenicy, wciąż ją podgarniając i ładując oczyszczone ziarno na platformy samochodów. Żadnej nie można rozpoznać, niektóre są w ochronnych okularach, spódnice wysoko podciągnięte, błyskają obnażone uda. Na klepisku jest bardzo jasno, Czerednyczenko w czasie żniw nie żałuje elektryczności, chce, by w nocnych miejscach pracy było ludziom widno jak w dzień.

Wkrótce zjawił się na klepisku. Przyjechał ciężarówką, wysiadł z kabiny, otyły, ciężki, potężny jak Taras Bulba, i zaczął rozglądać się po swoim gospodarstwie. Już podbiega do niego kierownik klepiska Kyryło, który robi wszystko w biegu, inaczej nie umie. Rozmawiają chyba o wypadku, bo Kyryło wyjaśniając coś ciągle rozkłada ręce i wzrusza ramionami.

Czerednyczenko jest tu potęgą! Chociaż nie jest grubianinem i niby go się nie boją, jednak w jego obecności inni jakby maleją, a brygadziści przy każdej okazji skwapliwie podkreślają, że jest on dla nich autorytetem. Kurajówka chlubi się Czerednyczenką. Bohater wojny, dowódca morskich desantów i bohater pokojowej pracy otrzymał Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego jeszcze kiedy był szeregowym kombajnistą w SMT. Cieszy się poważaniem również u władz rejonowych.

Gospodarstwo, które objął w bardzo ciężkich latach, doprowadził do pełnego rozkwitu; do przodującego kołchozu w Kurajówce przyjeżdżają inni kołchoźnicy w celu skorzystania z jego doświadczeń. Czerednyczenkę, jako człowieka zasłużonego i z autorytetem, zapraszają na różne konferencje obwodowe, a nawet do stolicy, wybiera się go jako delegata na zjazdy, od wielu lat wchodzi też przy każdorazowych wyborach do rejonowego komitetu partii. Oprócz Warwary Pyłypowny, jego wiernego stróża i doradcy, wszyscy — nawet towarzysze na kierowniczych stanowiskach — mają dla niego wielki respekt z odcieniem lęku, a na jego wystąpienia na rejonowych i obwodowych naradach jedni czekają z radosną niecierpliwością, a inni z niepokojem i obawą; szczególnie na konferencjach partyjnych w dyskusjach poprzedzających głosowanie.

Inna zna Czerednyczenkę od dziecka, nieraz bywał

u nich w domu i siadywał z jej ojcem przy stole, czasem przy kieliszku, ale bywało, że i bez. Obydwaj są kombajnistami (czym Czerednyczenko szczyli się do dziś), więc zawsze mają o czym mówić. Gdyby tak jeszcze udało się coś wydusić z „Silhosptechniki”, gdyby tę wysłużoną, odrapaną „eskę” (samobieżny kombajn) można było wymienić na kombajn najnowszego typu, który dopiero co opuścił fabrykę...

Z sercem Czerednyczenki, jak zapewnia jego żona, też nie jest dobrze. Miewa już ciężkie ataki, często zażywa w nocy validol, jednak przy ludziach udaje zdrowego. Zawsze pełen energii, częściej wesół niż chmurny, nawet jeśli chwyci się za serce, to się odwraca, zdarza się to jednak rzadko. Boli czy nie boli, ale Czerednyczenko wygląda tak, że można by go dać na afisz jako reklamę dewizy: „W zdrowym ciele zdrowy duch”. Nie potrafi się wylegiwać, już o świcie jest na nogach. Jego masywna, ogorzała od wiatru twarz przez całe lato tchnie pełną świeżością, i patrząc na niego wydaje się, że to człowiek nie do zdarcia.

On sam zresztą podtrzymuje taką opinię o sobie. Pocięsza siebie tą swoją otyłością („Zanim gruby schudnie...”) i przy okazji lubi opowiadać o przygodzie, jaka spotkała go w Polsce, gdzie bawił z delegacją. Otóż, idą sobie po dobrym obiedzie z przyjacielem, też przewodniczącym kołchozu z pobliskiej Iwanówki, rozkoszują się widokiem Wawelskiego Zamku, no i wtedy właśnie spotkała ich w Krakowie ta przygoda.

Pod murem stoi biała waga lekarska, siedzi przy niej uprzejmy staruszek i zaprasza Czerednyczenkę eleganckim gestem: może się pan zważy, proszę bardzo... Chciał widocznie przekonać się, ile też taki grubas może ważyć. Najpierw stanął na wadze ten jego przyjaciel, Krutyporoch, no ale jego waga była jeszcze dość znośna, zaledwie dziewięćdziesiąt z hakiem. Ale gdy

stanął Czerednyczenko, to ta nieszczęsna waga tylko stęknęła pod nim i bęc!... Przepraszam szanownego pana, nie wytrzymała... jednym słowem kompromitacja! Po tej przygodzie zaprzyjaźnił się z podwawelskim staruszkim, wszystkie przywiezione upominki przeszły do niego.

W mieszkaniu Jahnychów zjawia się Czerednyczenko tylko wówczas, gdy przyjedzie na urlop brat matki Andron Jahnych, zasłużony marynarz z żaglowca „Orion”, dawny kolega przewodniczącego kołchozu. Niekiedy dziewczęta z uczelni pytały Innę, jak to jest: ona Jahnych i brat matki też Jahnych? Jest tak dlatego że i matka, i ojciec jeszcze przed weselem nosili takie same nazwisko, tylko że matka była z jednych Jahnychów, a ojciec z drugich, należeli więc oboje do różnych rodów Jahnychów, które być może w odległej przeszłości miały wspólnego praszczura, jakiegoś brodatego pra-Jahnychza. Dziś już połowa Kurajówki nosi to nazwisko, na obelisku poległych też całe kolumny Jahnychów... W Święto Zwycięstwa podchodzą do tego obelisku matki i wdowy, one dobrze wiedzą, gdzie czyj...

Czerednyczenko od dawna się przyjaźni z wujem Inny, która wie dobrze, że kiedy wuj do nich przyjeżdża, to przewodniczący kołchozu wstąpi na pewno, nie ominie ich domu. Wówczas do późna rozbrzmiewa pod gruszą potężny głos Czerednyczenki i to jego jeszcze potężniejsze „cha, cha, cha!”. Siedząca gdzieś w pobliżu dziewczyna przysłuchuje się różnym historiom — wesołym, mniej wesołym, a niekiedy całkiem smutnym. I trudno pozostać obojętną, kiedy widzi się, jaka ta ich przyjaźń, mimo niekiedy wieloletniej rozłąki, jest żywa i na nowo się umacnia pod kurajowskimi gwiazdami. Za młodu Czerednyczenko grywał z pasją w kółku dramatycznym, był duszą kurajowskiej

sceny, i chyba właśnie z tamtych czasów pozostała mu predyspozycja do odgrywania różnych wymaginowanych historii. Na przykład lubi przedstawiać siebie jako męża siedzącego pod pantoflem żony, jako ofiarę małżeńskiej dyskryminacji i domowej dyktatury, wiecznie zahukanego męża, za którym żona ugania się ciągle z wałkiem. Ale jaki tam „wałek”, to po prostu antyportret Warwary Pyłypowny: jest to niesłychanie uczynne, dobre, pozbawione nawet cienia złośliwości stworzenie, zakochane do dziś w swoim Czerednyczen-ce, który zresztą liczy się bardzo z jej zdaniem. Innę śmiech ogarnia, kiedy słyszy: ofiara małżeńskiej tyranii i pantoflarz... Czerednyczenko lubi jednak wzywać się w tę wymaginowaną rolę i grać ją niekiedy na scenie życia. Artysta!

No ale w końcu, pogadawszy z kierownikiem klepiska, Czerednyczenko idzie do wagonu, w którym mieści się punkt sanitarny. Na masywnym, poczerwieniałym obliczu surowość, może nawet hamowany gniew.

— Gdzie on jest, ten nieborak? — podchodząc huknął do Inny tak, jakby ona siedziała tu już rok, chociaż po jej przyjeździe jeszcze się nie widzieli.

Dziewczyna wstała ze świadomym ociąganiem się.

— Zasnął po zastrzyku.

— Bardzo go tam poturbowało?

— Większych obrażeń nie stwierdziłam.

— Może trzeba go zawieźć do szpitala? Albo tutaj kogoś wezwać?

— Nie widzę potrzeby — odpowiedziała Inna, nieco dotknięta. — Rano zobaczymy... Możliwe, że obejdzie się bez szpitala.

— Ale mu się przytrafiło! To chyba nowicjusz. Ci, co byli już u nas na żniwach, wiedzą co i jak... Tu nie wolno się zagapić.

— Przecież była noc, kurz...

— My przez całe życie pracujemy w kurzu, ale jesteście przecież żywi, nie pokaleczeni.

— Jednak chorych i z obrażeniami ciągle macie sporo.

— Od tego jest właśnie medycyna. Po co was uczymy? Bezrobotną tu nie będziesz... Ale, ale... Witam panią, Inno Fedorowno — nareszcie sobie przypomniał. „Inno Fedorowno” to oczywiście ironicznie, dotąd była dla niego zawsze Inką albo Cyganeczką.

— Siadaj — skinął na nią, sam siadając na stopniu wagonu pierwszy, więc dla niej nie było już miejsca.

— Dziękuję, postoję. Nogi mam jeszcze zdrowe, a zbytnia nadwaga też mnie nie obciąża...

Czerednyczenko jest w tym samym garniturze, co w zeszłym roku, uszytym u krawca na zamówienie z żaglowego płótna, na nogach sandały, na głowie jakaś komisarska, przybrudzona czapka, zsunięta do tyłu.

Siedzi nachmurzony, ociężały, jakby drzemał.

— Widziałaś, co się u nas stało? — przemówił nagle i wskazał ruchem głowy klepisko, rzęście oświetlone jakby niewidocznymi reflektorami. — Oto co nam zostało po suszy.

Jeszcze wczoraj, kiedy jechała do Kurajówki, wszędzie słyszała to groźne słowo: susza. W domu matka powitała ją tym samym, a kiedy poszła przywitać się z pracującym na kombajnie ojcem, ten zamiast zapytać ją o podróż i egzamin, powiedział tylko: „Przeżyliśmy już różne gorące wiatry, ale żeby aż tak!... Mieliliśmy już jak w kieszeni po czterdzieści kwintali z hektara, a po trzech dniach widzisz, co się stało? Płakać się chce nad takim zbożem!”. I ojciec pokazał jej na dłoni pszenicę z własnego omłotu: ziarno drobne, pomarszczone, prawie próżne.

— W ciągu trzech dni spaliło je, a spodziewaliśmy się obfitych zbiorów! — w głosie Czerednyczenki prze-

bija ból. — I dobrze zasialiśmy, i zima była jak na zamówienie, z deszczami i śniegiem, no i jeszcze nawoziliśmy samolotami. No więc cieszyliśmy się, że będzie dobry urodzaj i że całe góry zboża będą na klepiskach! Wszystko, powiadam, było jak na zamówienie. Maj był deszczowy, kłós pięknie się rozwinął, żebyś widziała, jaki to był kłós! Stoi pyszny, nalewa się wilgocią i słońcem. Co się spojrzy, od razu na sercu jak w święto. Oto nagroda za wszystkie nasze niezmordowane wysiłki; za nasze starania... Chociaż oczywiście znamy swego wroga, wiemy, jaki jest podstępny: dmie nie wtedy, gdy kłosek jeszcze siedzi w pochwie. — Inna bezwiednie rzuciła zmieszane spojrzenie na swoje piersi. — Dmuchnęło dopiero wówczas, gdy zameldowaliśmy już władzom: zbierzemy po czterdzieści kwintali z hektara, na mur! I chociaż mamy tyle wiedzy i doświadczenia, chociaż tyle już nas nauczyły te przekłete gorące wiatry, nadlatujące z nienacka od wschodu, to wierz mi, że tym razem nie mieliśmy absolutnie żadnych obaw! Bo łany falują jak morze, nasza „aurora” pięknie dojrzała i zdaje się, że nic już nie może jej teraz zagrozić. A tu nagle jak zawiało, jak uderzyło w nas niczym z piekarnika albo z turbin samolotu. Rozpętało się niewiarygodne piekło. Zdarzało się przecież i dawniej, ale to co teraz... Wyło dzień i noc. Widziałaś, jak wyglądają lasy? W ciągu doby zrudziały, opaliło je jak miotaczem ognia. Ale kłós się jeszcze trzymał. I może by przetrwał, bo był już w pełni dojrzały i w gruncie była dostateczna ilość wilgoci, ale tak suszyło, ogniowym wiatrem opalało z taką szybkością, że wilgoć nie nadążała dopływać od korzenia do kłosa. Tu już siły nie były równe. No więc możesz sobie wyobrazić: mieć jak w kieszeni rekordowy urodzaj i nagle... Czy to nie cios, nie dramat? Czy powin-



no leżeć teraz tam — znów skinął głową w stronę klepiska — takie ziarno?

— No ale przecież nie zostaliście bez zboża?

— Nie mówię, że bez. Jeszcze i z tego zbierzemy po dwadzieścia kwintali, ale nie więcej. Dawniej, kiedy zbierało się po siedem, byłoby to rekordowym urodzajem. Ale tak było dawniej, a teraz, Inko, na obecnym poziomie, to nie urodzaj, lecz nieszczęście, bieda, klęska! — głos jego znów był energiczny, władczy, znowu mówił z pasją. — Nie, nie mogę się z tym pogodzić!

Widząc jego zdenerwowanie Inna zmieniła temat.

— A jak się czuje Warwara Pyłypowna?

— Obawiam się, że jej akumulator się wyczerpał. Nie ma już siły zajmować się dalej tym waszym punktem sanitarnym. Rządź się w nim już sama.

— Ale ja nie zdążyłam załatwić jeszcze wszystkich formalności.

— Załatwimy. U nas bez zawracania głowy. No więc pracuj, a jeśli będziesz czegoś potrzebować, to sam zadzwonię do rejonu.

— Nie, nie, dziękuję — zaprzeczyła Inna. I tak musi być tam osobiście, takich spraw nie można załatwiać telefonicznie.

— Postawisz na nogi tego nieboraka, a później zobaczymy... Jak będzie trzeba, to ci dam zwolnienie.

Milczał przez jakiś czas, ciągle jeszcze gnębiło go to nieszczęście, ten prawdziwy dramat kołchozu. Dziewczyna westchnęła.

— Trzeba leczyć przede wszystkim przyrodę — rzekł po chwili. — Coraz częściej dostaje w ostatnich czasach wysokiej gorączki... Skąd to diabelstwo do nas się przedostało? Z Kara-kum czy z Afganistanu? Całe Południe płonie. I Kubań, i Zadońszczyzna, i my. Walczyć? Ale jak? Z oceanem rozżarzonego powietrza? Żeby nawet na głowie stanąć, to niczym nie powstrzyma

się tego, niczym nie zasłoni. Otwór strzelniczy, Inko, można, ale step to nie ambrazura, nie zasłonisz go piersiami!...

9

Rano zabrali od Inny jej pierwszego pacjenta. O wschodzie słońca, kiedy pierwsze skośne promienie padały na zboże na klepisku, przybył sam dowódca jednostki z kilku swoimi chłopcami w wypłowiałych płóciennych kapeluszach, i nie wdając się w dłuższe rozmowy wzięli pod rękę podopiecznego Inny. „Trzeba wracać do domu, Gafure, dość tego panińskiego lazaretu”.

Na pożegnanie pacjent uśmiechnął się do Inny słabo i jakoś przepraszająco. Powieźli go gdzieś do swego obozu.

Przybywając na żniwa żołnierze sami wybierają swoje „miejsce postoj”, które łatwo zmieniać, bo są zmotoryzowani. W tym roku rozbili obóz, ogradzając go, na solniskach za Kurajówką, blisko ferm ze świeżym mlekiem; już z daleka widać było ich radiostację. Żołnierze chętnie przyjeżdżają na żniwa między innymi właśnie ze względu na to „mleko prosto od krowy”; nie odstrasza ich wcale, że nałykają się kurzu i podrapiają ręce.

Po przekazaniu pacjenta Inna posprzątała w swoim wagoniku i powiesiła na widocznym miejscu przepisany przez Warwarę Pyłypowną poradnik dla młodych matek z rozkładem karmienia piersią niemowląt. Chorych nie ma, no i dobrze. W chwilach odpoczynku podchodzą do niej spalone słońcem, tryskające zdrowiem, wesołe kobiety, pytając, czy nie ma w swej aptece czegoś na podrażnienie skóry lub na pierzchnięcie warg.

Chłopcy wracający z elewatora — zarówno żołnierze, jak i miejscowi, kurajowscy — wołają do niej żartobliwie z ciężarówek:

— Hej, medyczko! Nie masz tam czegoś na uspokojenie serca?

Ciągle oczekiwała, że z którejś z ciężarówek wyskoczy prosto na klepisko Wiktor Weremienko. Tak nazywa się ten, który zawładnął jej uczuciem, o czym Inna zwierzała się w uczelni tylko najbliższemu przyjacielowi. Powrócił już stamtąd, gdzie odbywał karę, jednak w Kurajówce nikt go jeszcze nie widział oprócz ojca. Oboje rodzice, nauczyciele z miejscowej szkoły, są już na emeryturze; Panas Omelianowicz, nie mogąc znieść bezczynności, pracuje społecznie, organizując izbę muzealną w kurajowskim domu kultury.

Ten dom, to jeszcze jeden powód do dumy Czerednyczenki. W samym środku Kurajówki góruje ten architektoniczny olbrzym, którego nawet miasto rejonowe mogłoby jej pozazdrościć; front domu zdobi kolorowa mozaika, przedstawiająca młodą, urodziwą kobietę o rumianej twarzy ze złotym snopem. Teraz dom kultury jest oczywiście zamknięty, bo wszyscy zajęci są przy żniwach.

Inna spotkała wczoraj Panasa Omelianowicza przypadkowo na ulicy; siedł jakiś przybity, skulony, aż żalność brała patrzeć. Oto co robi z człowieka starość. A wydaje się, że jeszcze tak niedawno chodził z nimi w step na lekcje botaniki, opowiadając z zachwytem o jakoby ubogiej miejscowej roślinności (po raz pierwszy Inna dowiedziała się właśnie od niego o tych „scytyjskich tulipanach”), a wczoraj miała wrażenie, że ulicą snuje się tylko sam cień tego człowieka. Mały, jeszcze bardziej zeschnięty, krok starczy, niepewny, dmuchnąć i przewróci się. No, ale doznał straszego

ciosu: mieć jedyne go syna i ujrzeć go na ławie oskarżonych...

Nie wiadomo, od czego to się zaczęło. Dopóki Wiktor chodził do szkoły, nie stwierdzono żadnych odchyłeń od normy, tyle tylko że trochę więcej psocił od innych, no, ale to się zdarza w tym wieku. Po ukończeniu ósmej klasy postanowił wstąpić do szkoły morskiej. Zdał egzamin, ale już w jesieni wrócił do rodziców z nowiną: skreślili.

— Skreślili czy też po prostu wypędzili? — spytał go wówczas Czerednyczenko podczas spotkania w klubie.

— U nich to się nazywa „skreślili” — uśmiechnął się cierpko Wiktor. — Podobno nie odpowiadał im mój charakter...

— Nie tyle charakter, co pewnie to, że jesteś wiercipiętą. Wszyscy mają jakąś wytkniętą prosto drogę, tylko ty gdzieś kluczysz. A dlaczego? Bo zachciewa ci się jakiejś tramtadrackiej romantyki, chciałbyś od razu czerpać sławę całymi kubłami, zadawać szyku czapką marynarską i imponować ludziom morskimi wyprawami. A znasz to porzekadło marynarskie? „Żeby pływać po morzu, trzeba mieć charakter i rozum”.

Od tego czasu Wiktor nawet nie chciał myśleć o żegludze i był uczulony na sam dźwięk tego słowa. Bo go odtrąciła, wygnała pod żagle kurajowskiego kurzu. Inna sądzi, że właśnie wtedy pojawił się u Wiktora kompleks niższości. Miała nadzieję wyleczyć go z tego kompleksu, przede wszystkim swoją miłością. Już wówczas nie był jej obojętny. Nie tylko dlatego, że był przystojny i podobał się dziewczynom, ale i dlatego, że było w nim to „coś”, jakaś żyłka hazardu życiowego, odwaga, polot i jakieś zapamiętanie.

Niedługo siedział rodzicom na karku. Pracował przy budowie kanału, widziano go na zgarniarce, potem

wrócił do Kurajówki, zaczepił się w spółdzielni rybackiej, gdzie był aż do tego nieszczęśliwego wypadku, który zaprowadził go do więzienia. Odbył swoje, odpokutował, wrócił. Ale nie do Kurajówki. Urządził się gdzieś w rejonowym mieście, o czym Inna dowiedziała się od skulonego i roztargnionego Panasa Omelianowicza. Był przez jedną noc, bardzo się kajał przed matką: poszło — powiada — mamó, moje życie krętą i błędną drogą...

— Jak, jak powiedział?

— Krętą i błędną drogą.

To już coś znaczy. Jednak przemyślał tam swoje życie, zdolny jest do tego, by osądzić samego siebie własnym, wewnętrznym poczuciem sprawiedliwości. Może po raz pierwszy obudziło się w nim synowskie uczucie dla matki, dla przybitego nieszczęściem ojca; nie czynił im wyrzutów, że oddali komuś za bezcen jego „Jawę”, żeby nawet śladu po niej nie było, nie wspomniał o tym ni słowem.

— Ale dlaczego nie został w Kurajówce?

— Nie mogę, powiedział. Wstyd. Odczekam gdzieś, mówić, żeby mi chociaż włosy odrosły.

Po tym smutnym żarcie Inna poznała swego chłopca. Jeśli ktoś nie utracił poczucia humoru i wstydu, to nie jest jeszcze stracony.

Ale chociaż z elewatora powracało tyle ciężarówek, żadna nie przywiozła Wiktora. Inna spogląda od czasu do czasu w stronę morza, chociaż wie, że Wiktor nie wyłoni się z lśniących fal. Podobno zaangażował się do robót drogowych i jeżdżąc na walcu drogowym czeka na odrośnięcie włosów...

Inna nie powiedziała jednak Czerednyczence całej prawdy, gdy poprzedniego dnia rozmawiali późnym wieczorem na schodach sanitarnego wagonika: chodziło jej nie tylko o załatwienie formalności w rejonowym

wydziale zdrowia, lecz również, czy może przede wszystkim, o odszukanie Wiktora.

Dziewczyna nie oswoiła się jeszcze ze swoją pozycją. Waruje w tym swoim pustym punkcie sanitarnym, i chociaż mogłaby właściwie wyjść, nie wie, czy może to zrobić bez opowiadania się każdorazowo Czerednyczence.

Kiedy przyszła pora na śniadanie, Innę zaproszono do stołu wraz z kilku przybyłymi w nocy gdzieś z Tarnopolszczyzny mechanikami, których sfatygowane walizki i torby leżą zwalone na kupę koło punktu sanitarnego. Co roku przyjeżdżają tu pomagać w sprzęcie niezmiernych łanów pszenicy ludzie z zachodnich obwodów. Również i w tym roku byłiby rozchwytywani, ale zbiory nie są takie, jakich się oczekiwało; więc tarnopolszczanie na razie nie mają co robić, dobrze, że chociaż nie zapomniano ich poprosić do stołu.

Inna spodziewała się spotkać przy śniadaniu również swoją rodzinną „załogę Jahnyczową”. Bo jest taka. I nie są to jej pierwsze żniwa. Nieraz już w gazetach rejonowych i obwodowych pojawiały się zdjęcia „załogi małżeństwa Jahnyczów”: ojciec — mechanik o wysokich kwalifikacjach, związany nieodłącznie ze stepem, i matka, która w okresie żniw pracuje z mężem jako jego pomocnik. Dopiero w ubiegłym roku nie usiadła za kierownicą kombajnu; ze względu na stan zdrowia powierzono jej funkcje wychowawczynie w żłobku. Mimo to jednak rodzinna załoga nie rozpadła się: matkę zastąpił syn Petro, jeszcze uczeń, o którym ojciec mawiał przy kielichu: rośnie mój pomocnik... Ojciec lubi pochwalić się przed ludźmi i synem, i córką.

Dziś jednak nie spotkała przy stole swoich, okazało się, że kombajnistów wożą jedzenie w pole, bo każda minuta jest droga, zboże nie czeka.

W południe przyjechała na klepisko Warwara Pyłypowna, blada, schudła w czasie choroby, ale na widok Inny poweselała.

— No, jak tam, Inko? Oswoiłaś się już? — spytała pogodnie. — Poczulałam się trochę lepiej, no więc myślę sobie: pojedę, podyżuruję trochę za nią, bo ona musi przecież jechać do miasta... — spojrzała na dziewczynę przenikliwie, jakby chciała powiedzieć: wiem, czego ci trzeba, do kogo serce się wyrywa.

Kobiety są jednak lepszymi psychologami niż ci gruboskórni mężczyźni!

Jeszcze tego samego dnia Inna pojechała do miasta Zarejestrowała się w rejonowym Komitecie komsomolu, po czym wstąpiła do wydziału zdrowia. I całe szczęście, bo mieli zamiar skierować ją do innej wsi, leżącej w głębi stepu Chlibodarówki, gdzie też jest punkt sanitarny; posłana tam pielęgniarka nie potrafiła zjednać sobie ludności, która pisze na nią ciągle skargi do różnych instancji: że jest ordynarna, nie umie leczyć, daje niewłaściwe lekarstwa. „Jeśli nie zmienicie, to po prostu wypędzimy ją ze wsi!” Taka to już jest ta Chlibodarówka, wie lepiej od medyków, jak i czym się leczyć...

Powstał więc w wydziale zdrowia projekt, aby na ten chlibodarowski wulkan wysłać świeżo upieczoną absolwentkę, uważano bowiem, że na nową skarg nie będzie. A w Kurajówce na razie pozostałaby Warwara Pyłypowna, niech jeszcze trochę pociągnie, już taka jest, że nagle zachoruje i potem równie nagle staje znów do pracy. Słowem, chcieli samowolnie Inną rozporządzić, ale dziewczyna się postawiła: przeznaczono ją do Kurajówki, niech więc wydział nie zawraca głowy, będzie tam, gdzie ją skierowano! Byli zmuszeni ustąpić, Inna wyszła więc z wydziału zdrowia z małym sukcesem.

Była jeszcze w księgarni, gdzie kupiła dwutomową „Antologię poezji francuskiej”. Słyszała w uczelni o tym wydaniu, niestety nigdzie nie mogła go znaleźć i dopiero tu udało jej się kupić. No, teraz to się nareszcie naczyta za wszystkie czasy podczas dyżurów.

Gdziekolwiek była i dokądkolwiek szła, ciągle myślała o nim. Powinien gdzieś tu być, jedna z jej kurajowskich koleżanek widziała go, jak wygładzał walcem drogowym gorący asfalt w pobliżu tablicy zasłużonych. Podobno miał jej powiedzieć:

— Pewnie mnie potępiasz, że niszczę zielen. Myślisz: czy to nie szkoda? Też na płacz mi się zbiera, ale muszę: w imię postępu trzeba rozgniatać żelaznym walcem wasze niezapominajki! A jeśli mnie tam ktoś wypatruje, to powiedz: nie na białym koniu przyjadę do Kurajówki, lecz na czarnym walcu drogowym...

Teraz w mieście już wszystko było wyasfaltowane, przed tablicą zasłużonych istotnie lśnił świeży jeszcze, ziarnisty asfalt. Inna cierpliwie błąkała się po zaułkach, aż wreszcie na jednym z nich natrafiła na to, czego szukała: na ulicy stało żelazne, drogowe hipopotamisko, ale siedzenie było puste. Uliczka była zaciszna, tonęła w zieleni. Przed gmachem prokuratury siedzieli w cieniu akacji drogowcy w pomarańczowych kaptach; chyba jedli obiad, nawet z piwem.

Inna od razu dostrzegła wśród nich Wiktora, spojrzenia ich — jakby tylko czekały na tę chwilę — spotkały się. On nie mógł, widać, uwierzyć własnym oczom. Z wyciągniętą jak żuraw szyją zastygł w bezruchu. Potem nagle zerwał się, zdjął z siebie szybko pomarańczową bluzę bez rękawów i podbiegł do Inny.

— To ty?

— Ja.

Omam nie rozplakała się na jego widok — taki był jakiś inny. Zjawiło się w nim coś chłodnego, szorstkie-



go, czego nie było przecież w jej Wiktorze. Chudy, ostrzyżony, jakby wystraszony. I chyba teraz jeszcze wyższy — chodzący słup telegraficzny. A ponadto ta nierówno ostrzyżona głowa męczennika, jakby wydłużona, o sterczących ostro uszach.

Wiktor stał przez chwilę w niemym osłupieniu, a gdy się w końcu opamiętał, zawołał do kolegów: „Ochodzę na godzinkę!” — i nie ukrywając radości chwycił Innę pod rękę, ścisnął aż do bólu.

— Chodźmy!

I wszystko nagle wróciło: morze, piasek, wysokie lśniące fale przypływu biegły im na spotkanie. Nie wiedzieli, gdzie się podziać, gdzie znaleźć jakieś ustronne miejsce bez ludzi, w którym byłiby tylko oni sami, we dwoje.

W pobliżu przystani znaleźli na skwerku ławkę pod starą, wędnącą z upału wierzbą. Usiedli w milczeniu, nie wiedzą, co mówić, od czego zacząć. Oczy Wiktora zwilgotniały, uśmiech znikł. Zagryzał spierzchnięte wargi i wpatrywał się w Innę badawczo, niemal surowo, jakby chciał zajrzeć w głąb jej duszy, dowiedzieć się, jak jej się żyło bez niego, czy bardzo za nim tęskniła i co teraz dzieje się w jej sercu.

— Jak mnie odnalazłaś?

— Przy pomocy kompasu.

— A kiedy zdążyłaś uzbroić się w kompas?

— Każda dziewczyna ma kompas tutaj — przyłożyła rękę do serca.

— A ja już myślałam: czy nie znalazła jakiegoś większego wariata ode mnie? Czy nie bała się o swoją reputację?

— To źle mnie znasz.

— Być może.

Spoępniał nagle wodząc powoli końcem podartego

buta po piasku — jakby od niechcienia, jednak kreślone znaki zaczęły nabierać jakiegoś sensu.

— Co rysujesz?

— Chcę napisać dzisiejszą datę.

— Po co?

— Żeby nigdy nie zapomnieć.

I dopiero teraz zainteresował się jej sprawami i Kurajówką.

— Nie zmienili jeszcze jej nazwy? — uśmiechnął się nagle.

— Po co mieliby zmieniać?

— Podobno ktoś miał taki pomysł. Kura, kuraj, Kurajówka...\* Ponoć niektórych kłuje to w uszy. Może istotnie nie brzmi to nowocześnie... Może by znaleźć dla naszej wsi jakąś weselszą nazwę?

— Co proponujesz?

— Powiedzmy: Szczęśliwice. Albo Urodzajów. Teraz takie nazwy są w modzie.

— Gdyby trzeba było już koniecznie, to zmieniałabym na Chlibodarówkę\*\*. Co prawda już jedna taka jest...

— I właśnie tę jedną, jak słyszałem, mają zlikwidować.

— Niemożliwe!

— Dlaczego niemożliwe? Połączą ją z inną, jeśli okaże się nieperspektywiczna... A wydaje się, że ona należy do tej kategorii.

Przez chwilę śledzili w milczeniu tramwaj wodny, który właśnie odpływał z przystani, pozostawiając za sobą na wodzie kręty, oślepiający ślad.

— Spotkałam wczoraj Panasa Omelianowicza — Inna przerwała milczenie, chcąc przypomnieć Wiktorowi o ojcu. — Bardzo się postarzał.

---

\* kura to w języku ukraińskim kurzawa; kuraj — gatunek stepowej trawy

\*\* Chlibodarówka — darząca chlebem

— Traci wzrok, biedaczysko. Widzi wszystko, powiada, jak przez mgłę.

— Powinieneś wrócić do domu jak najszybciej.

— Niech mi najpierw kudły odrosną — przeciągnął ręką po ściernisku swojej głowy. — No bo mnie w Kurajówce nie poznają. Prawda, że mogą nie poznać?

— Kto będzie chciał, ten pozna.

— Jesteś pewna?

— Tak.

Próbowała później dowiedzieć się o jego przeżyciach tam, ale Wiktor niechętnie odpowiadał na jej pytania. Każdy nawrót do tego tematu spotykał się z jego wewnętrznym protestem.

Niewiele ciekawego, mówił. Odsiedział wyrok — i tyle. Życie aligatora.

— Kiedy tak patrzeć z boku, to wydawałoby się, że sędziowie właściwie nie mają nic do roboty, a tymczasem...

— Tak, póki co jest kogo strzyc — i gorzko się uśmiechnął.

Nie podobały się jej te więzienne dowcipy. Chciałaby usłyszeć, jak on tam przeżywał swój dramat, jak szczerze żałował, jak dniem i nocą męczyło go sumienie wśród tego aligatorowego życia, jak bardzo chciał jak najszybciej się oczyścić i najczarniejszą robotą odpokutować winę, by odrodzony wrócić do domu... Możliwe, że były w nim takie przeżycia i pragnienia, bo skąd pojawiło się to skupione ściszenie, to zamyślenie z lekko dostrzegalną troską w oczach? Wokół ust zarysowały się gorzkie zmarszczki, ręce stwardniały od pracy.

— Ciężko było?

— Tam lekko nie bywa. To poprawczy zakład pracy. Orderów tam wprowadzić nie dają, ale jednak twój Wiktor dzięki pracowitości nieraz doznawał ze stro-

ny administracji łaski — jego autoironia znów była zaprawiona dozą gorzkości. — W izolatce nie siedział, w pracy nie symulował, robił wszystko, żeby znów znaleźć się w nie ostrzyżonym społeczeństwie.

— I znalazł się... Gratuluję. I mam nadzieję, że zapamiętasz drogę, która prowadzi tam, gdzie byłeś.

— Oczywiście. Sądzę zresztą, że pozostawiłem tam po sobie nie najgorszą pamięć. Ile tylko samych pomysłów racjonalizatorskich zgłosił twój Wiktor! — znów mówił półzartem.

— A jakie?

— Różne. Ale to ciebie na pewno nie interesuje.

— Interesuje mnie wszystko, co ma związek z tobą. Muszę koniecznie wszystko wiedzieć, więc opowiadaj.

— Dobrze. Więc posłuchaj. Zgodnie z sugestią Wiktora Weremienki zainstalowano w stolarni wentylator. Uwzględniono też jego skargę dotyczącą siatki dla pryczy sąsiada. Usunięto ze stolarni zbędne wyposażenie — mówił to wszystko z jakimś gorzkim, neura-stenicznym uśmiechem, co też było u Wiktora nowym rysem. — No, a jeśli już mam rozdrapywać rany...

— Nie, nie, nie mów już nic — zaprotestowała Inna z bólem w głosie, ujęła jego dużą, płaską dłoń z odciskami i mocno ją uściśnęła.

Długo milczeli. W tym milczeniu i niemym splocie ich rąk było coś wzruszającego i na pół dziecięcego. I dobrze im z tym było. I nie miało znaczenia, że jego podarte buciorzy tak rażąco kontrastują z jej lakierowanymi sandałkami, podobnie jak jego spodnie z grubego brezentu z jej zgrabnymi prężnymi nogami o pszenicznej, złotawej opaleniznie.

— Słyszałem, że układasz pieśni — spytał wpatrując się w piasek i, jak Innie się wydawało, tłumiąc uśmiezek.

— A co, nie wolno?

— Dlaczego nie, wolno. Też zajęcie, i to nie najgorsze. Przed kilku dniami miejscowy radiowęzeł nadał „Brzeg miłości”.

— No i jak?

— Obłeci. Takie więcej duszeszczipatielne\* — odwrócił się do niej twarzą i mrugnął, co wydało się jej wulgarne.

Dziewczyna puściła jego dłoń. Nigdy tego nie robił.

— Co to za mruganie? — spytała, chmurząc się.

— Wybacz. To taki nerwowy tik...

— Żeby mi więcej tego nie było.

— Rozkaz, towarzyszu naczelniku!

I znowu dłoń w dłoni, i oboje przenika ciepło, i sprawia im radość patrzenie nawet na wróble, które tak zabawnie i bez lęku kąpią się przed nimi w kurzu.

Inna pragnęła jednak wiedzieć, co Wiktor zamierza robić w nowej sytuacji, chyba nie dopuści do tego, by jego życie znów zeszło na manowce.

— No ale kiedy wreszcie wrócisz do domu, mój ostrzyżony chłopaku? Czy długo zamierzasz tu zostać?

— Chyba niedługo. Nie najlepiej układają mi się stosunki z kierownictwem. Poza tym ciągną mnie chłopcy z technikum gospodarstwa wiejskiego.

— No a do Kurajówki kiedy?

Nachmurzył się. To była jego otwarta rana.

— Jestem drogowcem, Inko. Mój walec drogowy jest ciężki, więc wiele chyba czasu upłynie, zanim dotrze do Kurajówki, miazdząc po drodze trawę.

W głosie jego wyczuwało się głęboki smutek.

— Wracaj! — wyrwał się jej mimo woli namiętny szept.

— Wrócę — rzekł po chwili zdecydowanie.

---

\* duszeszczipatielnyj (ros.) — chwytający za serce, sentymentalny, ckliwy

I chciałby jeszcze dodać: „Wróć tylko przez ciebie. Żeby bez końca cię męczyć. Wyśmiewać. Zazdrościć. Cynicznie dokuczać. Odrzucać i znów odnajdywać. Robić bez powodu sceny zazdrości... Wróć, żeby kochać!”.

## 10

Dopiero pod wieczór Inna zabrała się jedną z ciężarówek, spotkanych koło elewatora, które zwoziły zboże. Siedzący w niej żołnierz zahamował, jego koledzy podali jej rękę, a gdy wsiadła, nie naprzykrzali się jej. Chyba od razu zauważyli, w jakim jest stanie: podniecona, zarumieniona, oczy płoną, widać, że jest myślą ciągle jeszcze tam, gdzie niedawno była.

Innę istotnie zbulwersowało to spotkanie. Odprowadziła Wiktora aż do jego maszyny drogowej, która stała na świeżym asfalcie, czekając na swego kierowcę.

— Wiesz przecież, że jestem „przyczepna” — powiedziała wesoło, biorąc Wiktora pod rękę. Zauważyła, że ta jej „przyczepność” jest mu miła, powróciła mu pewność siebie, szedł obok niej wyprostowany pod taksującymi spojrzeniami kolegów z brygady. Zerkał na nich z wesołą wyższością: patrzcie, mówiło jego spojrzenie, jaka piękna i czysta dziewczyna w spódniczce mini postukuje obok mnie obcasami i trzyma waszego Weremienkę pod rękę.

Lekko, jak góralski wyrostek, wskoczył na swoje żelazne siodło, uruchomił z miejsca stutonowe cielsko, przed którym lśnił gorący asfalt, rozprowadzony łopatami przez robotników. Potem odwrócił się do Inny i posłał jej na pożegnanie już nie oschły, wymuszony, lecz radosny, młodzieńczy uśmiech, jaki pamiętała jeszcze z ich lat szkolnych.

— Pozdrowienia dla Kurajgrodu!

Jedno spotkanie postawiło chłopca na nogi. Oto co może miłość, jaki to uzdrawiający balsam!

Do Kurajówki wiedzie przez step szeroka droga gruntowa. Samochody jeżdżą bez przerwy w obie strony, wzbijając tumany kurzu, który nie zdąża opaść. Step pracuje, wszystko znajduje się w roboczym napięciu. Tu koszą jeszcze kombajny, wykańczając pozostawione pasma, a tam już przewalają się skiby świeżej ziemi zmieszane ze ścierniskiem. Nie znają spoczynku deszczownie, w ogrodach i na poletkach zielonej kukurydzy zraszacze wyczarowują wspólnie ze słońcem rozedrgane kolorami tęcze.

Nad wszystkim jednak dominują teraz klepiska; lśnią na nich kurhany złotego ziarna, które ludzie rozkopują łopatami. Trwa w odwiecznym, niespiesznym, odmierzonym rytmie zwykła praca rolnika, w tym jednak pozornym spokoju wyczuwa się ciągły pośpiech, żeby zdążyć, żeby nie utracić ani ziarna ze zbiorów, bo wiadomo, że ziemia rodzi tylko raz do roku!

Kurz rozprzestrzenia się daleko od dróg, wisi nad klepiskami i nad kombajnami, cały powietrzny ocean nasycony jest tą żniwną kurzawą. Niebo aż po krańce horyzontu jest przyćmione, matowe, zamglone i nie przejaśni się, dopóki nie skończy się żniwiarska krzątania. Taka już pora: tumany kurzu jak wzbijają się zaraz po święcie pierwszego snopa, jak rozepną nad stepem od krańca do krańca żagle z kurzu, to już będą tak wisieć nad ziemią dniem i nocą; i chociaż nie ma teraz wiatru, ktoś obcy mógłby pomyśleć, że nad południem znów szaleją pyłowe burze.

I w tej kurzawie trzeba żyć. Oto on, ten twój zło-cisty Bengal, zalany potokami kurajowskiego kurzu... Ale nigdzie człowiekowi nie straszno, jeśli tylko nie jest samotny, ma przyjaciół, poważanie u ludzi, chociażby nawet katorżniczą, ale lubianą pracę. A dla peł-

ni szczęścia powinno się oczywiście jeszcze mieć tę „rodzinną załogę”, w której ludzie wiążą się na całe życie w trudzie i w miłości.

Inna kocha ten step. I nie tylko wtedy, gdy zakwita wiosną scytyjskimi tulipanami, migoce jaskółkami i rozdzwania się podniebnie skowronkami; lubi go też i takim, jak teraz, w jego żniwnej krzątaninie, zakopconym, w chmurach pyłu. Pewny, niezdradliwy, wytrwały, i chyba tylko on, ten step, nie zastąpi nam drogi jako wróg.

Największymi milczkami są ci w panamach. Tylko tyle można się było od nich dowiedzieć, że są Turkmenami. Widocznie ich dowódcy trzymają ich w dyscyplinie i odpowiednio wychowują — żeby nie pchać się od razu z zalecankami do nieznanym dziewczyny. Są być może za bardzo nawet powściągliwi i zamknięci w sobie. Dziewcząt jednak wcale nie drażni ta wschodnia skryta powściągliwość; traktują to jako przejaw wrodzonej skromności i duchowej delikatności. Wira Konstantynowna mówiła, że w Indiach też spotyka się często takich ludzi — przyjaznych, delikatnych... Jeden z tych żołnierzyków jest bardzo podobny do tego wczorajszego poturbowanego: o smagłej cerze, czarnych brwiach, filigranowej budowie. Ale to nie on. Ożywili się dopiero wówczas, gdy zbliżali się do kurajowskich pól i w chmurach pyłu błysnęły białoskrzydłe zwiastunki morza. Chłopcy poderwali się na platformie.

— Mewy! Mewy!

Nie odrywając oczu śledzili te krążące w kurzawie białe skrawki, które przypominały im, być może, dziewczęce nie napisane listy.

W domu Inna zastała wesoły zgielk, a pod gruszą całe zgromadzenie. To Andron Huryjowicz przyjechał na urlop. Jak zawsze bez telefonicznego uprzedzenia. Posadzony za stołem na honorowym miejscu, krępy,



zupełnie łysy, przyciąga wzrok marynarską koszulką w poprzeczne paski. Rodzinny rozgwar, podniecenie. Dziewczęta paradują w nowych zagranicznych apaszkach, do Inny podbiegają dzieci, chwając się jakimiś dziwnymi muszlami. Mama niesie talerze z przekąskami, chociaż na stole już pełno jedzenia; mijając Innę uśmiecha się do niej szczęśliwie, no bo cóż to za dzień: zebrała się przy stole cała rodzina! Mama jest w nowej jabłkowej chustce, zawiązanej po dziewczęcemu wokół głowy, co ją bardzo odmłodziło.

Andron Huryjowicz, który jeszcze przed chwilą był zamyślony, na widok siostrzenicy rozjaśnił się, wstał na powitanie i nawet zdobył się na komplement.

— Jak to wyładniała przez te dwa lata... Prawdziwa piękność! Taką to można spotkać tylko gdzieś na ulicach Kalkuty...

Dziewczyna zmieszała się, patrząc na wuja pogłębianymi teraz, rzucającymi skry, czarnymi oczyma.

Kiedy się całowali, Andron Huryjowicz może na nieco dłużej niż zwykle przytulił do jej twarzy kłujący policzek. Inna wyczuła w tym jakby szukanie współczucia w nękającym go jakimś nieszczęściu i nagle zrobiło się jej bardzo żal starego.

— Tobie też przywiozłem upominek — szepnął jej do ucha. — Później ci dam.

I znowu usiadł przy stole, nie zabierał się jednak do jedzenia.

Inna jeszcze raz lub dwa złowiła na sobie napięte spojrzenie jego szarych oczu. Wpatrywał się w nią uważnie, jakby zaglądał we własną i jeszcze czyjąś młodość, w której być może spoglądały na niego takie skrzące, czarne oczy...

Ojciec Inny też siedzi przy stole, z powodu takiej okazji urwał się z pracy pozostawiając w zastępstwie syna, który prowadzi już kombajn nie gorzej od ojca.

Chłopiec tylko czeka na to, żeby pokazać, co potrafi. A matka po prostu kwitnie wśród gości, nawet nie usiadzie, zachęcając wciąż wszystkich do jedzenia i picia. Takie wydarzenie!

Za stołem ciasno, gorąco na tej zaimprovizowanej uczcie. A zebrała się prawie cała rodzina: obok ojca błyskają opalonymi twarzami bliźsi i dalsi kuzynowie, przeważnie też mechanicy, wesoło trajkoczą krewne różnych stopni, nawet mało znane dziewczęta i młode kobiety poprzybiegały z ferm, bo chociaż to dziesiąta woda po kielisku, ale jednak Jahnycze. Ojciec, jak zawsze po kieliszku, jest dla Inny bardzo dobry, posadził ją obok siebie, nawet objął ją ramieniem, ale na krótko, bo po chwili znów zwrócił się do sąsiada, mechanika z fermy.

— Teraz to jestem już na sto procent spokojny, rozumiesz? Nie boli mnie już głowa o mego chłopaka. Ujawnił się w nim talent, i to jaki! Kiedy szykowaliśmy kombajn, na krok mnie nie odstępował i ciągle deptał mi po piętach, tymi oto rękami sprawdzałem z nim wszystko, gwint po gwincie, węzeł po węźle.

Inna zauważyła, że na dźwięk słowa „węzeł” stary Jahnycz jakby nagle ocknął się z drzemki, ożywił się na chwilę, po czym znów pogrążył się w zadumie.

— A jak się nie lenisz i podregulujesz węzły, to wiesz dobrze, że to w robocie się opłaci — mówił dalej ojciec. — Zajrzyj kiedy z fermy do nas, Tymoszo, zobaczysz, jak daleko zaszliśmy już z Petrem: po czystym ściernisku, po koszeniu zboża przy samej ziemi poznasz, jak pracujemy. Każdy ci powie: gdzie najczystziej, tam przeszła załoga Jahnyczów. Ojciec i syn!

— A to najważniejsze! — odparł mechanik. — Bo jak ty do zboża, tak ludzie do ciebie.

— Tylko krzywda nas spotkała w tym roku, wielka krzywda... — kombajnista pokręcił z troską głową i

zaczął znów o tej ognistej wichurze, o klęsce neurodzaju, o brakujących kwintalach...

— Dalibyście już spokój z tymi swoimi kwintalami — strofowała wesoło matka, przechodząc koło męża. — Na nowych ziemiach podobno obrodziło bardzo dobrze, bez chleba nie zostaniemy.

— Czego wy tak biadolicie? Kurajówka też odstawi swoje! — poparła ją ciotka Nela, energiczna, o ostrych rysach, siedząca na eksponowanym miejscu obok honorowego gościa. — Chociaż ziarno nikłe i spieczone, to i z takiego upieczemy komuś weselny korowaj — spojrzała znacząco na Innę.

— Pozwólcie powiedzieć gościowi chociaż słowo — przypomniała gospodyni. — Niech opowie nam coś o świecie. Bo pobędzie tu trochę i znowu pod swoje żagle, na słone wiatry. Chyba mu już całe serce zasoliły... Masz głos, Andronie!

Gość jednak jakby tego nie słyszał, widocznie nie był w nastroju do rozmowy. I kieliszek stoi przed nim nietknięty, pełny. „Czy on czasem nie jest chory?” — pomyślała z niepokojem Inna. Był wyraźnie przybity, przeżywał jakiś wewnętrzny kryzys. Biesiadny gwar jakby do niego nie docierał, coś go gnębiło. Pali jednego popierosa za drugim, od czasu do czasu marszczy posępnie poorane pługiem lat czoło.

Inna szczerze mu współczuła. Co mu tam świat, kiedy ten człowiek własny świat nosi w sobie, świat niedogadniony, miotany burzami niepokojów, niedostępny dla innych. I to ten sam wujek Andron, który kiedyś, gdy była jeszcze mała, przyjeżdżał do Kurajówki pełen wigoru i zabawiał Innę różnymi zabawnymi historyjkami; ten sam, który brał ją na barana, za którym wszędzie biegała i prowokowała do psot, drażniąc go zabawnie podchwyconą gdzieś od starych ludzi piosenką:

Oj, ty krawiec gryzinitka.  
oj, królowna ja niebrzydka!...

Wtedy wymawiała jeszcze „klólewna”...

Lata nie szczędzą człowieka, jak krótko jednak się żyje! Po uniesieniach wiosny i płodach lata przychodzą nieodwracalnie jesienne mgły i szarugi.

Chyba tylko o dziesięć lat Jahnycz jest starszy od swojej siostry, która była w tym domu najmłodsza i jako jedyna z jego sióstr pozostała przy życiu, nie jest więc już młoda, ale trzyma się jeszcze nieźle, a dziś wręcz rozkwitła, podczas gdy on...

Położył dłonie na stole. W ciągu tych wszystkich lat i niezliczonych rejsów utworzyły się na nich jakieś gruzły i żylaste supły, jakie mieli kiedyś galernicy, przykuci łańcuchami do wiosła.

— Może byśmy coś zaśpiewali? — zawołała buńczucznie ciotka Nelka. — Co tak będziemy siedzieć jak mruki!

— Pani chyba nie do śpiewu — zaśmiała się jedna z młodych dojarek. — Futra i tym razem nie ma.

— A po cóż mi futro? Chociaż ja bez futra, ale moja chata w „futrze”. Prawda, wuju Andronie? — i chwyciła porywczo marynarza za szyję. — Moda na futra już minęła, lepiej niech mi wuj przywiezie wyprawiony kożuszek, dobrze? A jak nie, to syn mi wnet przywiezie. Ma już w lecie wrócić. Namawiam go, żeby szedł do handlu, a on nabił sobie głowę marynarką i nie chce o niczym słyszeć. Urzekliście go, Huryjowiczu, swoimi wypchanymi ptakami.

— Szkoła morska ma wąskie wrota — rzuciła chmurnie ciotka Wasylina, wdowa po jednym z kuzynów Jahnyczów. — A nawet jeśli który do niej trafi, to szybko stamtąd wylatuje. Nawet gdyby był synem nauczyciela.

Była to wyraźna aluzja do Wiktora Weremienki, i to aluzja dość nietaktowna. Inna poczuła, że się czerwieni.

— Mój jak już tam trafi, to na pewno nie wyleci — odparowała dumnie Nelka. — W szkolnej brygadzie roboczej przoduje, a w ubiegłym roku, jak wiecie, w rejonowym współzawodnictwie oraczy został czempionem... To na stepie, a na morzu będzie odwałał jeszcze równiejsze skiby... — i znów spojrzała przymilnie na krótko przystrzyżone wąsy marynarza. — A wuj ma wszędzie plecy, prawda, to niech go tam zaproteguje, dobrze, kochanieńki?

Orionowiec milczał, jakby chciał przestrzec ją tym milczeniem, żeby jej syn nie liczył tam na lekki chleb. W szkole morskiej, tak jak na „Orionie”, nie matka z miodem na ustach będzie go witać, lecz ostry dzwonek alarmowy, zawieszony na podwórzu, który ma ółbrzymią władzę, odmierzając czas tak, by chłopcy nie mitręzyli go. Będzie chłopaka ganiał i popędzał bez przerwy, wszędzie dopadnie go jego bezlitosny, miedziany dźwięk, czatując na każdą minutę ucznia. Nie zdąży jeszcze ukończyć porannej gimnastyki, a tu już szybko, szybko! — do klasy, gdzie czeka na niego gąszcz wykresów i tablic, ekrany, podręczniki nawigacji i różne wymyślne instrumenty... Całe życie ucznia zaplanowane jest co do sekundy od rana do nocy, jest on na nogach od świtu do zmierzchu, a później marsz na statek do internatu, który różni się od innych tym, że jego sypialnie nazywają kubrykami.

— A może rzeczywiście nie warto zawracać sobie głowy tą szkołą morską? Może niech lepiej stara się do tej drugiej, szkoły rybołówstwa?

— Przyślij go do mnie, sam z nim porozmawiam — burknął orionowiec.

Przed domem zatrzymał się samochód. Przyjechał

Czerednyczenko. Mechanicy jak na komendę poderwali się. Gospodarz Fedor Jahnycz, zwrócony twarzą do ulicy, wystąpił do przodu, chcąc — zdaje się — wziąć na siebie odpowiedzialność za innych kołchoźników, uczujących podczas godzin pracy. Był teraz spocony nie mniej niż na kombajnie i kręcił głową tak, jakby miał przyciasny kołnierzyk, chociaż koszula była rozpięta.

— Patrzcie, gdzie oni biją rekordy! — powiedział przewodniczący z udaną złością, zbliżając się do biesiadników. — Czy wyście powariowali? Zboże czeka, droga każda minuta, a wy tu sobie uczujecie?!

— My tego... my właśnie... — mykał zmieszany gospodarz uśmiechając się z zakłopotaniem. — Widzi pan przecież, kto przyjechał?

— Widzę, widzę... — surowy wzrok Czerednyczenki spoczął na orionowcu. — A ty co, stary sabotażysto, chcesz nam podciąć żniwa? Nie mogłeś wybrać innego dnia? No ale co z takim robić — dodał już wesołym tonem, podszedł do marynarza, objęli się i serdecznie ucałowali.

Mechanikom nie trzeba było drugi raz przypominać, co mają robić: bez zbędnych pożegnań czmychali jeden po drugim i po chwili dolatywał już tylko z różnych stron warkot ich motocykli, które stały dotąd pod parkanem. Kobiety też poodchodziły, z obcych została tylko Nelka i młoda mężatka z sąsiedztwa, które o czymś szeptały na werandzie z gospodynią, ale i one wkrótce wyśliznęły się niepostrzeżenie.

Tymczasem zapadł już wieczór, grusza spowiła się mrokiem, więc matka zapaliła na zewnątrz werandy żarówkę, żeby przyjaciele mogli napatrzeć się na siebie. Byli już teraz przy stole sami. Inna, nie chcąc im przeszkadzać, dyskretnie usunęła się z krzesłem za gruszę i usiadła tak, by mogła słyszeć, o czym rozmawiają

i obserwować spotkanie po kolejnej dłuższej przerwie dwóch, jak ich nazywała, pobratymców.

— No to jak, jeszcze podskakujesz? — spytał Czerednyczenko ciepłym głosem.

— Trafieś jak kulą w płot — Jahnycz zapalił papierosa, twarz jego spochmurniała.

— Nie te wiatry powiały? Czym się tak martwisz? Rangę ci obniżyli? Narozrabiałeś? A może pobiłeś się w Marsylii z marynarzami o francuskie dziewczyny? — i nie otrzymawszy odpowiedzi na te żartobliwe pytania spytał serio: — Dużo ci dali urlopu?

— Dożywotnio...

— Coś ty?! — zachnął się Czerednyczenko. — Zwolnili cię?

— Nie jestem wieczny, jak się okazało. Honorowy dyplom w zęby i jazda na tym dyplomie jak na spadochronie — Jahnycz wbił ponure spojrzenie w róg stołu. — Kura, bracie, kura...

Ostatnie słowa wydychał tak ciężko, z takim bólem i rozpaczą, że Inna zadrżała.

Nikt postronny nie odgadłby, co ta „kura” znaczy. Jahnycz w rozmowie z przyjacielem użył tego starego owczarskiego określenia jak jakiegoś szyfru, znanego tylko im dwom, wtajemniczonym.

Był kiedyś u nich stary owczarz nazwiskiem Łebid, mędrzec kurajowski, i jemu to właśnie przypisywano autorstwo tego terminu. Wracając z pastuszym kosturem ze stepu w jesienną szarugę w mokrej siermiędze, na pytania jak się tam żyło i jak się czuje, odpowiadał zwykle: „Kura, bracie, kura...” Słowo to można było rozmaicie tłumaczyć, na przykład że w stepie były wściekłe, przenikliwe wiatry albo że w nogach wierci i spać nie daje, albo też że jego życie zbliża się nieubłaganie do fatalnej granicy... Inna już przedtem słyszała nieraz to zagadkowe słowo „kura”, akcen-

towane na drugiej sylabie; używało się go w zwrotach żartobliwych lub smutnych, ale żeby tak jak teraz... I nawet nie były potrzebne żadne wyjaśnienia do tej ich „kury”: stare owczarskie porzekadło zawierało w sobie to wszystko, czego nie można było wyrazić żadnym innym słowem, i łączyło ich jak jakieś tajne hasło.

Czerednyczenko od razu je rozszyfrował, zrozumiał i odczuł w pełni jego dojmującą treść.

— Za wcześnie nam myśleć jeszcze o „kurze” — rzekł po chwili milczenia. — Życie, Andronie, każe nam się jeszcze trzymać. To jeszcze nie koniec drogi.

— Koło już się zjeździło.

— Skrzypiące koło dłużej się kręci...

Znowu umilkli. Inna siedziała bez ruchu, jakby się bała spłoszyć ich zadumę.

Matka, wyczuwając instynktownie, że pod gruszą rozgrywa się w milczeniu jakiś dramat, podeszła i przysiadła się do stołu. Brat nic jej nie powiedział o swoich kłopotach, nie zdążył czy też może celowo zataił, żeby nie zepsuć nastroju powitania. I siostra, i wszyscy inni cieszyli się jego przyjazdem, przekonani, że i tym razem przyjechał tylko na urlop; tymczasem — zwolniony, za burtę...

— Nie przejmuj się — powiedział Czerednyczenko do przyjaciela, siląc się z trudem na beztroski ton. — To jest właśnie ten moment, kiedy trzeba wyróżnić niebezpieczeństwem o ziemię! Kurajówka cię przygarnie, nie zostawi ciebie na pastwę losu.

— Do czego mógłbym się wam przydać? — spytał Jahnycz, przydeptując niedopałek papierosa. — Wiazać węzły? Po co wam to?

— I żagli nie ma — westchnął Czerednyczenko. Zniknęła kurajowska flota. Przypominasz sobie, jak tu kiedyś było: postawi człek żagiel albo babską spódnicę



napnie na drążku, i jazda łodzią z kawonami do miasta na bazar... Pamiętasz, jak burza zagnała dziadka Szwaczkę z kawonami i z babą aż do Turcji? Wracali potem piechotą dwa miesiące: ani łodzi, ani kawonów, tylko babę przyprowadził za rękę... A teraz kawony odbierają kontenerami wprost z basztanów. Na kombajn — ciągnął po chwili — też ciebie nie posadzę. Mógłbyś machać kosą na miedzach, ale to praktykuje się u nas tylko raz do roku, na święto pierwszego snopa. Dawniej może byś się przydał do „fregaty”, co robi sztuczny deszcz, ale teraz ona sama się obraca.

— Wygląda na to, że pozostało mi tylko wypychać ptaki.

Czerednyczenko siedział w zatroskanej zadumie. Problem Jahnycza stał się jego własną sprawą.

— A mówiłem ci kiedyś, Andronie: nie związuj się z tym „Orionem”...

— Zostaw „Oriona” w spokoju, dobrze? — rzucił chmurnie Jahnycz, i z jego tonu Czerednyczenko wy-czuł, że kontynuowanie dyskusji na ten temat byłoby zarówno bezprzedmiotowe, jak i ryzykowne.

— A może chciałbyś zostać polowym stróżem? Tylko się nie obrażaj. My tu ludzie swoi, a stróż to też człowiek.

— Mego brata więcej ciągnie do morza — nie wytrzymała już dłużej w milczeniu gospodyni.

— No cóż, mamy też swoje morze — podchwycił Czerednyczenko. — I nasza rybacka brać nie przepiła jeszcze wszystkich sieci. Co prawda, u nas dziś ryby w stawach i kanałach, a w Morzu Czarnym pływają tylko meduzy jak kapelusze.

— A on to chyba i za meduzami tęskni — dorzuciła matka.

— Nie damy mu tęsknić. No i tyś nie z takich, żeby tęsknić. Znam twoją naturę. A w ogóle to niezły wę-

zeł ci zawiązali pod koniec życia! Chociaż, zdaje się, jeszcze nie czas mówić o końcu, proch jeszcze jest, tak na oko, to jeszcze kozak z ciebie, że ho,ho!

— A medyki zwolniły.

— To kiepska sprawa, z medykami nie wygrasz. Więc rzeczywiście wygląda na to, że „kura”... No to jak? — spytał po chwili. — Strzelbę na ramię i na posterunek w pole? O złodziejach, co prawda, u nas nie słyhać, ale dla porządku pilnować trzeba. Robota w sam raz: w dzień śpisz sobie w cieniu, a w nocy patrzysz w kosmos i liczysz gwiazdy...

Obaj unieśli głowy w górę i wpatrywali się w gwiazdy, przezierające przez gałęzie gruszy.

— Zastanowię się — powiedział Jahnycz po chwili. — Może właśnie tak trzeba będzie... I może rzeczywiście przyjdzie liczyć te kurajowskie gwiazdy, póki nie policzę wszystkich.

## 11

No i został tu.

Gdy wynikła sprawa noclegu, Inna zaproponowała wujowi przygotowany dla niej przez matkę schludny pokoik, jednak gość stanowczo odmówił. Nie chciał w ogóle sypiać w mieszkaniu, chociaż miejsca było dosyć, jest wolna otomana, bo obaj kombajniści nocują w stepie. Nie trzeba mi otomany, powiada, poza tym dużo palę, wstaję w nocy. Poprosił tylko o łóżko polowe i sam ustawił je pod gruszą. Tak będzie lepiej.

„No dobrze, teraz lato, a co będzie w jesieni?” — korciło siostrę spytać, ale się powstrzymała, po co mówić o przykrych rzeczach.

Brat ciągle zaprzętał teraz jej myśli. Przyzwyczała się już do tego, że przyjeżdża, pobędzie trochę, i znów odjeżdża. Zdawało się, że tak będzie zawsze, tymcza-

sem... Oczywiście cieszyła się, że on tu zostanie, to przecież rodzony brat, rodzina jej żyje w zgodzie, będzie tu miał rodzinne ciepło, tylko jak on sam będzie się tu czuł? Zamiast starej jest nowa chata, postawiona bez niego, co prawda podwórze jest ojcowe i grusza też, przynajmniej połowa jej należy do niego. Ale czy zapewni mu to dobre samopoczucie? Z jego drażliwością, być może, będzie uważał, że jest dla wszystkich ciężarem, wszystkim sprawia kłopot swoją osobą, samą swą obecnością narusza ład ich zwyczajnego, uporządkowanego życia.

Pościeliwszy sobie gość od razu położył się i zdawało się, że zmęczony drogą szybko zasnął; kiedy jednak Inna, sprzątając ze stołu, przebiegła po raz ostatni koło gruszy, wuj przywołał ją.

— Inko!

— Słucham... — nie wiedziała, jak zwracać się do niego. „Wujaszku Andronie” byłoby zbyt dziecinnie, a „wuju Andronie” brzmiałoby zbyt oficjalnie, a może nawet niegrzecznie. Pamięta, że w szkole medycznej niektóre dziewczęta określały terminem „wujo” chłopców, o których chciały się wyrazić pogardliwie. I chociaż nie uważała tego słowa za obraźliwe, szukała teraz jakiegoś innego określenia, wyrażającego jej szacunek dla brata matki. Zwróciła się w końcu do niego tak, jak się zwracała w szkole do nauczycieli.

— Słucham, Andronie Huryjowiczu.

— Chcę cię spytać o jedną rzecz.

— Proszę pytać — odpowiedziała zaintrygowana i trochę zmieszana.

On jednak milczał, jakby w ostatniej chwili się zawahał.

— Co to takiego... pite-kantrop? — zapytał jednak.

Pytanie było tak nieoczekiwane, a słowo tak zabawne, że omal nie roześmiała się.

— Jeśli się nie mylę, to jest to nazwa kopalnego gatunku człowieka czy może nawet półczłowieka. A po co to wujkowi?

— Ot, tak, chciałem po prostu wiedzieć.

— A jednak... Tak bez powodu wujek spytał?

— Bez powodu. Jednym uchem wpada, a drugim wypada — i zrobił gest, jakby rzeczywiście chciał oddać to dziwne słowo.

Inna odeszła kilka kroków, ale wróciła.

— Niech się wujek nie martwi.

— Z czego wnioskujeś, że się martwię?

— Z niczego, tak sobie... No a teraz, wujku, nerwy do rezerwy, jak mówią, i dobrze się wyspać, to wujka wzmocni.

— Po co?

— Jak to po co? Żeby żyć.

— A komu taki stary grat potrzebny?

— No wie wujek! Nie spodziewałam się czegoś podobnego usłyszeć od wujka. Człowiek nie może być niepotrzebnym gratem, jeśli to człowiek prawdziwy. I to ja mam to wujkowi tłumaczyć? Wujek stał się dla nas uosobieniem dzielności i wytrwałości. Człowiekiem, który nosi w sobie „Oriona”. A wujek: komu potrzebny... Aż przykro słuchać. Proszę spać!

Zakręciła się i odeszła.

Jeśli słowa potrafią uzdrawiać, to właśnie słowa Inny były Jahnyczowi teraz potrzebne. Z ostrą jasnością odczuł, że jednak nie jest tu przybłądą, że dla kogoś z rodziny jego osoba jednak coś znaczy. A okazuje się, że wystarczy być potrzebnym chociaż jednemu ludzkiemu sercu, żeby nasza obecność na ziemi była usprawiedliwiona. To małe odkrycie sprawiło mu cichą radość. Nawet się uśmiechnął: młoda dziewczyna, a patrzcie, jak starego strofowała. A to ci Inka!

Rano podarował jej chustkę. Taką jak matce, japoń-

ską, tylko weselszą: czerwone kwiaty na złotopomarańczowym tle. Wiedział, co jej przywieźć! Przyjęła ją jako dobry znak, chustka miała dla niej jakąś symboliczną wymowę: przypominała pomarańczowy kabat bez rękawów, który miał wczoraj na sobie Wiktor.

— Będę miała pamiątkę od wujka. Dziękuję!

Narzuciła przed lustrem chustkę na głowę, potem opuściła ją na ramiona i wykręcała się na wszystkie strony. Jahnycz rozkoszował się jej widokiem, wyglądała jak młoda Cyganka gdzieś z Kalkuty.

Matka słusznie jest z córki dumna. Skąd biorą się w Kurajówce takie smagłe krasawice? Z jakiego korzenia? Oczy czyste, a kiedy czasami zaśmieje się, to uśmiech też jakiś czysty. Nie tegoroczna, ale wrodzona opalenizna o morelowym odcieniu na policzkach i szyi, żywy rumieniec, dziewczęca świeżość, nie uświadomiona może jeszcze godność kobieca i duma, słowem: królewna-królewna! A przy tym to jej spojrzenie, które zauważył jeszcze wczoraj: głębokie, rozumne, dyskretnie współczujące.

— Dziękuję, wujku Andronie — dygnęła z uśmiechem jeszcze raz i dała chustkę matce, by ją schowała. — Niech poleży do zimy.

Poszła do pracy z gołą głową, faliste włosy o smolistym połysku spadały jej wdzięcznie na ramiona.

— Oto nasza uzdrowicielka — powiedziała matka, gdy została z bratem sama, kończąc śniadanie na w randzie. — Ta wszystkich uleczy — bo ma dobre serce. A spieszy się tak, jakby się bała, że jej ten punkt sanitarny ucieknie. Nawet nie zdążyła się rozejrzeć, a już żona przewodniczącego posadziła ją na swoje miejsce.

— Podobno Warwara często choruje?

— A gdy rzuci pracę, to zupełnie zmarnieje. Chyba sama to zrozumiała, bo rzuca tę pracę, rzuca, ale z rąk

jej nie wypuszcza. Wiadomo: bez pracy człowiek usycha. Ja na przykład im więcej mam kłopotów, tym jestem zdrowsza... A życie też mnie porządnie poorало. Siwieję już, tylko jeszcze brwi mam czarne. Uroda była, ale się zmyła, jak to mówią. Tyle tylko, że nie zniknęła bez śladu, przeszła na córkę.

— Szczęśliwa jesteś, siostró, że masz takie dzieci.

— To prawda. Dla matki nie ma innego szczęścia.

— Trzeba by znaleźć teraz dla Inki godnego jej męża. A może sama już znalazła?

— Czyś nie zauważył wczoraj, jak się zaczerwieniła, kiedy Wasyłana bąknęła o synu nauczyciela? To przecież jej miłość. Dawna, jeszcze ze szkoły. Pierwsza miłość, jak to mówią. Boję się tej ich miłości. Czymś ją zaślepił, zadurzona jest bez pamięci w tym oberwańcu. Chyba znasz Wiktora?

— Weremienkę?

— Tak, jego, u nas jest tylko jeden taki pędziwiatr. Na traktorze nie chciał zasiąść jak inni, więc zasiadł na ławie oskarżonych... Ile ta jego matka łez wylała, jeszcze dotąd nie wychodzi z domu, bo wstyd jej przez niego ludziom na oczy się pokazywać. A on po odsiedzeniu kary unika teraz Kurajówki, gdzieś utknął w mieście, podobno nie wyłazi z knajpy i bawi się z koleżkami, chuligan, włóczykij, a ona za nim świata nie widzi...

— Nie możemy jej za to osądzać — zauważył brat.

— Wiesz przecież sama: serce nie sługa.

— Wiem, wiem. Ale kiedy pomyślę, że będę miała za zięcia takiego łobuza, że będę po nim zmywać talerze... No bo czyż ona jest dla niego? Ukończyła szkołę z wyróżnieniem, cały świat stoi przed nią otworem... Prócz tego, że medyczka, to jeszcze i poetka, sama ułożyła pieśń!...

— Pieśń? Inka?

— Nasze radio już dwa razy nadawało: słowa Inny Jahnycz. A muzyka? Muzyka chyba też jej. Niektórzy mówią: komu potrzebne te nowe pieśni, kiedy i starych już nie śpiewają. Bo teraz to więcej słuchają gotowych, boją się gardło nadwerężyć. A według mnie, jeśli dziewczyna miała ochotę ułożyć tę pieśń, to niech tam, komu to przeszkadza? Czasem człowiekowi tak jakoś jest na duszy, że tylko pieśnią można to wyrazić. Pamiętasz, ile nasza mama знаła tych pieśni: i na co dzień, i od święta... Ale ja tu z tobą, bracie, gadu-gadu, a tam moje wróbelki czekają — przypomniała sobie o dyżurze w przedszkolu. — Moja zmienniczka gdzieś już tam język strzępi.

— Masz dużo kłopotu z tą pracą?

— Oj, dużo, ale i tak lżej niż na kombajnie. Dał mi porządnego łupnia! Dopóki byłam młoda, to jeszcze jako tako, nawet było przyjemnie, gdy ludzie mówili: patrzcie, to Jahnyczowa, ta co razem z mężem pracuje na kombajnie. No ale potem było coraz trudniej, wreszcie widzę, że dłużej nie dam rady. To już nie dla ciebie, Hanno... Nie skarżyłam się, Czerednyczenko sam zauważył. „Sława i chwała ci za kombajnowanie, Hanno — powiedział. — A że tak pięknie wychowałeś syna na szturmana stepowego statku, masz więc zdolności wychowawcze, no to przenoszę cię od dziś do przedszkola”. No i raduję teraz stare oczy dziećmi. Musisz mi wybaczyć, braciszku, pobiegnę już chyba, sam teraz pilnuj tej gruszy...

— Popilnuję — odparł głucho orionowiec.

Ale gdy tylko siostra wyszła, zaczął gdzieś się zbierać: wystroił się, krygował się przed lustrem, brzegiem dłoni dotknął wąsów.

Po chwili paraduje już ulicami Kurajówki. W okresie żniw są one wyludnione, tylko od czasu do czasu

wyskoczy na ulicę dziecko. Kiedyś było tu dzieci jak wróbli i jak wróble tarzały się w kurzu, teraz ich znacznie mniej; marynarz nie minie żadnego, by nie zagadnąć.

— Czyj jesteś?

— Jakowa.

— Którego Jakowa?

— No tego... Jahnycza.

A potem długo jeszcze wypytuje się, z których to Jahnyczów jest ten mały Murza Zamurzowicz. Okazuje się, że nie jest żadnym jego krewnym. Przykro mu jednak, że w kieszeni jego nie zachował się już żaden upominek, bo dzieci jak to dzieci... Nie wszystkich natomiast dorosłych darzy podobną sympatią. Różni są, a zdarza się spotkać takiego kombinatora, dwulicowca, krętacza, taką odrażającą mordę, że nie chciałbyś go już nigdy więcej widzieć na oczy, po prostu paskudztwo nie człowiek! Dzieci natomiast zawsze Jahnycza pociągają, zawsze są mu bliskie, zarówno w swoich, jak i obcych portach... Choćby to o jasnej główce, co wlaźło na wiśnię i spogląda teraz na ciebie przez gałązki, czy ten wyrostek, co tak zabawnie pedałuje z trudem ulicą na rowerze. Jacy oni będą? Jaki będzie ich stosunek do rodzinnej Kurajówki? Czy wspomną kogoś stamtąd, gdy ją opuszczą?

Rozrosła się ta Kurajówka, rozbudowała, wiele niezajomych chałup, a wszystkie kryte eternitem — strzechy spotyka się już bardzo rzadko, nie mówiąc już o lepiankach z nie wypalanej cegły czy też szafasach. Z młodych chyba mało kto już wie, jak stawia się chatę z takiej cegły, nie słyszeli już też, jak — powiedzmy — warczy kołowrotek lub jak w stepie tłucze się proso na kaszę... A byli w Kurajówce również i tacy, którzy nawet zwykłej chaty nie mieli, mieszkali w lepiankach z gliny... Dziś nikt już nie uwierzy, że



ludzie żyli w szałasach plecionych z łoży; dzieciństwo Jahnycza upłynęło w takim właśnie pałacu... Zostawiłoby przynajmniej dla muzeum jakąś kaprawą lepiankę, żeby było z czym porównać to dawne z dzisiejszym... Wyszukowali dom kultury na sześćset miejsc, dom towarowy jaśniej wystawami nie gorzej niż w mieście; zresztą sama Kurajówka chyba stanie się kiedyś miastem, jakimś nadmorskim Kurajgrodem.

Jahnycz dotarł w końcu do centrum wsi i skierował się od razu do obelisku, tak jak to czynił zawsze. Sy-labizuje powoli wyryte złotem w kamieniu nazwiska Dykopawłenków, Riabów, Czornych, Czerednyczenków i Jahnyczów — na Jahnyczach \* kończy się alfabetyczny spis niemal przy samej ziemi. Chybotliwy płomień znicza podsycany jest przez wymieniany od czasu do czasu balon z gazem. Wokół mnóstwo kwiatów, różnobarwne róże są lekko zakurzone, sterczą nad nimi chwasty włośnicy i ostu, mimo że po drugiej stronie ulicy jest urząd gminny, młoda sekretarka widzi przecież przez okno te chwasty, mogłaby wyjść i powyrywać...

Jahnycz ruszył dalej. Zatrzymał się dopiero przy starym cmentarzu na końcu wsi. Odnalazł wśród bezimiennych zapadniętych pagóreczków mogiłki ojca i matki, które sam oparkanił podczas ostatniego tu pobytu. Stał przy nich w zadumie. Odślaniał się stąd widok na morze. Oślepiło go, przepełniło bólem. No i tak, Jahnyczu: z burzanów oglądasz teraz swoje młodzieńcze morze, jego kuszący wiecznie błękit. Prosił się w jeden chociaż jeszcze ostatni rejs, ale jego ostatnim rejssem będzie już tylko kurajowski cmentarz, porośnięty gorzkim piołunem. Wykopią ci tu ostatnią le-

---

\* Jahnycz w j. ukr. pisze się przez „ja”, które jest ostatnią literą alfabetu (przyp. tłum.)

piankę, nad którą, być może, jakaś dobra dusza zasadzi topole...

A tam on, „Orion”, chyba nieśmiertelny! Mknie gdzieś teraz nowym rejsem z nowymi kursantami, po Morzu Egejskim, najbardziej niebieskim z mórz. Chłopcy płyną w sprzyjającym wietrze, pokonując wspaniałe lśniące przestworza, a nad nimi dzwonią i śpiewają żagle. Może właśnie na tych wodach płynie teraz twój „Orion” w honorowej eskorcie delfinów. Wiadomo, że delfiny lgną do ludzi, może i one, morskie stworzenia, odczuwają potrzebę ludzkiego ciepła? Mają największą uciechę, gdy płyną obok „Oriona”, popisując się przed młodymi marynarzami swą zręcznością. Prężne i lśniące, wyskakują w kształcie łuku ponad wodę, hasają wesoło, przesyłając załodze i Jahnyczowi przez srebrzyste bryzgi wody swoje rozbawione uśmiechy. Niekiedy nachodziła go zwodnicza myśl: a może to jego potopione pod bombami dzieci przeistoczyły się w podwodne, wesołe delfiny i żyją nadal, przystosowane do innego, wodnego życia?

Kiedy w powrotnej drodze z cmentarza Jahnycz przechodził koło piekarni, ujrzał w drzwiach Nelkę.

— Dzień dobry, wujaszku! Na spacerek?

Z wnętrza bił w nozdrza gorący smakowity zapach świeżo upieczonego chleba. Nelka stała w białym fartuchu, zaczerwieniona, rozgrzana, przyjazna.

— Wyjęłam właśnie z pieca świeżutkie chałki, może poczęstować?

— Nie, dziękuję.

— To może choć obwarzanka?

— Za obwarzanka też dziękuję.

Zaczęła znowu mówić o synu. Całą noc nie spała, ciągle suszy sobie głowę, czy ma on iść czy nie iść do tej szkoły morskiej. Czy wytrzyma tam, czy go nie przepędzą?

— W szkole morskiej wiadomo: miodem nie karmią — odpowiedział Jahnycz powściągliwie. — Przyglądać się marynarzom jak maszerują na defiladzie w czapkach ze wstążkami, to jedna sprawa; ale gdy się patrzy, jak chłopak nieumiejętnie czyści na pokładzie stalowy koniec liny zakrwawionymi rękami, to marynarka wygląda wtedy mniej romantycznie.

— Rany boskie!

— Dlaczego nie przysłałaś go do mnie?

— Wstydził się. Jak mnie przyjmą, powiada, to wtedy pójdę... Bo dziadek gotów jeszcze pomyśleć, że jestem słabeusz, że szukam protekcji, powiada, nie chcę mu się narzucać, powiada... Jednak namówię go chyba na technikum handlowe. Zaczyna jakby się skłaniać...

— Jeśli się skłania, to jego sprawa. Tylko kiedy już nauczy się tego handlu, to żeby ludzi nie oszukiwał.

Jahnycz zamierzał już iść dalej, ale Nelka go zatrzymała.

— Jeszcze chwileczkę.

Czmychnęła do piekarni i wybiegła po chwili z wielką, białą bułką w ręku. Jahnycz już dawno nie widział tak wspaniałej bułki i uśmiechnął się na jej widok. A to ci Nelka, upiec coś takiego, to też trzeba mieć talent.

— Proszę wziąć, bardzo proszę... Gorąca, jeszcze od-dycha...

— Ależ to prawdziwy kołacz! Komuś by na wesele, a ty... nie, nie! — odmówił energicznie, ale gest Nelki wzruszył go. — U nas na stole dość pieczywa.

— Wiem, ale obok ich pieczywa niech będzie i wuja, ta...

— Póki co mamy pieczywo wspólne — powiedział niemal obrażonym tonem. — Chleba jeszcze nikt mi nie wypomniał. I da Bóg, że nie wypomni — dorzucił i poszedł dalej.

Drzwi domu kultury, na których jeszcze niedawno wisiała kłódka, były teraz otwarte. Jahnycz postanowił wejść. W obszernym, jasnym westybulu nie było żywej duszy. Cisza, nie słychać żadnych kroków. Przyciągają wzrok wiszące na ścianach duże obrazy, które Czerednyczenko zamawia w pracowniach plastycznych i dobrze za nie płaci, uważając, że na to nie można szczerdzić pieniędzy. Na największym obrazie ferma drobiu, białe kury czy gęsi, dalej staw z rosnącą nad nim jaskrawozieloną wierzbą, a w jeszcze dalszej perspektywie, gdzieś aż pod sufitem, młody traktorzysta z uśmiechem na dzielnej twarzy... Widać, że malarz nie żałował farb, kładł je gęsto, zdawało się, że lada moment pociekną z płótna.

W odległym kącie westybulu w oszklonej gablocie coś zielenieje i lśni coś przezroczyściego jak woda. Czyżby akwarium? Jahnycz podszedł wolno do gabloty. Nie ma żadnej wody. Sterczą palmy o liściach ostrych jak u turzycy, a pod nimi wśród sztucznych krzaków i kamieni — jego, Jahnycza, wypchane ptaki! Przylepił się twarzą do grubego szkła gabloty i znieruchomiał z wrażenia. A to ci dopiero!

Gdyby ktoś tu teraz wszedł, ten obraz byłby ciekawszy od wszystkich innych: po jednej stronie szyby gabloty majster, a po drugiej jego wypchane, zasuszone ptaki różnej wielkości: drozdy i żurawie, jaskółki brzegówki o białym podbrzuszu, nietutejszy kormoran, tropikalne papugi o pstrym upierzeniu... Każde z nich swym nieruchomym szklanym okiem patrzy czujnie na swego twórcę. Skamieniałe, zasuszone, zakurzone mimo iż są za szkłem, nigdy już się nie poderwą, nigdzie stąd nie polecą.

Jahnycz odwrócił się gwałtownie i szybko odszedł od gabloty. Chciał zajrzeć jeszcze do sali. Drzwi nie były zamknięte, wszedł do wnętrza. Półmrok i chłód. To

nie sala, lecz cały statek. Wszędzie porozwieszane ha-  
sła na czerwonym płótnie, w głębi sceny dekoracja,  
przygotowana dla jakiegoś przedstawienia i nie usunię-  
ta dotąd: biała chatka, fragment płotu z przełazem i  
garnki na sztachetach, obok dziewczyna w wyszywanej  
bluzce, w wianku na głowie, z koromysłem na ramie-  
niu... Jak żywa. Postawą tak podobna do Inki! Może  
pozowała do tej dekoracji?

Wygodne krzesła lśnią czarnym lakierem, siedzenia  
obite błękitnym pluszem. Aż ma się ochotę usiąść. U-  
siadł więc stary Jahnycz na pluszowym foteliku i  
westchnął. Jest sam. Samiuteńki na sześćset błękit-  
nych, pluszowych miejsc!

## 12

Z lewego skrzydła drugiego piętra domu kultury  
dochodziły czyjeś kroki. Kiedy Jahnycz wszedł tam  
po szerokich schodach, na uchylonych drzwiach wid-  
niała tabliczka z napisem: „Historyczno-krajoznawcze  
muzeum wsi Kurajówka”.

Wszedł do środka. W samym kącie, za kołowrotekami  
i starymi stępami rozpoznał z trudem w skulonej po-  
staci Panasa Weremienkę. Bardzo się postarzał, skur-  
czył i zmalał, przypominał teraz mumię staroegipską.  
Słońca nie ma, a on w ciemnych okularach, na głowie  
kapelusz z kapronowej słomki. Usłyszawszy czyjeś  
kroki Panas Omelianowicz odłożył jakieś przedpoto-  
powe motowidło z niemi, uniósł głowę.

— Kto tam? — spytał jakby spłoszony.

Jahnycz podszedł bliżej i stanął przed nim: może  
go jednak pozna przez te ciemne okulary?

Na twarzy Weremienki malował się niezrozumiały  
niepokój.

— Ktoś ty? Czy to ty, Witia?

To straszne. Nie poznaje go. Patrzy z bliska prosto w oczy, a wydaje się mu, że stoi przed nim nie stary Jahnycz, lecz jego chłopak.

— Nie poznajesz? Jahnycz. Andron.

— Andron? Władca mórz? Wybacz, przyjacielu — twarz kierownika muzeum rozjaśniła się. — Już słyszałem, że jesteś w Kurajówce. Proszę bliżej. Ślepnę, Andronie...

— Trzeba by do Odessy, do tego instytutu światła...

— Byłem. Początkowo nastąpiła pewna poprawa, a teraz znowu... gaśnie świat. Wszystko się rozplywa, ciebie też widzę jak przez tafelę wody. Jakbyś stał w wodzie zanurzony z głową.

Jahnyczowi znowu zrobiło się przykro. Jest już dla niego wodorostem...

— No więc strzegę naszej przeszłości, Andronie. Dla innych to przeszłość, ale dla ciebie i dla mnie jest ona ciągle żywa... Oto natrafiłem przypadkowo u dziadka Korszaka na motowidło, będzie jeszcze jeden eksponat. Ma ponadto u siebie ręczne żarna, ale nie chce ich dać.

Zaczął pokazywać Jahnyczowi muzeum. Był tu i dawny sprzęt rybacki, były stare zapaski i czepki kobiece, nawet cały warsztat tkacki przyciągnął skądś do muzeum jego dyrektor. Na stolikach w gablotach różne zasuszone rośliny, ostnica biała, oset, nawet łodyga piołunu. Całe herbaria z kurajowskiego świata roślinnego.

A na ścianach wszędzie różne portrety, powiększenia zrobione z fotografii do legitymacji, mętne i zamazane czy to z upływu lat, czy też z powodu niezbyt umiejętnego powiększania. Ilu też Kurajówka dała oczywiście wspaniałych ludzi, którzy wsławili się pracą lub sukcesami na wojnie! Samych tylko marynarzy na pół

ściany, zaś średni Czornobajenko osiągnął nawet rangę kontradmirała; zmarł niedawno we Władywostoku. Czerednyczenko bronił Odessy, a później odznaczył się w kerczeńskim desancie, Biłokiń otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego za Sewastopol, Szafran dotąd jeszcze łowi na sejnerach ryby na Atlantyku.

Jahnycz znalazł również swoją skromną osobę; ledwie poznał siebie na tym zdjęciu, stanowiącym powiększenie ze starej, małej fotografii, która zachowała się gdzieś u siostry: młodziutki majtek w marynarskiej czapce z wstążkami, a pod „eksponatem” podpis: „Starszy majster żaglowy żaglowca «Orion»” Wszystko się zgadza, tylko dlaczego „starszy”? A może rzeczywiście starszy?

Rozpoznał siebie poza tym na grupowej fotografii pierwszych kurajowskich komsomolców: leżał w jakichś sztylpach wsparty na ziemi przed całą grupą obok Żeńki Iwanyłowa, który podczas wojny dowodził batalionem czołgów i zginął gdzieś pod Królewcem; ze zdjęcia wybałuszał też na niego oczy bardzo wówczas jeszcze szczupły Czerednyczenko. Nie bez trudu odnalazł na tej wspólnej fotografii Panasa Omelianowicza, wówczas młodego nauczyciela, przytulonego z boku i już wtedy jakby wystraszonego. Była to pamiątka z pożegnania się ze środowiskiem. Chłopcy sfotografowali się wspólnie po raz pierwszy, a jednocześnie ostatni, w dniu święta Rewolucji Październikowej, zanim rozjechali się gdzieś po świecie... Wielu z nich już nie ma, pozostały tylko jednostki, wśród nich oni dwaj, zastygli teraz w smutku przed tymi fotografiami.

— A tę poznajesz? — spytał Weremienko z tajemniczą miną, podchodząc do kolejnej gabloty.

Z zatartej fotografii na eksponowanym miejscu patrzyła na nich krągłolica dziewczyna w lotniczym mun-

durze. Tak, to Sania Chutirna! Spogląda na nich z jakimś chytrym uśmieszkiem: no, jak wam się podobam, dziadkowie? Wszyscy kiedyś kochali się w niej na zabój, nikomu jednak nie udało się znaleźć klucza do jej gorącego serca. Wprawdzie śpiewała z nimi, chodziła nad morze, by wpatrywać się w księżycową ścieżkę na jego falach, jednak żadnego z nich nie wyróżniała, żadnemu nie otworzyła w nocy okienka...

Pewnej nocy Sania tajemniczo zniknęła. Myśleli, że się utopiła, zaniepokojona Kurajówka rozpoczęła nawet poszukiwania. Sania ujawniła się dopiero po pewnym czasie w szkole lotniczej aż na północnym Kaukazie. Podobno zaczęła jako kelnerka, podając kandydatom na lotników kompoty, a później tak zawróciła głowę jednemu z dowódców, że wnet się z nią ożenił. Wyszła za niego, jak mówią, nie tyle z miłości, ile dlatego, że chciała zostać lotnikiem, co twarzo jej przyrzekł. I dopięła swego: ukończyła szkołę, brała udział w dalekich lotach, które rozpoczynały się pod krymskim słońcem, a kończyły gdzieś w tundrze, i ustanowiła wspólnie z przyjaciółkami jakiś wybitny rekord. U szczytu sławy przyleciała aż do samej Kurajówki, lądując w pobliżu wsi na pastwisku dla owiec. Przeprowadziła do rodziców swego siwego męża, też bojowego pilota, który miał wtedy jeszcze wyższą rangę. Ach, Saniu, Saniu, niespokojny duchu!

Od pierwszego dnia wojny brała udział w lotach bojowych, straciła w bitwie powietrznej męża, jej jednak szczęście wciąż dopisywało, chociaż nieraz zdarzało się wracać do bazy w podziurawionej kabinie, za każdym razem jednak znów startowała do nowych zadań. Wydaje się, że dopiero tam, w powietrzu, żyła w całej pełni, w dziennych i nocnych lotach bojowych. I dopiero kiedy ruszyła lotnicza ofensywa, Sania Chu-



tirna zginęła w powietrznych walkach gdzieś nad morzem lub Półwyspem Tamańskim.

Orlica w bojach, miała duszę wrażliwą i serce gorące. Przed śmiercią oparzyła ją krótka frontowa miłość. Ostatni swój lot odbywała z młodym lotnikiem, którego spotkała między jednym a drugim lotem bojowym i gorąco pokochała. Zginęli razem i, jak głosi legenda, trzymając się w objęciach. Według oficjalnej wersji samolot został zestrzelony i nie było już dla nich żadnego ratunku, jednak niektórzy ludzie w Kurajówce utrzymują jeszcze dotąd, że Sańka „pomogła” w zestrzeleniu, tracąc panowanie nad sobą, a być może w wyniku zazdrości i w obawie, że utraci tę swoją po raz pierwszy w życiu odnalezioną miłość...

Przed jej portretem stali chyba najdłużej, wpatrując się w wiecznie już teraz młodą dziewczynę o sokolich skrzydłach.

— Naszej Sani już żadna starość nie dogoni.

— A nie dogoni — potwierdził nauczyciel. — Prawdę powiedział kiedyś poeta: „Dobrze jest umrzeć młodo...” Ale prawdą jest też, że lata rozświetlają umysł i przynoszą mądrość.

— Życie jest stopem jednego i drugiego — zauważył filozoficznie Jahnycz i zaczął wypytywać Weremienkę o syna: gdzie teraz jest i jak zamierza pokierować dalej swoim życiem.

— Żebym to ja wiedział — westchnął nauczyciel.

— Weź go za kark, Panasie, potrząśnij nim, żeby się opamiętał! — doradzał surowo Jahnycz. — Jeśli nie zależy mu na sobie, to niechaj chociaż nie bezczęści dziewczyny. Oni podobno się kochają, ale jeśli ją skrzywdzi, to będzie miał ze mną sprawę!

— Och, Andronie, Andronie, dotknąłeś mojej najboleńszej rany. Do grobu chętnie bym poszedł, żeby tylko on się zmienił.

— Może jednak odezwie się w nim sumienie?

Panas Omelianowicz stał zupełnie przybity. Kiedyś był taki żwawy, ruchliwy, gdzie to się podziało? Zesechł, pomarszczył się, został już tylko cień tamtego.

Na dworze — morze kurajowskiego słońca.

Koło biura kołchozu czeka na kogoś grupa znudzonych młodych ludzi, przyjezdnych a może i tutejszych: chłopcy w koszulkach sportowych, wśród nich dziewczyna z przerzuconą przez ramię „lotniczą” torebką, nadąsana, jakby na kogoś obrażona. Dziewczyna siedzi sama na jednej ławce, na ławce przeciwległej chłopcy w znudzonych, niedbałych pozach. Widocznie wzięli Jahnycza za tutejszego dozorcę, bo gdy się zbliżał, ktoś z chłopców powiedział: „Trzeba spytać tego dziadęgę...” Zażądali kategorycznie, by im powiedział, gdzie jest teraz przewodniczący kołchozu, kiedy będzie w biurze, a jeśli wnet nie wróci, to gdzie należy go szukać. Jahnycz przeszedł obok nich w milczeniu, dając im tym do zrozumienia, że ignoruje taki sposób bycia. „Pewnie głuchy — doleciał go jakiś obojętny głos. — A może i niemy?”.

Spotkał jeszcze tam kogoś na usytuowanym w centrum wsi skwerze z ozdobnym stawem (też osiągnięcie Czerednyczenki); zasadzone wzdłuż brzegu srebrzyste wierzby ściekały jak oliwa zielonymi gałęziami do wody, zaśmieconej łupinami z pestek. Po stawie pływa oswojony łabędź, podobny do gęsi. Dzieciarnia woła do niego z brzegu „Myszko! Myszko!” i łabędź natychmiast reaguje, podpływa do chłopców, chwytając z ich rąk jedzenie.

Jahnycza ciągle jeszcze uwierało bezmyślnie obraźliwe zachowanie się tych chłopców spod biura kołcho-

zu, którzy nazwali go dziadygą, a potem głuchym i niemym. Ale więcej niż słowem obrazili go tym, że zwracając się do niego nie uważali za stosowne wstać, być może nie zdając sobie z tego sprawy, że w rozmowie ze starszym należało tak uczynić, co im przecież nie przyniosłoby żadnej ujmy. Może nie chcieli świadomie go obrazić, ale na to przecież wyszło... Kto ich wychowuje? Widać, że Kurajówka zupełnie ich nie interesuje, wyraźnie nudzą się tu, przygnał ich w taki upał tylko służbowy lub osobisty interes, a nie potrzeba serca. Kurajówka jest dla nich jednowymiarowa, dostrzegają w niej tylko to co na wierzchu.

Dla Jahnycza jest ona przepełniona żywymi obrazami i postaciami tych, co już odeszli, obrazami dzieciństwa i młodości; dla innych są one niewidoczne, a więc nie ma ich, w pamięci Jahnycza pojawiają się jednak tłumnie nie tknięci przez czas, nie poddający się upływowi lat, spacerują po sadach, radują się i smucą, jawią się na kurajowskich podwórzach, kochają się lub kłóca, z głębi pamięci wyłaniają się ich głosy, słyszy je wyraźnie i on sam im odpowiada z tych swoich dzisiejszych osamotnionych lat. Dla niego Kurajówka zapełniona jest widzialnymi i niewidzialnymi postaciami ludzi — od tych dawnych pastuchów w siermięgach aż po współczesnego krępego kombajnistę i jego wspaniałą córkę.

Błąkając się po Kurajówce Jahnycz sam nie wiedział, jak znalazł się koło przedszkola, gdzie rozdzwończyły się jasne głosiki. Takie dzwoneczki człowiekowi jest usłyszeć nie mniej przyjemnie, niż ten ciężki miedziany dzwon na statku. Zawahał się przez chwilę, zdecydował się jednak wstąpić. Siostra zauważyła go już z daleka, zawołała go uradowana, niech się nie obawia, nasze dzieci się nie biją. Właśnie zbliżała się ich pora snu.

— To jest, dzieci, ten marynarz z „Oriona”, który pływał już po wszystkich morzach świata. Wygląda na wilka morskiego?

Dzieci, udając się na spoczynek, przechodziły obok niego z zaciekawieniem, robiąc rączkami wyuczone „pa, pa!”. Chyba już przedtem wychowawczynie uprzedziła je, że idzie „wilk morski”, bo spoglądały na nieznanego wprawdzie z zainteresowaniem, ale bez lęku. Ten wilk wcale nie jest straszny...

Wkrótce podwórze opustoszało, po dzieciach pozostały tylko pod okapem kolorowe zabawki i lalki. Zaczął je oglądać: ta płacze, ta oskubana, gniady koń na kółkach rwie się do przodu, tylko brak mu jednego kółka; drewniana chatka na kurzych łapkach przechyliła się, wnet upadnie i rozsypie się, a szkoda, jest prawdziwa jak z bajki... Trzeba będzie przyjść tu z narzędziami i ponaprawiać te zabawki, dla niego będzie to też rozrywką.

— Proszę przyjść do nas, będzie pan za starszą nianię — zawołała zmienniczka siostry, przechodząca właśnie przez podwórze, jakby podsłuchiwała jego myśli. Wraca chyba ze sklepu, bo pod ręką jakiś pakunek, a na twarzy zadowolenie, widocznie zakup się udał. — U nas teraz popyt na dziadków — dorzuciła wesoło. — Wszędzie tam, gdzie są dzieci, babcie i dziadkowie są rozchwytywani. Deficytowy towar!

Gdy został sam, usiadł na dziecięcej huśtawce, zakłósał się, uśmiechnął pod wąsem: oto twój statek, dziadku, twój „Orion”... Jest całkiem bezpieczny, nawet jeśli bardzo go przechyli. Zapraszają go tu, czemu nie? Mógłby też opowiadać dzieciom bajki. Ale jakie? Która z nich zawiązała się w pamięci węzłem najmocniejszym?

Kołysał się lekko, rozmyślał, przypominał sobie wydarzenia i ludzi.

Tak, mógłby opowiedzieć chyba o tym. Otóż po wojnie domowej, dzieci, panował tu, na całym naszym wybrzeżu, straszliwy głód. Ludzie puchli z głodu, jedli chwasty. I wówczas staraniem Lenina i dzięki Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi na całym wybrzeżu czynne były punkty żywienia dla głodujących dzieci. Poili tam nas, dzieci, słodkim kakao, a ponadto wydawali po cienkiej skibce chleba przez okno, do którego wiele dzieci nie mogło dostać, bo były takie małe jak wy. Trzeba było jeść na miejscu, nie wolno było zabierać nic do domu, bo było to przeznaczone wyłącznie dla dzieci. Ale pewien chłopczyk tylko wypijał kakao i zerkał, czy kto nie patrzy, a w odpowiedniej chwili chował chleb za pazuchę i biegiem do domu, gdzie czekała na niego mama i malutka siostrzyczka w kołysce. Matka nie chciała zresztą brać od synka chleba, jedz sam, powiada, musisz nabrać sił na całe życie. Ale miała twarz rozradowaną i jasne oczy, była szczęśliwa, że synek o niej pamiętał, i chociaż sam głodny, przyniósł jednak swoją porcję do domu.

Taką to prawdziwą bajkę chciałbym wam, dzieci, opowiedzieć...

Pod okapem zacisznie i spokojnie. Ze sterty zabawek szczyrzy zęby krokodyl, ale nikt się go nie boi. Na poddasze wlatuje jaskółka, uwiła gniazdko akurat obok porcelanowych izolatorów i krąży ciągle tam i z powrotem.

Gdy dzieci ułożono do snu, Jahnycz podszedł po cichu pod okno ich pokoju. Na szkle grają wesoło słoneczne promienie i odbija się zielone drzewo; między poruszającymi się gałęziami widać skrawek morza. Na śnieżnobiałych łódeczkach, ustawionych rzędem jak na statku, śpią dzieci. Jahnycz nie może oderwać od nich oczu, obserwując, jak stopniowo zмага je sen. Jedno zamknęło już powieki, drugie ziewa, te usnęły już cał-

kiem, a tamte zmrużyły tylko oczka i spoglądają przez szparki, co to za dziadek Neptun zagląda z podwórza przez okno. Na buziach błakają się jasne uśmiechy. Jeszcze jedno dziecko otworzyło na chwilę oczy, ale i ono zanurza się w drzemkę; dzieci piją sen jak słodki miód.

Takie czyste, takie spokojne. Przez uśpioną buźkę przemknie niekiedy — jak słoneczny „zajączek” na wodzie — jasny obłoczek — dziecku pewnie coś się zwidziało we śnie, może właśnie ten drewniany konik pomalowany z przodu na czerwono?

To jeszcze pączek, nie zna jeszcze kłopotów i trosk, nie wie, co to zło i złość, sama dobroć i ufność. W sennych dziecięcych uśmiechach jest coś z uśmiechu delfinów, dawno już to zauważył. Taka sama ufność i jasność, i taka sama bezbronność, ale jednocześnie jest coś zagadkowego w tych sennych ulotnych uśmiechach, czego dorośli nie potrafią odgadnąć... Ależ tak, właśnie w ten sposób, po dziecięcemu uśmiechały się do Jahnycza delfiny podczas rejsu, kiedy igrając za burtą, radosne i szczęśliwe, wyskakiwały z wody do słońca.

### 13

Na klepisku praca powoli wygasa. Nie warczą już maszyny do czyszczenia ziarna, spadło męczące napięcie wytężonej pracy, zaczyna się zmiatanie. Z rozgrzebanych pagórków pszenicy (z jamami jak od meteorów na księżycu) pozostała niewielka, omieciona ze wszystkich stron kupka pośladu, przeznaczonego na paszę. Po klepisku chodzi jak dowódca Czerednyczenko w komisarzkiej czapce i uważnie się rozgląda: bitwa została wygrana! Wygrali jeszcze jedną bitwę, co prawda nie bez strat, spowodowanych żywiołem. Ogól-

nie jednak rzecz biorąc przewodniczący ma powody do zadowolenia: chociaż zebrali mniej, niż się zobowiązali, wykonali jednak plan dostaw w stu procentach i w terminie. Z paszą niestety będzie krucho, na fermach pełno bydła, no ale jakoś sobie poradzą. Cała nadzieja w tym, że przyszedł rok będzie może pomyślniejszy. Już obecnie kładzie się fundamenty pod to przyszłoroczne, kapryśne szczęście, w terminie dokonano siewów, teraz czekają na deszcz.

W stepie pozostało już niewiele ludzi. Żołnierze, którzy pomagali w zwózce zboża, pożegnali się już i odjechali, być może niejednej dziewczynie będzie smutno, że w pobliżu fermy nie sterczy już wśród namiotów na solnisku połowa radiostacja. W ciągu jednej nocy zwinęli obóz, nie pozostawiając za sobą śladu, i nigdzie już w stepie nie spotka się tych sympatycznych i skromnych Turkmenów.

Inna też zwija punkt sanitarny i aptekę, pakuje swoje ampułki i strzykawki, nie ma tu już nic do roboty, przenosi się do wsi.

Czerednyczenkę, podobnie jak wszystkich, którzy w czasie żniw nie mieli czasu na spoczynek i sen, porządnie wypompoowało. Teraz, kiedy się już uspokoiło. Sawa Danyłowicz sprawdził z ciekawości na wadze do zboża, ile stracił; okazało się, że dwanaście kilogramów żywej wagi! Czuł się teraz o wiele lżejszy.

Kobiety, które podmiatają klepisko, zerkają ciągle na Czerednyczenkę, mają do niego jakąś sprawę. Wreszcie jedna z nich, z miotłą w rękach, wyprostowała się.

— Towarzyszu przewodniczący, a kiedy będą dożynki?

W pytaniu tym wyczuwa się złośliwość.

Czerednyczenko zamyślił się. Poskrobał się w atletyczny kark, na który już nieraz po gorących żniwach

wkładano duży wieniec z kłosami, kłujące kurajowskie laury. Wiszą teraz na honorowym miejscu w gabinecie Czerednyczenki, na pamiątkę — dla niego, do podziwiania i zachwycania się dla przyjezdnych.

— Nie będzie dożynek — rzekł wreszcie. — Nie w tym roku, Katrusiu. Może w następnym, jeśli będzie lepszy...

Wśród kobiet podniosła się wrzawa. Gdzie jeszcze ten następny rok, do tego czasu można trzy razy umrzeć. Co to za żniwa bez dożynek? Ludzie mieliby ochotę potańczyć!

— Nie do tańców nam teraz — peroruje przewodniczący. — Gorący wiatr ukradł nam to święto. Jeśli dożyjemy do nowych żniw i będzie urodzaj, to odtańczymy wtedy wszystkie zaległości.

Po takim stwierdzeniu nie ma sensu dłużej nalegać: Czerednyczenko jest niewzruszony jak skała.

Inna, przebywając przez cały czas na żniwach, uważnie przyglądała się kurajowskiemu Zeusowi. Młoda poetka chciała zgłębić jego charakter, nacechowany silną wolą i wykuty jakby z jednej bryły. I odkryła w nim wiele rysów, o których miała dotąd tylko mgliste wyobrażenie.

Nie taki on zwyczajny, ten Czerednyczenko, jakby się pozornie wydawało. Niektórzy widzą w nim tylko to, co najbardziej rzuca się w oczy: dobry gospodarz, potężny motor, utalentowany organizator — jak się zwykło mówić na zebraniach o takich jak on. Kiedy trzeba, potrafi wszystkich poderwać, zachęcić, zmobilizować, a innych nawet zmusić swą władczą postawą. Gospodarka nie usiadzie z takim na mieliźnie, z kurajowskimi ludźmi wydobędzie on ją z każdej opresji. Władze rejonowie wiedzą, że o Czerednyczenkę można być spokojnym, można na nim polegać we wszystkim, on nie potrzebuje natrętnej opieki — bez względu na



sytuację, nie wyłączając klęsk żywiołowych. I dotąd wszystko się zgadza, nie ma co do takiego portretu Czerednyczenki dwóch zdań.

Jednak Inna przy swej wnikliwej spostrzegawczości stopniowo odkrywała w nim jeszcze inne cechy, które uważała za o wiele istotniejsze. Oprócz tego, że był niesłuchanie wymagający, zarówno wobec innych, jak i w stosunku do siebie, oraz prócz wręcz diabelskiej siły i energii, jaką wykazywał ten niemłody już przecież mężczyzna, odkrywała w nim jeszcze to, bez czego nie byłby Sawą Danyłowiczem: za władcym tonem, za twardym słowem, niekiedy dotkliwie chłoszczącym, a nawet brutalnym, krył się wrodzony szacunek dla ludzi, który dziewczyna określiła jako antyobojętność. Mimo Złotej Gwiazdy i sławy Czerednyczenko nie wynosił się ponad własną społeczność i był z nią organicznie i głęboko związany, zaś lata, kiedy pracował w kuźni jako prosty kowal, a potem szeregowy kombajnista, uważał za „złoty wiek” w swoim życiu. „On jest z najgłębszych pokładów ludowego kruszcu, to samorodek” — myślała o nim Inna.

Nieraz mogła stwierdzić na klepišku, że ten gromowładca, chociaż jest w pracy bardzo wymagający, to jednak nigdy nikogo nie upokarza ani nie obraża, nawet wyrostka, nie można mu też zarzucić samowoli. Zaabsorbowany swoimi tonami i kwintalami Czerednyczenko nie traci jednak z pola widzenia najważniejszego: nawet przez chmury klepiskowego kurzu widzi tych, których powinien widzieć, i na kim właściwie wszystko tu się wspiera.

Dla Inny wyjaśnienie tych spraw było bardzo ważne. Rozumiała teraz, dlaczego mimo tyłu burz Czerednyczenko tak niezachwianie stoi przy sterze, dlaczego ludzie tak go szanują, skąd bierze się w nim ta pewność siebie. Wyczuwało się również, że demokratyzm

Czerednyczenki nie jest udawany i fałszywy, że w naturze tego ludowego przywódcy jest jakieś organiczne wyczucie wartości człowieka, przyrodzone lub może zdobyte gdzieś na wojennych szlakach, zdobyte cierpieniem i męką, kiedy obok padali i ginęli najbliżsi.

Inna zauważyła też, że ludzie również dostrzegają w nim te cechy lub intuicyjnie je wyczuwają, dlatego wybaczą mu chętnie najbardziej nawet ostre słowa rzucane w gniewie, bo ważniejsza jest dla nich pewność, że w krytycznej sytuacji Czerednyczenko nie odwróci się od nich, nie opancerzy się obojętnością, niezależnie od tego, w jakim będzie nastroju.

Kiedy tylko przestąpi się próg jego gabinetu, z miejsca pyta: no, co tam u ciebie, Pelagio? Wal prosto, zobaczymy co i jak. A przecież zwracają się niekiedy do niego ze sprawami, które nie wchodzą w zakres jego obowiązków, wielu innych na jego miejscu odcięłoby się od tych spraw i odesłało do kogo innego „wedle kompetencji”. Temu daj zaświadczenie, tamtemu samochód, dla kogoś znowu trzeba zdobyć w obwodzie jakiś deficytowy lek dla chorego albo załatwić mu konsultację aż u samego profesora w stolicy. Do kogo z tym? Oczywiście do przewodniczącego. W nowym domu jakiś konflikt — skończyła się sielanka, zaczęła się rąbanka, po sądach się wodzić albo się pogodzić — z tym też oczywiście do Sawy Danyłowicza, bo nie można przecież za każdym razem ganiać do sądu rejonowego...

Wczoraj w odpowiedniej chwili Inna spytała:

— Sawo Danyłowiczu, mam do pana delikatne pytanie: jak przy takiej nieograniczoności władzy przewodniczącego, przy swojej, że tak powiem, wszechmocy, chodząc w takiej aureoli, nie stracił pan...

— Nie straciłem głowy i sumienia? O to chciałaś zapytać?

— Tak, o to.

— I ja nie jestem bez grzechu, dziewczyno, nie powinnaś mnie idealizować. Zdarza się, że jak komuś w dzień wygarnę, to później męczę się przez trzy noce: Co z tobą? Robisz się gruboskórny? Zapominasz, kim byłeś, kto darzy cię zaufaniem? Nie, przyjacielu, jeśli będzie tak dalej, to fotel kierownika jest już dla ciebie przeciwwskazany, jazda bracie, do spółdzielni rybackiej wyciągać niewody...

— Pańska pozycja, Sawo Danyłowiczu, pozycja kurajowskiego Zeusa, jest tego rodzaju, że mógłby pan zapaść na znieczulicę, a jeśli tak się nie stało, jeśli przy takich dawkach szacunku i sławy organizm pański nie uległ znieczuleniu, to jako medyk chciałabym wiedzieć dlaczego?

Czerednyczenko nachmurzył się i odpowiedział dopiero po chwili.

— Jeśli zachowałem jeszcze wrażliwość na ludzkie sprawy, jeśli moja dusza nie przetworzyła się w barani kurdiuk, to jest to zasługą przede wszystkim wiesz czyją? Tych, spośród których wielu już nie ma na świecie. Tych, którzy w nocy przed bitwą przyjmowali Czerednyczenkę do partii, tych co głosowali jednogłośnie na Czerednyczenkę przed wyruszeniem desantu...

— Tak, rozumiem... A jeszcze dlaczego?

— Ale się uwzięła — przewodniczący się uśmiechnął. — A jeszcze — powiedział z nieoczekiwaną czułością — to zasługa Warwary. Chociaż chciałoby się karasiowi zanurzyć czasem w mule obojętności, nie pozwoli mu i wałkiem do ciasta wyrąbie mu zdrową krytykę...

A więc on znowu o tym mitycznym wałku, o którym mówi z trybuny nawet w obwodzie.

Cicho teraz na klepisku, nie wiszą już nad nim dniami i nocą chmury kurzu. Ściągają z pół maszyny, zwijają

wagoniki, które służyły żniwiarzom za mieszkania. Kombajny różnych marek — od starych emteesowskich weteranów aż po najbardziej nowoczesne, wychwalane przez kombajnistów „Kłosa” i „Niwę” — stoją w jednym szeregu przed klepiskiem, odpoczywają zmęczone trwającą przez całą dobę bez przerwy pracą podczas żniw w kurajowskim stepie. W tym odpoczynku wydają się jakby mniejsze. Niedługo jednak będą odpoczywać. Postoją dzień, dwa, poddane zostaną oględzinom i niezbędnym remontom, a potem znowu w drogę, za Wołgę, do dalekiego Kazachstanu, na pomoc ziemiom nowym.

Jest tu również koło swego „Kłosa” rodzinna załoga Jahnyczów. Inna widzi, jak jej brat Petro wylazi spod kombajnu umorusany, wybrudzony (chyba umyślnie się nie myje dla kombajnowego fasonu), podchodzi do ojca, coś mówi do niego z poważną miną i w niezależnej postawie. Ma takie same uprawnienia jak ojciec, ale dzieli też z nim wszystkie żniwne trudy.

Od samego rana krzątają się przy powierzonej im maszynie. Że ojca nie można od niej oderwać, to zrozumiałe, ale przecież i on, jego asystent, nie rozstaje się z „Kłosem”, ogląda go dokładnie z wszystkich stron, także i od spodu; właśnie przed chwilą wylazł spod kombajnu, jeszcze raz obchodzi go dookoła, zdał ojcu sprawozdanie i czeka na nowe polecenia, może trzeba będzie jeszcze coś zrobić — przed wyjazdem ciągle wyskakuje coś nowego. Chociaż jest jeszcze wyrostkiem i początkującym kombajnistą, ma już jednak poczucie zawodowej dumy, razem z ojcem wielu nocy nie dospał. Inna odczuwa nawet coś na kształt zazdrości, kiedy ojciec zaczyna się rozczulać przy gościach nad synem i wygłaszać dytyramby na jego cześć, opowiadając z mgiełką czułości w oczach, jak to zabrał

po raz pierwszy na kombajn swego chłopca na próbę. Powierzył mu kierownicę, która gorliwemu w nauce chłopcu tak się dała we znaki, że wieczorem, kiedy zsiadł z kombajnu, rzucił się od razu na słomę i z miejsca zasnął. „Zaczekaj, Petko, nie zasypiaj, już wiozą nam kolację!”. „Dobrze — powiada — zaczekam”. Ledwie to rzekł, podjechała właśnie kuchnia polowa. „Wstawaj — mówi ojciec. — Posilimy się”. Ale chłopak już nic nie słyszy, zwinięty na słomie, można strzelać do niego z armat...

— A potem jeszcze we śnie mocuje się z kombajnem — mówi ojciec uśmiechając się — łapie rękami słomę, targa ją, wyciąga, chyba zdaje mu się, że pompka jest zatkana...

Petryk wyciągnął się w czasie tych zniw, podrosł, ojciec bierze go w tym roku aż do Kazachstanu, no cóż, przecież to jego asystent, jego prawa ręka.

Ponieważ kombajniści spieszyli się w drogę, Czerednyczenko zarządził wspólny pożegnalny obiad dla wszystkich, co byli na klepisku i w pobliżu. Nie ma wprawdzie muzyki, ale chociaż w ten sposób chce okazać szacunek ludziom, którzy wybierają się na nowy trud. Inna też dopadła swoich i zmusiła brata, by umył się przed obiadem, zlewając mu wodę na ręce.

— Musisz przestrzegać higieny! W uszach już hręczka rośnie. Porządnie się myj, dokładnie! — gderwała dobrotliwie.

— Lej, lej! Trzeba zmyć ten pot, bo pod zewnętrznym brudem mogą nie dostrzec wewnętrznego piękna.

Po wymyciu chłopak zmienił się nie do poznania. Wycierając się przed umocowanym na słupie kawałkiem lusterka mrugnął sam do siebie, przyglądził na bok mokre włosy, które w czasie zniw wybielały na słońcu. Zadowolony z lustracji odwrócił się do siostry.

— No, jak ci się teraz podoba moja fizjognomia?

I uśmiechnął się ostrożnie, zna bowiem mankamenty swej urody czyjś przyszły narzeczony, więc przy uśmiechu nie odsłania łopatkowatych przednich zębów.

Inna miała honor siedzieć przy stole obok swojej rodzinnej załogi.

— Oto wzorowa rodzina — zauważył Czerednyczenko, patrząc na nich. — Szkoda tylko, Fedorze, że masz tak mało dzieci; wszędzie ten deficyt... Ja byłem w rodzinie siódmy, a w ogóle to pchało się nas do miski dwanaścioro. Co prawda więcej niż połowę pochłonęła zaraza, przed którą nie było ratunku. Ale siało się gęsto... Kto z współczesnych może się pochwalić takim urodzajem?

— Powinien był pan dać przykład — zauważyła uszczypliwie jedna z młodych mężatek.

— Biję się w piersi, nie da się zaprzeczyć — odparł przewodniczący. — Gdyby nie wojna, może urodzaj byłby większy. Tylko dwoje wykłosiło się na mojej niwie, ale i ich widuję bardzo rzadko. Jak wiecie, jeden syn wykłada w instytucie gospodarstwa wiejskiego, a drugi po ukończeniu uczelni wojskowej odbywa służbę w NRD. Obaj są wprawdzie żonaci, ale moich wnuków ciągle jakoś nie widać. Więc próbuję zawstydzic synowe: co wy, bumelantki, powiadam, sobie myślicie? Zamierzacie być bezdzietne? A one tylko się śmieją: jeszcze zdążymy, po co się spieszyć, młode jesteśmy, chcemy trochę użyć życia... Oto ich filozofia. A ty, Inko, jak wyjdiesz za mąż — zwrócił się przez stół do dziewczyny, która nagle poczerwieniała — będziesz miała, mam nadzieję, inny pogląd na tę sprawę? Musisz nam urodzić dużo dzieci!

Inna schyliła głowę, twarz jej płonęła, ale Czerednyczenko nie zważał na to.

— W Kazachstanie, tam dokąd jada nasi gwardzi-

ści, jak i w całej środkowej Azji, dzieci jak maku, my pod tym względem pozostajemy daleko w tyle.

Czuło się, że prócz wielu kłopotów również i ta sprawa zaprzęta mu głowę.

— Mało jest nie tylko dzieci, ale i staruszków — odezwała się kucharka, która stała w pobliżu z rękami założonymi na białym fartuchu. — Nie ma kto cha-ty przypilnować, ze świecą można szukać we wsi siwej brody.

— Przybył jeden taki aksakał z „Oriona”, ale i ten bez brody — pozwolił sobie na niegrzeczny żart motor- niczy z klepiska.

W Innę jakby piorun strzelił. Co za gruboskórny prostak. Wyrwał się jak filip z konopi.

Pozostałym biesiadnikom też zrobiło się nieprzy- jemnie.

— A ty sobie nie pozwalaj, szczeniaku! — Czered- nyczenko rzucił w stronę żartownisia gniewne spojrze- nie. — Nawet we śnie nie widziałeś tego, co ten aksa- kał z „Oriona”. Kiedy niektórzy z obecnych nie byli jeszcze zaplanowani, on już wypełniał odpowiedzialne zadania Kominternu. Też mi dowcipniś się znalazł!

— A co ja takiego powiedziałem? — zdziwił się szczerze chłopak. — Czy aksakał to coś obraźliwego?

— Tam u nich aksakał jest synonimem szacunku, a u nas znaczy to samo co dziadyga — wyjaśnił ojciec Inny, patrząc w talerz.

Czerednyczenko raz jeszcze spojrział karcąco na mo- torniczego.

— Ty też staniesz się kiedyś aksakałem, nie myśl, że będziesz wiecznie młody.

— Przecież pan, Sowo Danyłowiczu, też lubi czasem pokpiwać z „Oriona” — bronił się chłopiec.

— Co ty się do mnie przyrównujesz! — zdziwił się Czerednyczenko. — Ja mogę pożartować i z „Oriona”,

i z orionowca. Pozwala mi na to i mój wiek, i moja przyjaźń ze starym marynarzem. A co ciebie upoważnia? Chyba sam rozumiesz.

I Czerednyczenko zwrócił się ostentacyjnie do kombajnistów, chcąc się dowiedzieć, czy przed wyprawą wszystko w porządku, czy któremuś z nich żona nie postawiła ultimatum, no i jak tam u nich ze zdrowiem.

Jak się okazało, wszyscy byli w pełnej gotowości do drogi.

— A cóż to my, pierwszy raz?

— Jedziemy już tam jak do swego domu.

Starsi kombajniści byli na ziemiach nowych wielokrotnie, obecna wyprawa to dla nich rzecz zwykła, ale młody Petro jedzie tam po raz pierwszy. I chociaż sam rwał się do tego, to jednak denerwował się przed tą daleką podróżą, przed siostrą nic się nie da ukryć: raz po raz przytulał się do niej nerwowo i wciągał głowę w ramiona. Kiedy wreszcie przewodniczący zwrócił się również do niego, pytając młodego mecha- nika o samopoczucie, czy nie zagubi się i nie zabłądzi ze swoim „Kłosem” wśród tych bezkresnych przestrzeni, chłopiec odpowiedział z pełnym godności spokojem:

— Pokażemy swoją klasę — spojrział śmiało przez stół na kurajowskiego Zeusa. — Jak wystartujemy z Portu Szewczenki, zatrzymamy się dopiero aż na Bajkonurze.

— Oto męska odpowiedź — pochwalił Czerednyczenko. — Cóż wam jeszcze powiedzieć na drogę, chłopcy? Przekażcie braciom w Kazachstanie nasze kurajowskie salem i powracajcie z honorem!

Gdy wstali od stołu i Czerednyczenko podchodził już do samochodu, Inna odważyła się podejść do niego.

— Sawo Danyłowiczu! — zawołała nieco zmieszana.

— O co chodzi? — zatrzymał się jakby niezadowolony. — Nie wiesz, jak zorganizować przeprowadzkę?



Nie martw się, jeszcze dziś twój punkt sanitarny będzie przewieziony do Kurajówki.

— Ja nie o tym... Proszę wybaczyć, że zatrzymuję...

— Nie szkodzi. Przyjechali wprawdzie do nas strażacy z rejonu, ale poczekają. No, jaki masz kłopot?

— Proszę mi powiedzieć, czy to prawda, że mają zlikwidować Chlibodarówkę? — jakoś ta Chlibodarówka ciągle nie dawała jej spokoju.

— Ach, o to ci chodzi... Kogo tam masz w tej Chlibodarówce? Pewnie jeszcze jednego wielbiciela?

— Nie, nie zgadł pan.

— Chlibodarówka... Byłaś tam chociaż?

— Nigdy. To podobno bardzo malownicza wieś.

Na błyszczącej twarzy przewodniczącego pojawił się jakiś ciepły refleks.

— Rzeczywiście wieś jak z pieśni... Chyba nigdzie nie widziałem czegoś równie pięknego. Pojedź kiedyś, Inko, do tej Chlibodarówki, jakieś pięćdziesiąt kilometrów, to teraz żadna odległość. Może ułożysz o niej pieśń... Tylko jedź tam na wiosnę albo jeszcze lepiej wczesnym latem, kiedy dojrzewa zboże. Kiedyś trafiłem tam o tej właśnie porze roku. Wioska nieduża, ale rzeczywiście malownicza, w zielonym wieńcu, gdzie tam do niej naszej Kurajówce. Z daleka wygląda to tak, jakby do Chlibodarówki nie było żadnego dojazdu, ze wszystkich stron tylko łąny pszenicy, podchodzące pod same okna, a kłosa sięgają aż po dach! Wszedłem z samochodu i oniemiałem z zachwytu: istny raj! Nic tu zbytecznego, tylko to co najbardziej niezbędne: ludzkie sadyby i kłosa. I jeszcze gdzieś tam brzęczą pszczoły. No a kłosa — złoty las! I cała ta zaciszna, biała Chlibodarówka razem z oknami tonie w tych złoty kłosach. Cicho, spokojnie... Nigdzie żywej duszy. Tylko zboże w tej ciszy dojrzewa. I w niebie dzwoni skowronek. Nie widać go, zawisnął gdzieś wysoko, bli-

sko słońca... Kłosa łaskoczą policzki... Ech, Inko, Inko, gdybym był poetą!...

— Pan przecież jest poetą — powiedziała szczerze.

— Jaki tam ze mnie poeta! Gospodarz, rolnik i tyle. Twój wuj, orionowiec, to jest poeta! Posłuchaj go, kiedy jest w dobrym nastroju.

— Dla mnie obaj jesteście poetami. Prawdziwymi poetami. Nie książkowymi, nie wymyślonymi. Poetami życia...

— No cóż, dziękuję... — Czerednyczenko uśmiechnął się ciepło i ruszył do swojej pogniecionej, wypłowiałej, mocno sfatygowanej wołgi.

#### 14

Siedzi stary Jahnycz i wiąże węzłem pamięci dalekie i bliskie, minione i współczesne. Siedzi w samej marynarskiej koszulce na schodach werandy i pali. Przed nim, na środku podwórza stoi stara grusza. Drzewo o żelaznej wytrzymałości, żadna wichura go nie złamie. Kolce na niej jak hufnale, więc rzadko trafiają się mali amatorzy cudzych gruszek. Kiedyś łazili, ale teraz nie warto. Drzewo rodzi owoce drobne i cierpkie, a nawet te, które same spadają, są mniej słodkie od kołchozowych. Jednak kiedyś w dzieciństwie był to dla niego rarytas, bo szczepione bery jadł tylko na Spasa, kiedy ospowaty Tatar z Krymu przyjeżdżał do Kurajówki dla handlu wymiennego: wiadro zboża za wiadro gruszek.

Ze skrzypieniem jedzie ulicą jego arba — wszędzie rozlega się głos, zachęcający do wymiany: wiadro za wiadro! Dzieci biegną za arbą z wrzawą, proszą rodziców o gruszki, jednak nie każdy mógł wówczas pozwolić sobie na taką wymianę.

Grusza Jahnychów widziała już wielu ludzi, wielu z nich przeżyła. Jedyne, co pozostało po dziadkach, więc tym droższe jest orionowcowi to drzewo. Ostatnio zjawiała się pod gruszą nowość: solidna ławka, jeszcze nie pomalowana, będzie tu można posiedzieć w samotności lub w towarzystwie. Pod żaglem gruszy jest też w nocy jego legowisko. Przez liście przezierają gwiazdy. Niekiedy spadnie gruszka i odbije się o jego głowę. A nad ranem, gdy zrywa się lekki wiatr, szumią delikatnie nad głową gruszowe żagle...

Już od samego rana Jahnych szuka dla siebie jakiegoś zajęcia. Wczoraj wziął motykę i poszedł pielić kwietnik pod obeliskiem. Dziś jest w domu. Gdy słońce się wzbija, przybiega tu zwykle dzieciarnia, znają teraz drogę do orionowca dzieci z całego przysiółka. I od Jahnychów, i od innych. Zjawia się tu nawet czarny jak cyganiątko dzieciak z pobliskiej strażnicy. Przygraniczna wieża od dawna sterczy na skraju Kurajówki jak bocianie gniazdo, wpatrując się w morze. Komendantem strażnicy jest Azerbejdżanin, ożeniony z kurajowczanką, którego syn znalazł drogę do starego Jahnychza razem z miejscowymi dziećmi. Zjawiają się przed gankiem całą gromadą, nie odczuwają żadnego skrępowania, przywykli już do orionowca.

— Dziadku, a co dziadek ma jeszcze w tym kuferku?

Wyniesie — nie wiadomo, który to już raz — swą tajemniczą skarbnicę, postawi obok siebie na schodach i unosząc wieko kuferka zacznie jak domokrążca szperać w środku i pokazywać chłopcom wciąż nowe dziwa. Nie ma już w kuferku tęczyowych, egzotycznych muszli ani piniowych szyszek o gęstej, twardej łusce. Dla kurajowskich dzieci nawet takie szyszki są przedmiotem podziwu i zachwytu, tylko dzieci śródziemnomorskich

rybaków mogą je zbierać na swoim popękany, skalistym wybrzeżu.

Tym razem pokaże dzieciarni swój pięknie wykligrafowany dyplom, przyozdobiony Neptunem z trójzębem, który sterczy wojowniczo nad wzburzonymi falami. Pachnące słońcem jasne i ciemne główki zawisły nad dyplomem, bezcennym skarbem starego marynarza. Ale oto dyplom już zwinięty i schowany, pojawia się natomiast kawałek płótna żaglowego, w które wpięte jest coś w rodzaju strzykawki.

— A oto, dzieci, mój skarb największy.

— A co to takiego?

— Igła. Igła do szycia żagli. Mam tu ich cały komplet, każda ma swój numer. Bo do żagli są igły specjalne, trójgraniaste jak bagnet — pokazuje z daleka, do rąk nie daje. — I taka duża jak cygańska, o wiele większa od tej, którą mama przyszywa wam guziki do spodni.

Szare, niebieskie i czarne oczęta zapalają się ciekawością, wpatrzone w narzędzie pracy orionowca.

I już igła znikła, schował ją.

— A co tam jeszcze w kufereku, na samym dnie?

— I to też chciałbyś wiedzieć? — uśmiecha się wilk morski.

— Chciałbym...

— Bądź cierpliwy, chłopcze. Jak będziesz wiedział wszystko, to szybko się zestarzejesz. A starość nie radość, słyszałeś chyba.

No i na tym się kończy przegląd skarbów, kuferek zostaje zamknięty. Stary marynarz celowo nie pokazuje od razu wszystkiego, bo chce, by dzieci nadal do niego zaglądały, żeby przybiegły tu jutro znowu. Bo gdy się tylko zjawia, podwórze od razu staje się weselsze.

— Dziadku, a widział dziadek rekina?

— A latające ryby?

— Widziałem, wszystko widziałem...

Orionowiec spochmurniał. Bo on sam jest teraz, dzieci, jak ta latająca ryba, która uniosła się w powietrzu, błysnęła i bęc! — na pokład komuś pod nogi. A on spadł na ten kurajowski ład.

— Proszę nam pokazać, jak się wiąże węzły.

Pokazuje bardzo chętnie. W zgrubiałych dłoniach o krótkich palcach zjawia się sznurek spleciony z kapronowych nici. Rozpoczyna się misterium... I te zgrubiałe krótkie palce stają się nagle zwinne, zgrabne i chwytne jak u cyrkowego kuglarza.

— Tak robi się, dzieci, węzeł podwójny...

Dzieci śledzą uważnie, wstrzymując oddech.

— A tak węzeł rybacki...

I znowu manipuluje szybko i zwinnie.

— Tak zaś powstaje węzeł kałmucki...

Palce wykonują znów swoje hokus-pokus.

— A to wyblinka...

A to... a to... — mógłby tak na pięćdziesiąt różnych sposobów wiązać te węzły.

— No bo co to takiego statek żaglowy, dzieci? To wiatr i kunszt żeglarski.

W dziecięcych oczach iskierki podziwu: tak wiele umieć... A gdy się zdarzy, że obecna jest przy tym Inna, w jej czarnych oczach również maluje się zachwyt: nie często spotyka się ludzi o takich umiejętnościach, wuj sam jest dla niej kunsztownym węzłem, który mądrze i pięknie zawiązało samo życie.

Inna uważała za swój elementarny obowiązek medyczny podleczyć orionowca i strzec go od chorób, a może nawet zupełnie go uzdrowić. Z delikatnym uporem usiłowała zorientować się, na co wuj się skarży, co mu dolega i co go gnębi; on jednak ostro przecinał: nic mu nie dolega, nic go nie gnębi.

— A przecież wujek źle sypia.

— Zależy kiedy.

Dała mu na sen walerianę w tabletkach (żółte pastylki po siedem kopiejek flaszeczka). Po kilku dniach spytała o działanie. Jahnycz zapewnił ją, że pomogło. I chociaż wkrótce znalazła tę fiolkę w kącie za tapczanem z nietkniętymi pastylkami, jednak Andron Hurujowicz istotnie sypiał teraz lepiej, nawet matka to zauważyła.

— Gdybyś zdobyła jeszcze dla wuja złoty korzeń... Może w jakiejś aptece? Kiedyś oleszkowska znachorka sprzedawała go na targu.

— Dla niego złoty korzeń to ludzkie życzliwe zainteresowanie — odpowiedziała matce. — Nie ma jeszcze innych leków na samotność.

Orionowiec przestał już chyba myśleć o pracy. Początkowo poważnie zainteresował się spółdzielnią rybacką, chodził tam, wypytywał, w końcu jednak przestał.

— To nie dla mnie. Już od rana snują się tam mętni i potykają się o puste flaszki.

Nie odpowiada mu takie otoczenie. Może trafi się co innego.

— No bo i racja, po co się spieszyć? — podtrzymuje go siostra. — Moi kombajniści wyjechali, to chociaż ty będziesz w domu. Odpocznij, nabierz sił. A z tą spółdzielnią rybacką nie wiąż się, bo gdzie ryba tam i szachrajstwo; podobno już prokurator zainteresował się nimi.

Pozostało mu przedszkole, dokąd ciągle zagląda. Przyjdzie, usiądzie pod okapem i rozkłada wokół siebie długie, równe, zwilżone wodą żdźbła słomy. Dzieciarnia śledzi uważnie te przygotowania, otaczając swego „admirala”. Oto żylaste palce biorą złociste żdźbło słomy, ostrożnie zwijają je w kolanko.

— Co to będzie? Kapelusz? — dzieci rozpala ciekawość.

Ale majster nie spieszy się z odpowiedzią. Jak będzie gotowe, to zobaczycie.

A spod palców stopniowo wyłania się... stateczek. No, może to nie całkiem statek, ale trochę go przypomina, wnet będzie gotowy korpus, teraz powstaje pokład. A z tej słomki będzie, dzieci, pierwsze kolano masztu.

— Nazywa się to bezanmaszt.

Odkłada na chwilę robotę i patrzy w stronę morza. Twarz ma obojętną, jakby o niczym nie myślał, ale gdyby myśli można słyszeć, to dzieci usłyszałyby: oto tam, gdzie jest sina smuga, tonęło kiedyś dwoje dzieci, takich jak wy, a może jeszcze mniejszych. Niczego jeszcze nie zdążyły w życiu zobaczyć, ujrzały tylko nad sobą czarne bomby, które z wyciem lecą prosto z nieba na pokład. W oczach ich przerażenie, z ust wydobywa się straszny krzyk — z tym krzykiem zanurzały się w ciemne głębiny... A może chwyciły matkę za rękę, wołając o pomoc? Może wśród bezmiarów wody odchodziły od zmysłów? Teraz nie może przypomnieć sobie nawet ich twarzyczek, jakby rozmyła je morska woda... Ten wasz „admirał”, dzieci, chciałby teraz być właśnie tam, gdzie ta sina smuga... Mógłby tam umrzeć.

I znów bierze się do roboty. Słomiany stateczek rośnie mu w rękach, jest na nim coraz więcej masztów z cienkich słomek, już napinają się na nich słomiane żagle o żniwnym, złocistym połysku.

Malcy od razu zgadują.

— „Orion”!

— To „Orion”!

Nawet smagły Ali ze strażnicy zapewnia gorąco, że stateczek jest podobny do tego, który widział z ojcem przez lornetkę z wieży obserwacyjnej.

A na następnym seansie na pokładzie słomianego stateczku sterczeć będą ziarniste kłosy.

— To kursanci — wyjaśnia z uśmiechem orionowiec. — Załoga „Oriona”.

Ta kłoskowa załoga jest oczywiście bardzo sprawna, każdy jej członek wie, co ma robić i przy jakim stać żaglu. Wyszedł z tej słomy stateczek godzin podziwu! Wszystkie inne zabawki zbladły przy nim, wszystkie je zaćmił.

Ale gdzie teraz postawić tego małego „Oriona”? Dzieci zamyśliły się nad tym wraz z majstrem. Wreszcie postanowiono umieścić stateczek na poddaszu, żeby widział jak najwięcej morza. No i nikt go nie połamie, tylko jaskółki będą obok niego śmigać. W promieniach słońca świeci teraz złociście na froncie domu jak herb tego dziecięcego, kurajowskiego kosza.

Kiedyś wieczorem, gdy Jahnycz rozkładał pod gruszą swoje łóżko do snu, wszedł na podwórze Czerednyczenko. Nie był w dobrym nastroju, być może serce mu dokuczało. Usiadł ciężko na ławce i przez jakiś czas milczał.

Jahnycz zrozumiał, że tym razem role się zmieniły: teraz on będzie musiał pocieszać przyjaciela.

— Co się stało, Sawko?

— Ano stało się. Zadzwonili, że Krutyporoch, ten iwanowski przewodniczący, z którym sprawdzałem swoją wagę pod Wawelem, leży na zawał. Złapało go na klepisku, stan taki, że nie wiadomo, czy wyżyje... Mój frontowy towarzysz, wierny druh. Pod Odessą chodziliśmy razem na nocny zwiad aż na liman. Gdyby nie on, może nad Czerednyczenką już dawno rosłaby wierzba. Jakich to ludzi powala, wrywa z korzeniami z życia...

— Przed tym nikt nie jest zabezpieczony.

— Racja. Ale nierzadko zapominamy o tym. Nie-



którzy żyją jakby na próbę, „na brudno”, tak jakby była jeszcze możliwość przepisania swojego życia „na czysto”... Pytali mnie niedawno na klepisku: jak ci się to, człowieku, udaje, że będąc już tyle lat przewodniczącym nie utraciłeś ludzkiej twarzy, nie zamieniłeś się w chodzący blok żużlowy? Może bym się zamienił, gdybym stracił pamięć. Bo właśnie pamięć przypomina raz po raz o ludziach, którzy byli wokół nas... Ten umierał na twoich rękach, tamten poległ dwa kroki od ciebie, a inny być może zatrzymał własną piersią kulę przeznaczoną dla ciebie. Trzeba więc pamiętać, że to oni podarowali nam życie! Kula nie wybierała, setki razy mogłeś już gryźć ziemię, bo niby czym byłeś lepszy od tych, z którymi chodziłeś na zwiad i do ataku? Więc żyjesz dzięki nim. Nie zapominaj o tym, pamiętaj, ale nie tylko przy uroczystych okazjach, lecz przez całą drogę swego życia. I jeśli już sądzone ci żyć dalej, to niech to życie płonie, a nie kopci, bo jeżeli masz tylko zakopcić niebo, to niech już lepiej pęknie z przeciążenia ten twój mięsień sercowy... A Krutyporocho szkoda... Bardzo szkoda!

— Może jeszcze wyliże się z tego, człowiek to stworzenie żywotne, delikatne i silne jednocześnie, zdolne niekiedy wytrzymać coś takiego, że potem nawet trudno w to uwierzyć.

— To prawda. Mnie też czasem tak skreśli... Ale ja wtedy znów na konia, bo chcę doczekać wnuków. No a co u ciebie?

— Trwa walka o żywotność statku — uśmiechnął się powściągliwie Jahnycz.

— A jak z pracą? Zdecydowałeś się już na coś?

— Jeszcze nie. Zapraszają mnie do przedszkola na starszą niańkę.

— Dlaczego nie? Zgódź się — Czerednyczenko poweselał. — Wychowywanie dzieci to wielka rzecz!

Jahnycz zapalił, przesunął się na koniec ławki, czoło przecięła chmurna zmarszczka.

— Nie, Sawo. Musisz mi dać inną pracę. Znajdź mi zajęcie, z którym miałbym jak najwięcej kłopotów.

— No to zostań przewodniczącym kołchozu — zreplikował Czerednyczenko i zaniósł się śmiechem. — Bo to akurat taka robota, o jakiej mówisz... Możesz mi wierzyć. Tu już wszystkie żyły z ciebie wyprują i jeszcze pozawiązują je na węzły, a tobie nie wolno przy tym nawet się skrzywić. Żyło się naprawdę tylko wtedy — Czerednyczenko przeszedł znów na poważny ton — gdy byłem szeregowym kombajnistą i patrzyłem na świat z wysokości steru swego stepowego statku. Gdyby tylko pozwolili, natychmiast wróciłbym za kierownicę. Witac wschód słońca i zorzę wieczorną na kapitańskim mostku kombajnu, to jest dopiero życie! A w mojej obecnej pracy, Andronie, potrzebne są nerwy ze stalowego włókna, tylko że nauka nie wynalazła jeszcze takich i wątpię czy kiedyś wynajdzie. Pod koniec dnia trzymasz się już resztkami sił, pójdziesz po pracy do parku, usiądziesz nad stawem, podpłynie do ciebie po okruszyny łabędź Jaszko czy też Myszko. Nie ma wnuków, więc chociaż przy nim znajdę chwilę odprężenia... No a z przyrodą w żaden sposób nie można dojść do ładu. Wiesz przecież jak nieludzko zamordował nam zbiory ten piekielny wiatr. Jeszcze teraz pali jak na równiku. Idź popatrz na słoneczniki, po prostu serce się kraje: stoją przy samej ziemi jak rumianek. I to mimo starannej pielęgnacji, powinny teraz jak carowie stać w swych złotych koronach i wysyłać na morze słoneczne blaski.

— Jest to podobno rok niespokojnego słońca — zauważył Jahnycz, przypomniawszy sobie rozmowę kursantów na „Orionie”. — Na słońcu szalały ponoć straszliwe burze.

— Coś niedobrego dzieje się z przyrodą... Czekamy na deszcz, ale i deszcz wymaga teraz sprawdzenia. Czytałem niedawno, że uczeni stwierdzili w deszczach jakieś tam kwasy. Diabli wiedzą, co to za kwasy, wiadomo tylko, że po takich opadach lasy rosną o wiele wolniej.

— Bo zapaskudzamy nieczystościami i ocean wodny, i powietrzny.

— Postęp naukowo-techniczny jest potrzebny i nieodwracalny, trzeba tylko pamiętać, że kij ma dwa końce... Weźmy dla przykładu chociażby naszą meliorację stepową. Przekopało się kanały, wspaniale, zrobiło się od nich odgałęzienia, jeszcze lepiej! Bo dla nas woda to siła i bogactwo. No więc budujmy systemy melioracyjne, nawadniajmy, zraszajmy, dzięki ci, melioracjo! Ale budujmy mądrze, z pomysłu! A jeśliś czego poskąpił, chciałeś oszczędzić na życiodajnej sprawie, nie posłuchałeś zawczasu mądrych rad, to co z ciebie za gospodarz? Ze wszystkich stron radzili im wtedy: oblicujcie całą magistralę, wyłóżcie całe dno sztucznym tworzywem lub betonem. Nie posłuchali jednak, wydało im się to za drogo... A od dawna wiadomo, że skąpy płaci podwójnie. No i teraz są przecieki. Chlibodarówka moknie, w Iwanówce zjawiała się w piwnicach woda. U nas również, na terenie trzeciej brygady, podchodzą gruntowe wody, na powierzchnię przedostaje się solanka. Zauważyłeś, jakie łysiny wyżarło nad drogą po kukurydzy?

— Widziałem.

— Zasolili nam dwieście hektarów wspaniałej ziemi, straconej dla rolnictwa być może i na sto lat! Nie można już tam siać ani „aurory”, ani „kaukazu”, straszy tylko gołe solnisko. Już na konferencjach partyjnych atakowano odpowiedzialnych za to: jak można było

do tego dopuścić? Wzruszają ramionami, rozkładają bezradnie rece i patrzą tylko, na kogo by tu zwalić winę i jakoś się z tego wykręcić.

— Chowają się za papierki jak szczury...

— A jeśli boisz się wziąć na siebie odpowiedzialność, jeśli nie przemyślałeś wszystkiego wcześniej i zamiast myśleć nad dobrem społecznym spieszyłeś się tylko do nagrody, to jaki z ciebie komunista?! — Czerednyczenko rozpalał się coraz bardziej. — Trzeba było jeszcze z tym poczekać, bo limit obcięli, a tu terminy gonią, no więc szturmowszczyzna i wszystko na łapucapu... Narozrabiał taki i odszedł spokojnie na inne stanowisko, a tu już nawet trawa nie wyrośnie. No i powiedz mi teraz, kto nam, kto państwu pokryje straty za te zniszczone ziemie?

— Karać by takich ostrzej!

— No cóż, karzemy... Ale nie można przecież powiedzieć, że zrobili to umyślnie. Wprost przeciwnie, nawet bardzo się starali, i niby ludzie niegłupi, doświadczeni, z dyplomami. No i patrz, co z tego wychodzi: zasolić ziemię to taki potrafi, ale odsolić nie umie. Obiecują, co prawda, odnowić grunty drenowaniem i przemywaniem, tylko sami dobrze jeszcze nie wiedzą, co z tego wyjdzie, jak i kiedy. No cóż, zobaczymy. W każdym razie czekamy na to.

Czerednyczenko tak się podniecił, że aż chwycił się za serce.

— Może dać ci waleriany? — zaproponował Jahnycz, zauważywszy ten bezwiedny ruch przyjaciela. — Mam w pastylkach.

— A czy wiesz, co to w naszych warunkach utracić nawet jeden urodzajny hektar? — ciągnął dalej z pasją Czerednyczenko, jakby nie słyszał o tej walerianie. — Takiego czarnoziemiu nie znajdziesz na całej planecie! To złotodajna ziemia! I nawet jeśli ją osta-

tecznie nawet odsolą, to kiedy to nastąpi? A ile teraz tracimy tylko na jednym, skreślonym z uprawy hektarze?! Zapanował oczywiście popłoch wśród autorów tych projektów. A gdzie wyście byli przedtem, panowie specjaliści? Nie chcieliście słuchać nas, prostych praktyków, ale przecież i naukowcy was przestrzegali. Machnęli na to ręką, zlekceważyli wszystkie ostrzeżenia. Zażądano od jednego z nich na konferencji partyjnej, by złożył odpowiednie wyjaśnienia; głądził chyba pół godziny, wypił całą karafkę wody, ale te jego wyjaśnienia niczego nie wyjaśniały... Nie, nie! — Czerednyczenko wstał z emocji. — Jeśli zabrałeś się do budowania, to buduj nie byle jak, na „jakoś to będzie”! Na brystolu możesz zetrzeć gumką, ale tu już nie zetrzesz: na ziemi wszystko trzeba robić „na czysto”, bez brudnopisu, bez przepisywania!

## 15

Gdzie jest linia horyzontu? Teraz jest prawie niezauważalna: bezkres oślepiającego morza zlewa się z bezkresem oślepiającego nieba. Światłość dnia rodzi się z przepełnionych światłością żywiołów...

Słońce jest w zenicie.

Na pełnym morzu płynie „Orion”. Ledwie się porusza, wiatru nie ma, żagle zwisają.

Dostrzegły go delfiny. Dla tabunów niezmordowanych delfinów żaglowiec bieleje, jak jakiś dziwny, płynący powoli pałac. Nie widać żadnego statku, na horyzoncie nie ciemnieje żaden tankowiec. Tylko „Orion”. Jeden jedyny wśród rozświetlonych wód. Pod żaglami wydaje się niewiarygodnie wysoki. Biała chmura! (Wysokość masztu od kila do jabłka wynosi czterdzieści siedem metrów).

Na pokładzie kursanci strasznie się nudzą. Nowicju-

sze nie przywykli jeszcze do tej wszechogarniającej oślepiającej jasności. Spotkać się z nią można tylko na śródziemnomorskich wodach o tej właśnie porze roku w samo południe. Światło wbija się w oczy jak ostrze. Przeworza morskie i powietrzne są jedną oślepiającą feerią świetlną. A wiatru ciągle nie ma.

— To dziadek Jahnycz zabrał z sobą wiatr...

Kapitan dokonuje obchodu statku. Na jego twarzy zakłopotanie. W oczy wwierca się czytany już tyle razy napis: „sygnał SOS podaje się elektryczną syreną. «Alarm»”... Jeden nieprzerwany sygnał przez trzydzieści sekund. Nic jednak nie zapowiada groźby alarmu. Więc skąd ten niepokój? Jak należy go rozumieć?

Sala wykładowa dla kursantów. Tablica. Przykładowe węzły: podwójny haczykowaty... rybacki... zabezpieczający...

Najtrudniej związać dwa stalowe końce, właśnie przy tym łatwo zakrwawić ręce... A nad tobą stoi majster Jahnycz.

Mostek nawigatora. Rozłożona mapa.

Cyrkiel.

Kątomierz.

Gumka...

Kilku kursantów pochyliło się nad mapą: śledzą przewidziany kurs statku.

Są tu też dwa urządzenia radarowe. Żagiel i radar są na „Orionie” nierozłączne, urządzenia te są przedmiotem dumy kapitana.

Już trzecią dobę nie ma wiatru. „Odszedł i zabrał wiatr z sobą...”. Skąd się wzięła ta dowcipna uwaga? Rzucił ją jeden z nowych kursantów, którzy Jahnycza na oczy nie widzieli. Ale ty, kapitanie, płynąłeś z nim w swój pierwszy najdalszy rejs. Dotarli niemal do tropików (strefa północno-wschodniego pasatu), żeby wykorzystać pomyślny wiatr, pasat nieco bardziej pół-

nocny byłby wiatrem przeciwnym. Skorzystał z niego „Orion” w drodze powrotnej.

To był wspaniały, emocjonujący rejs!

Płynęli tak pierwszy raz. Kursanci byli wyborowi, pochodzili aż z trzech szkół morskich. Rejs ten był bardzo trudny, sztormowy, okazał się jednak nad podziw szczęśliwy: żadnego uszkodzenia, choroby, niepożądanego przygody.

— To dlatego, że Jahnycz odprawia tu swoje czary. To dzięki niemu... — żartowali.

Jaki był ten Jahnycz?

Zupełnie przypadkowo podsłyszał rozmowę tych, którzy nigdy Jahnycza nie widzieli. Stoją w pobliżu kabiny radiotelegrafisty i tworzą nowego, nie znanego im, innego, swojego Jahnycza.

Jaki był?

Był, był... Całe swoje życie spędził pod tymi oto żaglami. Nie miał rodziny, nikogo, niczego. Tylko te żagle... Tu mieszkał zawsze i żył, tu wiązał węzły, strzegł tego statku.

Dla kursantów był surowy. Bywało, podejdzie, pokaże palcem.

— Jak się nazywa ten takielunek?

Milczysz.

Przejdzie końcem liny po grzbiecie. Ale to cię nie boli, bo wiesz, że sprawiedliwie. A kiedy dobrze odpowiesz — uściśnie ci rękę.

Co też oni wygadują. Na „Orionie” nigdy nic podobnego się nie zdarzyło, Jahnycz nigdy nie uciekał się do takich metod wychowawczych!

Nikt nie wiedział, ile też ten Jahnycz ma lat.

— Towarzyszu majstrze, ile towarzysz ma lat? — pytają czasem kursanci.

— Czterdzieści — odpowiada z poważną miną.

W następnym roku przyjdą kursanci na „Orion”. Ci też go pytają:

— Ile macie lat?

— Czterdzieści — padnie ta sama odpowiedź.

Zastygł w swoich czterdziestu latach. Czymś się widocznie zaznaczyły w jego życiu, że później zawsze — ani mniej, ani więcej, tylko czterdzieści. A może krył się dla niego w tej cyfrze, podobnie jak w liczbie „13”, jakiś tajemny sens? A najważniejsze, że istotnie wyglądał zawsze na mężczyznę czterdziestoletniego. Jahnycz się nie starzał! Miał wręcz żelazny organizm, wyjątkowo silny! A jaki charakter, jaka wrażliwość! Często podśpiewywał, znał mnóstwo pieśni, zwłaszcza dawnych żeglarskich.

Raz „Orion” trafił w strefę najstraszliwszego w tych szerokościach huraganu, w jego skrzydło. Była noc, szalał chaos czarnego żywiołu. Woda wlewała się bez przerwy na pokład. Szkwał nadlatywał za szkwałem. Wszyscy myśleli, że to już koniec. Jednak nawet w tych warunkach posyłano kursantów na maszty. I znowu — zdumiewająca rzecz! — nie zrzuciło do wody nikogo.

Mówiono, że dlatego iż Jahnycz żyje, że jego serce bije na „Orionie”. Mocno poturbowany, przywiązany silnie linami, leżał pod nożem chirurgicznym w lazarecie, w głębi statku. W istniejących warunkach operacja była niemożliwa, z powodu przechyłów chorem rzucało na wszystkie strony, ale innej rady nie było, majster sam zresztą powiedział: rżnij! Wyjęto mu z piersi serce, które ciągle jeszcze biło. Zszywano go żeglarską igłą i surową nicią. I Jahnycz żył!

W mocno napiętym programie nauczania, który kursanci muszą doskonale opanować, był również temat: „Żywotność statku”. „Orion” wzbogacił ich o jeszcze jedną lekcję: „Żywotność człowieka”. Jeszcze dotąd



panuje przekonanie, że niewiarygodna żywotność Jahnycza, jego niezmożony duch, potężne pole elektromagnetyczne jego natury — zadecydowały o losie całej załogi, o losie „Oriona”. Promieniejąca z niego energia ładowała całą załogę, co pozwoliło jej przetrzymać wszystkie szkwały i wydostać się szczęśliwie ze strefy huraganu...

„Co oni wygadują” — kapitan słuchał tego wszystkiego, nie mogąc zrozumieć mitotwórczych tendencji w rozmowach młodych kursistów. Po co oni tak fantazjują? Nic podobnego na „Orionie” nie zdarzyło się, wszystko było inaczej! Skąd te wszystkie urojenia, ta powódź fantastycznych domysłów? Co wywołuje tę potrzebę przetwarzania realnego człowieka, zwolnionego zgodnie z obowiązującymi przepisami, w jakiś amulet? Jaki sens ma to ciągle ulepienie gdzieś po kątach, w cieniu żagli, jakiegoś mitycznego posągu tego, który „odszedł i zabrał z sobą wiatr”? Tylu różnych ludzi przewinęło się przez „Oriona”, o tylu już rzadko się pamięta lub też w ogóle o nich zapomniano, więc dlaczego ten zwyczajny, chociaż — co prawda — w jakiś sposób i niezwykle Jahnycz tak działa na wyobraźnię nowicjuszy? Dlaczego jego imię jest na ich ustach nawet teraz, w tym sztilu i oślepiającym blasku niebá i morza?

Czyżby tym kursantom, posługującym się radarem i najnowocześniejszymi urządzeniami elektronicznymi, potrzebna jednak była wymyślona legenda jakiegoś fantastycznego Jahnycza, który ma zawsze czterdzieści lat?

Ledwie się ściemniło, pod domem Jahnyczów rozległ się krótki gwizd. Matka była zajęta czymś w mieszkaniu, ale drzwi były otwarte, więc usłyszała.

To chyba ten się zjawił. W dawnych czasach chłopcy wywabiali w ten sposób dziewczyny; teraz taki gwizd można usłyszeć już tylko w teatrze lub w klubie, gdy wystawiają jakąś starą sztukę. Okazuje się jednak, że coś takiego może się wydarzyć również i teraz pod domem. Śpiewać nie umieją, ale gwizdać się nauczyli.

Nie ma jednak w domu tej, na którą gwizdano, dzień pracy kurajowskiej medycy nie jest uregulowany. Po powrocie z pracy zamierzała pójść do kina, ale wezwano ją do Czerednyczenki, żeby postawiła mu bańki.

Powaliło Zeusa. Z okazji dożynek pojechał nad morze zmyć żniwny kurz, wykąpał się w swoim Morzu Czarnym z meduzami i tak się przeziębził, że istniało podejrzenie zapalenia płuc. Kiedy zimą płynął morzem u kerczeńskich wybrzeży, przebijając się z Tasmania na półwysep na zwiad, nie dostał wtedy nawet kataru, w każdym razie nie przypomina sobie czegoś takiego. Szynele nieraz tak sztywniały z mrozu, że chrzęściły na gwardzistach i trzeba je było znowu moczyć w wodzie, żeby nie obudzić wrogich posterunków. A teraz wystarczy tylko spojrzeć na morze, a już katar i gorączka. Jedyne radykalne leczenie, jakie Sawa Danyłowicz uznawał w takich wypadkach, to właśnie bańki. Więc zwykle podstawił pokornie plecy, żeby żona obłożyła je bańkami, a ponieważ Warwara Pyłypowa sama teraz nie domaga, więc wezwał młodą medyczkę, niech się wprawia...

Gdy Inna wybiegła, matkę ogarnęły wątpliwości, czy Warwara nie wezwała jej celowo, by sprawdzić umiejętności początkującej pielęgniarki i przekonać się, czy ona potrafi chociaż bańki dobrze postawić.

Poszła i nie wraca, a tymczasem świstak ciągle

poświstuje. Nie pierwszy już raz przynosi go skądś pod kurajowskie wiśnie, żeby tylko zobaczyć się z Inną i zapewnić ją, jak to on za nią przepada... Otc jeszcze raz zagwizdał z jakimś słowiczym trelem.

— Powiedz mu, że jej nie ma w domu, nie spaceruje jej teraz w głowie — zawołała z progu matka Inny będąc pewna, że ktoś tam przekaże już mu jej słowa.

Jednak na podwórzu nie było nikogo. Tylko grusza stoi jak chmura deszczowa, ale wygląda tak, jakby to wieczorne gwizdanie sprawiało jej przyjemność. Kobieta wyszła na ganek. No tak, ławka pod gruszą pusta, nikt jej nie pilnuje, orionowiec polazł już do sąsiadów oglądać z dziećmi wieczorny dziennik telewizyjny. Mają tam bardzo duży telewizor jak dawna skrzynia z posagiem, stoi w sadzie pod orzechem, niebieski ekran widać aż stąd, z werandy, przed ekranem pełno głów dorosłych i główek dzieci, a wśród nich świeci łysina orionowca. W domu Jahnyczów też jest telewizor, może nawet lepszy, stoi w kącie za komodą. Co prawda przez całe żniwa nikt go nie włączał. Ale przecież marynarz mógłby go sam nastawić i oglądać w domu, ciągnie go jednak do sąsiadów, do dzieci. Tam weselej.

A na ulicy znowu rozległ się cichy gwizd. Co za natrętny chłopak!

Gospodyni zbiegła po schodkach, podeszła do furtki. Coś mignęło pod wiśniami, które widocznie nie boją się złodziei, bo sięgają gałęziami na ulicę. Ciemna postać schowała się za pień.

— To ty, Wiktorze?

— Ja.

— Nie znudziło ci się jeszcze gwizdać? Wejdz na podwórze.

Trzeba się z nim obchodzić grzecznie, bo czy się

to komu, podoba czy nie, ale występuje on w roli przyszłego zięcia.

— Ja do Inny. Jest w domu?

— Powinna wnet przyjść. Wejdz. Miałam właśnie zamiar porozmawiać z tobą.

Posadziła adoratora córki na werandzie, niczym go zresztą nie częstując, bo to przecież gość nieproszony, obejdzie się. Zapaliła światło, żeby mu się lepiej przyjrzeć, też usiadła. Chłopak przesunął się z krzesłem w kąt werandy i zastygł w bezruchu. Dociekliwie przyglądała mu się. Oto on, ten ancymonek.. I to ma być jej zięć? Właściwie to chyba nawet się nie zmienił, mimo że gdzieś tam przebywał. Mówiono, że jest ostrzyżony, ale teraz już nie poznać. Z uprzejmą uwagą czeka na rozpoczęcie rozmowy — postawny, o suchej, owalnej, wygolonej twarzy, na wargach biała się skromny uśmiech. Nos matki, brwi również jej, cienkie i śmiało zarysowane, nie każda dziewczyna pozostanie obojętna wobec takiego chłopca. I kiedy tak grzecznie siedzi, ścisnąwszy dłonie kolanami i spoziera nieśmiało to na sufit, to na żarówkę wokół której krąży muszki, trudno uwierzyć, że to taki szaloputa, włóczęga i chuligan.

— Czy ona szybko przyjdzie? — spytał skronnie.

— Nie wiem dokładnie, jest w pracy. Ale przyjdzie na pewno. Moja córka trzyma się domu, nie tak jak inni.

— Jeśli to aluzja pod moim adresem, to pani pozwoli, że wyjaśnię: też mam nadzieję wrocić w najbliższym czasie do domu. Chyba dostanę pracę gdzieś w pobliżu.

— Pewnie w sanatorium? — obok Kurajówki już drugi rok budowano na wybrzeżu kompleks sanatoryjny dla górników. — Chcesz się zaangażować jako akordeonista?

— To na razie tajemnica — odpowiedział wymijająco, uśmiechając się.

— Oj, Wiktorze, Wiktorze! Co ty właściwie sobie myślisz? Dokąd będziesz się tak włóczył jak bezdomny pies? — powiedziała ze współczuciem. — Popatrz na swoich rówieśników: każdy ma jakąś pozycję, jeden się uczy, drugi jest w wojsku, trzeci nie złązi z traktora. Są prawdziwymi synami, niczym się nie splamili, są dumą i radością dla rodziców. Nawet nasz Petrus — oczy matki zaświeciły się — przy tobie prawie jeszcze dziecko, a jaki bystry, rwie się do roboty, ojciec może mu śmiało powierzyć kombajn. Nie bał się wybrać z dorosłymi aż do Kazachstanu. A ty?

W domu w podobnej sytuacji Wiktor rzuciłby tylko lekceważąco: „Niech mnie mama nie poucza, jak żyć, mam powyżej uszu tych ciągłych morałów”! — i odwróciłby się do matki plecami; tu jednak nie śmie, udaje, że słucha z przejęciem, że pije z rozkoszą te mądre rady jak ryba wodę.

— Więc co, na wiatr rzucam te słowa czy jak? Dlaczego milczysz?

— Słucham. Bardzo uważnie. I zastanawiam się nad tym, Hanno Huryjewno.

Jego zachowanie zachęciło ją do prawienia w dalszym ciągu morałów, przyjemnie jej też było, że zwraca się do niej z pełnym szacunkiem. No więc wygłosiła jeszcze jedną odę na cześć młodziutkiego kombajnisty Petrusia, wspomniała też o swoim dalekim kuzynie Anatolu Jahnyczu, który gdzieś tam w Berlinie wyratował z płomieni dziecko, o czym przyszło do Kurajówki zawiadomienie od samego dowództwa — po czym znów dobrała się do tego szafawicy, który siedzi teraz taki pokorniutki i smutniutki z wyciągniętą szyją i oczami wlepionymi w sufit, łowi każde słowo i „zastanawia się”. A może zamiast słów

łowi muchy, które biją skrzydełkami o żarówkę pod sufitem?

— Jeśli nie masz litości nad sobą, to chociaż nad rodzicami się ulituj — perorowała dalej przyszła teściowa. — Ojciec zesechł już na strączek a przez kogo?! Z matką też nie lepiej, z bólu i wstydu nie chce się ludziom na oczy pokazywać. Oboje pokładali całą nadzieję tylko w synu, dogadzali jego wszystkim kaprysom, a to harmonia, a to „Jawa”, niczego mu nie odmawiali. I ty tak się im odwdzięczasz? Ściągnąłeś rozpacz i nieszczęście na ich stare głowy i biedę na siebie, czy ty chociaż to rozumiesz?

— Rozumiem, Hanno Huryjewno, jeszcze jak rozumiem — i znowu uległość i pokora na posmutniałej jeszcze bardziej, ładnej twarzy. — Postaram się zmienić do gruntu. Moja pokuta w zakładzie poprawczym nie skończyła się, przeżywam ją wciąż w całej pełni, dzień i nocą draży mnie tu — i przyłożył rękę do serca. — Przysięgam pani, że wkrótce mnie pani nie pozna.

Matka Inny odczuła ulgę. Kiedy się pogada z człowiekiem od serca, to od razu coś w nim drgnie, chłopak nie ma przecież serca z kamienia. W domu chyba nie umięją z nim rozmawiać, mimo że oboje są nauczycielami. Do obcego łatwiej dobrać klucz niż do swojego. A ona chociaż nie jest nauczycielką i zajmuje się tylko dziećmi w przedszkolu, to jednak potrafiła przemówić temu dryblasowi do sumienia.

Zaczęła teraz wychwalać przed nim Innę. Że ukończyła uczelnię ze złotym medalem (ten medal narodził się dopiero teraz, na werandzie), że proponowali jej różne bardzo dobre miejsca pracy, nawet w stolicy, a także w tym głównym Czerwonym Krzyżu, co to tylko wciąż lata z lekarstwami i żywnością do Indii i na koniec świata, wszędzie tam gdzie tylko są trzę-

sienia ziemi i epidemie. Niczym jednak nie udało im się Inki skusić, bo dla niej Kurajówka jest miłsza od wszystkiego i najcieplej jest jej przy matce.

— Teraz właśnie Warwara Pyłypowna zaprosiła ją, żeby samemu przewodniczącemu postawiła bańki. „Ty to lepiej potrafisz, powiada, niż ja”. Czy jakiejś innej przewodniczący by zaufał, podstawiłby plecy? A jej: proszę bardzo...

No więc były dytyramby na cześć córki, inspirowane przez macierzyńską dumę i uskrzydłone właściwą Jahnyczom fantazją.

— I taka dziewczyna czekała na ciebie, mimo że w uczelni aż trzy razy oświadczyli się jej i lotnicy, i oficerowie z łodzi podwodnych — to też produkt matczynej fantazji. — Która dziewczyna na jej miejscu przepuściłaby taką szansę? Która by nie uległa? Poderwałaby sobie lejtnanta albo lekarza z dyplomem czy też młodego kombajniste z Złotą Gwiazdą! A ona nie i nie! „Nie, mam, będę czekała na sądownego mi i zasądownego. On tam cierpi, powiada, żyje nadzieją, wierzy we mnie. Byłoby podłe odwrócić się od niego w nieszczęściu. Nie, powiada, nie zostawię go, będę czekać, kiedy już serce wybrało Witieńkę”. Czy potrafisz to ocenić?

— Umiem to ocenić — w głosie jego zabrzmiała szczerza дума. — Inka nie ma sobie równych, jest dla mnie wszystkim. Nie było dnia, żebym o niej nie myślał. Dzięki niej i dla niej zdołałem sam siebie przezwyciężyć. Życie mnie zdrowo rąbnęło, Hanno Huryjewno. Tak rąbnęło, że jeszcze dotąd się zataczam... Chyba jeszcze wtedy, gdy wyrzucili mnie ze szkoły morskiej, i to tylko za jedną samowolkę. Czy to sprawiedliwie?

— Co to takiego „samowolka”?

— No... urwałem się na dwa dni na wagary, a tam taka dyscyplina!

— Cóż by to była za szkoła morską, gdyby nie było dyscypliny. Bez niej to ich „Orion” nie dałby rady tym wszystkim huraganom. Dla porządnego człowieka dyscyplina nie jest straszna. Mój brat, jak wiesz, oddał morskiej służbie połowę życia i nie narzeka, chociaż różnie na tym „Orionie” bywało. A teraz przekazuje tę swoją naukę naszym chłopcom. A wiesz, jaka to nauka? O statku, którego nic nie zdołało złamać.

Z trudem ukrywając znudzenie Wiktor słuchał teraz jej kolejnych peanów, wychwalających starego orionowca, którego chłopak unikał w obawie przed jego morałami.

— Gdybyś wtedy w szkole morskiej dobrze się prowadził, to teraz pływałbyś już pod żaglami „Oriona”. Kiedyś zachwycaliśmy się, jak wujek rozpinał żagle na skrzydłach wiatraka, a co dopiero na prawdziwym żaglowcu... Och, Witia, Witia!...

A kiedy już raz wsiadła na „Oriona”, to nic nie mogło jej powstrzymać, jakby sama na nim pływała: jakich to chłopców tam biorą i jaki hart w nich wyrabiają — mówiła i mówiła, a Weremienko wyciągnąwszy żurawią szyję słuchał przyszłej teściowej z udaną uwagą, docierała jednak do niego wyłącznie sama melodia jej głosu, zlewającego się w monotony plusk wody.

Chłopak wsłuchiwał się natomiast w siebie: „Chóćby pani miała po stokroć rację, to wcale nie jest mi od tego lżej. Czy zna pani taki stan, kiedy po prostu nie ma się ochoty żyć, chociaż brak konkretnych powodów do takiej melancholii? Czy było kiedyś tak, żeby nic pani nie interesowało? Absolutnie nic?! Że wszystko jakby już gdzieś było i ja sam też już byłem w takiej sytuacji, i wiem, jak będzie jutro, jakie



jedzenie zastanę w stołówce na zatłuszczonym stole, jakie muchy będą bzykać nad moim tłustym barszczem... Nikt mnie jednak tak nie rozumie, jak Inna. Nikt, jak ona, że wykazuje wobec mnie tyle cierpliwości i wielkoduszności. Chce mnie widzieć lepszym i widzi mnie lepszym niż jestem w istocie, ubiera mnie w szaty własnej wyobraźni, pokłada we mnie własne nadzieje, i dziwna rzecz — niekiedy czuję, jak pod wpływem tych jej nadziei i oczekiwań staje się istotnie jakby lepszy. Inna, to ta najwyższa nagroda, jaką przyznało mi życie, przyznało być może zbyt szczerze, awansem. Tylko miłości właściwa jest taka hojność, takie wszechprzebaczenie, i tylko miłość zdolna jest przywrócić ci zainteresowanie życiem i smak życia, i to nawet wówczas, kiedy — zdawałoby się — znajdziesz się na samej granicy, poza którą jest już tylko mrok i pustka.

I jak nie kochać takiej dziewczyny?! Od niej jakby przechodzą na ciebie impulsy energii życiowej, żarem swojej namiętności rozmraża nawet to, co zdążyło już w tobie zlodowacieć. Nie, tu fałszu nie ma: on ją kocha! W przeciwnym wypadku nie nudziłby się tu na ganku, podczas gdy tam czeka kino, czeka tyle dziewcząt, które tak bezwstydnie kleją się do ciebie w tańcu... Tylko dla Inny siedzisz tu i wysłuchujesz tych treli-moreli, tej drętwej mowy, chociaż pani się wydaje, szanowna mamusiu, że dzięki pani krasomówstwu w sercu pani przyszłego zięcia dokonuje się prawdziwy przewrót...”.

Kiedy gospodyni powróciła do sprawy stosunków łączących Wiktora z Inną, pytając, czy jest on pewny stałości własnych uczuć dla dziewczyny. Weremienko odpowiedział zupełnie szczerze:

— W niej moje jedyne szczęście. Tylko w niej! Ma dla mnie cenę najwyższą! I nie zamieniłbym jej

na nikogo, na żadną z tych uganiających się za mną ciż...

Wyrzucił to z siebie szybko i urwał. Samo mu się to wyrwało, i od razu pożałował tego, bo wzbudziło to czujność i nieufność gospodyni.

— Co to za cizie? Kogo tak nazywasz?

— No... cizie, wszyscy je tak nazywają.

— Jacy wszyscy? Może te twoje złodziejaszki, z którymi siorbałeś więzienną lurę. Ale to przecież nie wszyscy. Porządny człowiek nie będzie się tak wyrażać o kobiecie. Co za kultura! I taki chce być narzeczonym mojej córki. Cizie, cizie... — nie mogła się uspokoić. Przez chwilę milczała, twarz jej nabrzmiała, Hanna Huryjewna była teraz podobna do swego brata. — Wiktorze! — przemówiła jakimś uroczystym tonem. — O jedno tylko chcę się prosić. Pozwolisz?

— Proszę bardzo.

— Jako matka błagam cię: zostaw ją w spokoju! Nie przyniesiesz jej szczęścia.

Chłopak zbladł.

— A skąd pani może wiedzieć, czy przyniosę czy nie przyniosę?

— Serce mi to mówi.

— Serce to nie jest najpewniejsze źródło informacji.

— Oj, jakie pewne... Nikogo jeszcze tak nie prosiłam, jak proszę teraz ciebie, Wiktorze. Jesteś ładnym chłopcem i nietrudno będzie ci znaleźć sobie dziewczynę, chociażby jedną z tych twoich ciż. Kiwniesz tylko palcem, to sama pobiegnie za tobą. Ale Inna... Inka ma własną drogę, różną od twojej. Oszczędź jej choćby za jej wierną miłość do ciebie. Bo teraz już rzadko kto potrafi tak kochać, jak ona... Zostaw ją! Proszę cię, błagam, jak syna!...

Siedział z pochyloną głową jeszcze bledszy.

— Prosi pani o rzecz niemożliwą — powiedział cicho.

Matka jednak nie kapitulowała.

— Przemóż się, nie zawiązuj jej świata! Zdarza się przecież, że ludzie kochają się przez rok, dwa, a potem żenią się z kim innym. Czy to mało u nas ładnych dziewcząt? Podobno Musia Osnaczowska świata za tobą nie widzi, też przecież wspaniała dziewczyna, i jedynaczka, możebyś właśnie ją uszczęśliwił...

Chłopiec milczał, nie podnosząc głowy, co zostało odebrane jako oznaka wahania: jest teraz pewnie w rozterce, rozważa, jak powinien postąpić. Jeszcze trochę i zgodzi się. Nagle olśniła ją pewna myśl.

— Słuchaj, Witia, jeśli spełnisz moją matczyną prośbę, to podaruję ci za to.. „Żiguli”!

— „Żiguli”? — Wiktor aż zamrugał oczami z zaskoczenia.

Taka propozycja mogłaby niejednego podciąć, a cóż dopiero Wiktora, znanego w Kurajówce pozeracza przestrzeni. Czy potrafi oprzeć się tej pokusie? I chyba matka się nie omyliła, bo chłopiec ściągnął brwi i na jego poweselałej twarzy odbiło się zainteresowanie.

— Macie „Żiguli”?

— Będziemy mieli! — zapewniła gorąco. — Zeszłego roku dwaj najlepsi kombajniści obwodu otrzymali w nagrody samochody małowitrazowe, jeden dostał „Zaporożca”, a drugi „Żiguli”. Sam sekretarz komitetu obwodowego publicznie na stadionie wręczył tym kombajnistom kluczyki.

— Ale te kluczyki mają oni a nie wy — Wiktor nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Możesz uważać, że my też! Rodzinna załoga Jahnyczów jest w pierwszej dziesiątce przodujących kombajnistów. w gazecie była jej fotografia. W ubie-

głym roku dostała telewizor i gdyby w tym roku zboże się nie spiekło, to pod oknem stałby już czerwony samochód na nowych oponach... A że w następnym roku będzie już stał, to fakt!

Weremienko wstał, twarz jego nabrała surowości.

— A więc za córkę „Żiguli”, tak? A czy nie za małego? Może by „Wołgę”? — i nieoczekiwanie roześmiał się głośno, natychmiast jednak znów spoważniał i spojrział na gospodynię z wyższością.

— Wstyd mi tego słuchać! Czy pani rzeczywiście mogła poważnie pomyśleć, że Wiktor poślakomi się na ten pani okup? Że zamieni Innę na samochód, weźmie na odczepne „Żiguli”? Co za grubiaństwo! Przecież pani sama była kiedyś młoda, nie wie pani, co to miłość?

— Znaczący się znalazł, widzicie go! — gospodyni również wstała, obrażona. — Wiedziałam i wiem, co to miłość, ale ty?! A o tym, co tu powiedziałam, ani pary z gęby, zrozumiano?

— Oczywiście.

W tym momencie do werandy podbiegła już Inna. Od razu zauważyła, że odbyła się tu jakaś przykra rozmowa.

— Dzieliliście skórę na niedźwiedziu? — spytała zaniepokojona.

„Ciebie nie podzieliliśmy” — korciło go powiedzieć, zareagował jednak żartem.

— Rozmawialiśmy o sprawach oenzetu.

— A jak tam nasz przewodniczący? — włączyła się skwapliwie matka, by zażegnać niebezpieczeństwo. — Wzywali tylko tak, żeby wezwać, prawda?

— Nie, rzeczywiście jest bardzo przeziębiony, ma wysoką gorączkę — poinformowała Inna. — Jednak na pneumonię to nie wygląda, raczej na anginę — i

rzuciła zakochane spojrzenie na Wiktora. — Dlaczego jesteś taki blady?

Przeszło jej przez myśl, że może on jest pijany, odrzuciła jednak natychmiast to podejrzenie. Już dawno po pewnym incydencie postawiła mu warunek, żeby nigdy nie pokazywał się jej na oczy w nietrzeźwym stanie — i jak dotąd Wiktor przestrzegał tego.

— Gol! Gol! — znowu doleciało z „Elektronu” sąsiadów.

Wiktor podszedł do dziewczyny i wziął ją ostentacyjnie za rękę.

— Morze nas woła.

Poddała się chętnie jego woli. Pobiegli do furtki ze splecionymi dłońmi.

Matka zrozumiała: jest siła, wobec której daremne są nasze wysiłki, siła, która kruszy najbardziej wymyślne palisady przeszkód: miłość.

## 17

Inna nie układała teraz pieśni. Odkąd znalazła się w Kurajówce, nie napisała ani jednej linijki, chociaż niekiedy coś się tam kłębiło mgliście w sercu i w głowie.

Dużo teraz czytała. Znowu zafascynowała ją klasyka. W domu kultury uzbierała się w ciągu ostatnich lat spora biblioteka pod opieką samego Czerednyczenki, który dba o to, by jej zasoby odpowiednio się zwiększały: niech Kurajówka czyta, będzie piła mniej wódki.

Rejonowa gazeta od czasu do czasu drukowała wiersze, w jednym z numerów twórczości literackiej młodych poświęcono aż całą kolumnę. Inna czytała te wiersze bardzo dokładnie. Było tu o „muzyce klepisk”, o „stepowych statkach”, były fragmenty poematów

(chyba jeszcze nie napisanych), były wiersze o kombajnistach, ich samozaparciu w pracy i bezsennych nocach. Opiewano „braci słońca” — słoneczniki, które „oświetlają morze złotymi koronami” (to te, co rosną za Kurajówką, w tym roku nękanie posuchą, wycieńczone, nikłe jak rumianki, walczą ostatkiem sił o życie).

Wszystko było niby tak, a coś jednak nie tak. Bo wiersze są gładkie i lekkie, podczas gdy to lato nie było dla ludzi ani gładkie, ani lekkie; jakim bólem napawał rolników widok spalającego się na ich oczach zboża, jak dramatycznie przeżywali te wściekłe ataki gorącego wiatru z piekła rodem, jak tragicznie bezradni byli wobec brutalnej agresji niszczycielskiego żywiołu! Ale o tym nie było w drukowanych wierszach ani słowa.

A może tak właśnie trzeba? Po co poruszać to, o czym i bez wierszy wszyscy wiedzą? Była poza tym liryka w skali rejonu, uprawiana przez chłopców i dziewczęta; rówieśnicy Inny zwierzali się stepowym kołchoźnikom ze swoich intymnych przeżyć. Spotykała takich „lirycznych poetów” podczas studiów, kiedy czasami wstępowała na zebrania kółka literackiego „Słoneczne grono”, działającego przy miejscowej gazecie. Inna nie brała jednak bezpośredniego udziału ani w turniejach młodych autorów, ani w dyskusjach po recytacjach wierszy; nie czuła się jeszcze przygotowana do tego, a poza tym powstrzymywała ją wrodzona wstydlivość, trzymała się więc na uboczu i w milczeniu słuchała. Zdarzało się jej słyszeć utwory piękne, nacechowane szczerą miłością do ludzi, do stepu, było też jednak sporo pustosłowia, zapożyczonych uczuć, przesadnych i zbyt częstych porównań (określanych przez nią jako „jakanie”); tak jej przynajmniej się zdawało.

Wyobrażała sobie, jakby przyjmowali takie wiersze jej rodzice i jak kpił by z nich jej brat kombajnista. I kiedy ją samą nachodziła chęć wypowiedzenia się przez wyszukany rym i pobawienia się dźwiękiem słów, pojawiał się natychmiast w wyobraźni kpiący śmiech brata, który potrafi być bardzo uszczypliwym. Nie, nie dostarczy mu żeru do kpin. Nie wiadomo, czy ona uszczęśliwi ludzkość swoimi wierszami, ale dobrze wiadomo, że na długo przed nią powstały utwory, które i jej sprawiają prawdziwą rozkosz. No więc trzeba dużo czytać i uczyć się, pisać jeszcze zawsze zdąży...

W punkcie sanitarnym stale leżał przed nią na stole obok zeszytu rejestracyjnego tomik poezji, założony blankietem recepty. Tych poezji, które pije się jak źródlaną wodę w upał, nie mogąc nigdy ugasić pragnienia. To zdumiewające, jak człowiek potrafi wypowiedzieć siebie, w sposób czarodziejski zawładnąć czytelnikiem jednym wierszem. Czy jej się to kiedy uda?

A jednak nurtowało ją podświadome pragnienie włączenia się w twórczy nurt i tliło się w niej jak nadzieja. Przypatrywała się ludziom na klepisku: ci nie przyjmą pustosłowa. Są jak sama prawda: prości i jaśni. I jej słowa muszą być takie, jak ci ludzie. Czekala, wsłuchiwała się w siebie: może już czas? Może trzeba już chwycić za długopis? Ale nie, to co u innych obrodziło pełnym, ścisłym kłosem, jeszcze do niej nie przyszło, jej niwa tonie jeszcze we mgle...

— Przeżywasz twórczy kryzys? — spytał ironicznie Wiktor podczas ostatniego pobytu w Kurajówce, dokąd teraz często zagląda, od kiedy przesiadł się z walca drogowego na gazika „Silhosptechnikum”, gdzie przyjęto go na próbę. — Twórczy kryzys, tak to się chyba u was nazywa?

Nic mu na to nie odpowiedziała. Może istotnie kryzys? A może w ogóle nic już więcej nie napisze po tym „Brzegu miłości”? Znane są przecież wypadki, że człowiek pozostaje autorem tylko jednej pieśni.

— Chociaż ty się nie męcz — uspokajał ją Wiktor. — Nie można pisać, no to co? Jest przecież wielu ludzi, których dni ulatują w próżnię. Wiem coś o tym. Ale teraz... Kiedy jesteśmy razem, to — wierz mi — odczuwam sens życia. I Kurajówka jest wtedy dla mnie jak, no, jak Wyspy Kanaryjskie.

Cieszyło dziewczynę to, że Wiktor jakby jednak zmieniał się na lepsze, odnosił się do niej z większym szacunkiem, pojawiły się nowe zainteresowania, poprosił ją nawet o „Antologię poezji francuskiej”. Tylko ciągle jak wiatr: przyfrunie, pójdą razem do kina, i późnym wieczorem wraca, bo od rana pracuje, a ona znowu pozostaje w niepewności, czy nie wpadł w jakieś tarapaty. A może ten jej niepokój jest zbyt liczny, nie ma w zasadzie żadnych realnych podstaw. Może ona po prostu nie umie się cieszyć tak jak inni? A wystarczy przecież cieszyć się tym, że wieczorem znowu przyjechał, bierze ją za rękę i prowadzi...

Kiedy teraz wypadli na ulicę, pozostawiając matkę na werandzie, gazik Wiktora stał krzywo zaparkowany pod płotem sąsiadów.

— Wsiadaj, pościgamy się z wiatrem, przekonasz się, do czego jest zdolny mój podwładny.

Wsiadła, ale drugi raz już nie da się namówić. Co za przyjemność, kiedy raz po raz trzeba wołać: „Nie pędź tak! Zwolnij!”, i szukać, za co by się uchwycić rękami, widząc oślepionych reflektorami ludzi, którzy w popłochu pierzchają na wszystkie strony.

No cóż, hazard... Może to też talent? Może hazard i odwaga są nieodłączne? Wiktor powiada, że żyje tylko wtedy, gdy jedzie setką i wszystko wokół tylko świsz-



cze, rozstępuje się, rozpada, on zaś czuje się tak, jakby się przeniósł w inny wymiar, w którym on sam jest już też inny i gdzie sama szybkość upaja jak alkohol. Możliwe że jest tak, jak mówi Wiktor. Nurkowie opowiadają, że człowiek, gdy opuści się w głąb wody, też dostaje zawrotu głowy, tylko że od estetycznego chmielu, na widok fantastycznej urody podwodnego królestwa.

Hazard, porywy, pragnienie niezwykłości nie zasługują oczywiście jako takie na potępienie. Może tu właśnie rodzą się wielkie namiętności, wzloty uczuć, sukcesy? Niedawno Inna widziała w kurajowskim muzeum ludowym powiększoną fotografię Sani Chutirnej, tej legendarnej lotniczki, która tak wstawiła się na froncie i później, zestrzelona, zginęła razem z ukochanym w powietrzu, odeszła do wieczności w jego objęciach. Kiedyś lud układałby o tym pieśni...

Inna rozumiała siłę takiej namiętnej pasji, pragnęłaby to wyśpiewać i mieć w sobie chociaż cząstkę tej siły. A może ona w niej jest, tylko uśpiona, nie wyzwolona? Chutirna też przecież wyrosła ze zwyczajności. Była zwykłą dziewczyną, którą widywano każdego lata z widłami na żniwiarce na kurajowskim stepie; niczym nie wyróżniała się spośród rówieśnic, okazało się jednak, że już wówczas czuła, jak rosną jej niewidoczne skrzydła, nurtował ją niepokój wręcz obłądny, aż wreszcie którejś letniej nocy porwał dziewczynę i poniósł w przestworza szlakiem jej marzenia...

Tylko że to wszystko nie ma chyba nic wspólnego z tym sztubackim, jakimś chuligańskim hazardem.

— No jak, Inko? — spytał Wiktor, kiedy gazik zawiózł ich poza Kurajówkę na wybrzeże i kierowca zahamował gwałtownie na kilka metrów przed urwiskiem. — Daje natchnienie?

Inna zeskoczyła nerwowo z maszyny i poprawiła w milczeniu fryzurę.

— Coś ty, gniewasz się? Nie to natchnienie?

— Połaskotać nerwy, to jeszcze nie natchnienie. Czy uważasz, że straszyć i płoszyć ludzi na ulicach, to takie dowcipne?

— No cóż, chciałem jak najlepiej... — zbliżył się do niej, objął ją delikatnie ramieniem i zapatrzył się w morze. — Do diabła, jednak piękny jest ten Pont!

— Tylko to dostrzegłeś?

— Cóż ja, szarak... Ale ty, Inko, wybac, jesteś chyba z innej epoki.

— Staromodna, nienowoczesna... To chciałeś powiedzieć?

— Dostrzegłem na tobie przebrzmiałych dawnych wieków pieczęć...

— Co ty, wierszem mówisz? Dziwne.

— Jesteś rzeczywiście jakby z... epoki kursistek\*. Albo wręcz gdzieś z czasów antycznych. T a m widziałem cię tak, jakbyś wyłoniła się z rozświetlonej morskiej kąpieli i przybyła wraz z lśniącem przyplwem... Nie mogę się przyzwyczaić. To ciągle wgłębianie się w siebie, ta ciągła powaga... można by pomyśleć, że to gra, maniera, gdybym cię mniej znał. Żyjesz w jakimś wymarzonej świecie. Ale chyba właśnie to mi się w tobie tak podoba.

Na morzu ścieliła się już księżycowa ścieżka, jeszcze nieśmiała i drżąca. Księżyc wygrywał srebrnymi klawiszami na ciemnych falach melodię nocy.

— O czym tak myślisz? Znów o Owidiuszu?

— O nim też...

— A o kim jeszcze?

Był pewny, że powie „i o tobie”, mylił się jednak.

---

\* tak nazywano w przedrewolucyjnej Rosji słuchaczki tzw. Wyższych Kursów dla Kobiet (przyp. tłum.)

— O Sani Chutirnej.

— Sańka i Owidiusz, co za skojarzenie, to ci dopiero parka!

— Nie lubię takich żartów.

— Już więcej nie będę — usłyszała przy swoim uchu szept.

Jego to śmieszy, Inna dostrzegła jednak jakąś więź między tymi dwiema postaciami, bo cóż znaczą odległości, nawet tysiące lat, gdy chodzi o tych, którzy są dla nas jednakowo żywi, do których przywiera się jednakowo sercem, kogo zjednoczyło ciepło naszej miłości i naszego hołdu? Inna nie знаła, bo nie mogła znać, wojny z autopsji, nie latała z ekwipunkiem Czerwonego Krzyża do krajów nękanych epidemiami i właściwie jeszcze ani razu nie zaryzykowała własną osobą, a przecież często stawia siebie w sytuacjach najtrudniejszych, przymierza się do prób najcięższych: a ty dałabyś radę? Zdolna jesteś do wielkiej miłości i wielkiego współczucia, jak te siostry miłosierdzia, o których nieraz myślałaś? I niech sobie Wiktor ironizuje, jeśli ma ochotę, ona jednak czuje w sobie takie zapasy sił wewnętrznych, że starczyłoby dla tych głodujących, zakażonych tropików, dokąd ona, tak jak Wira Konstantynowa, gotowa lecieć dla niesienia pomocy chociażby dziś.

W domu czasem mówią, że swym uporem i zaciętością Inna przypomina swego wuja z „Oriona”; jeśli jest tak istotnie, to cóż w tym złego? Orionowiec bardzo dziewczynie imponuje swym charakterem, swą życiową pasją, bezwzględny oddaniem temu, co było chyba jego pierwszą i ostatnią miłością. Każdy powinien mieć w swym życiu jakiegoś swojego „Oriona” i obejmować świadomością dalekie i bliskie, wszystko co jest naszym dziedzictwem. A jest w tej testamentowej puściźnie również i Owidiusz, i legendarna ku-

rajowska lotniczka, i ta drżąca ścieżka księżycowa, już teraz rozjaśniona, która ścieli się pod nogi i wzywa dokądś. I jest też ten dziwny niepokój, bez którego nie narodziłaby się chyba jej pieśń...

Wiktor odnosił się zawsze dość sceptycznie do — jak to określał — „górnolotnych sfer” Inny, nie wszyscy przecież mogą być geniuszami i bujać w obłokach. Ona może sobie bujać, pobudzać wyobraźnię, przywoływać cienie przodków, ale on jest człowiekiem chodzącym po ziemi, współczesnym. Widzi tylko to, co widzi, i wie tylko to, że nic nie wie. Życie skubnęło go bezlitośnie, więc chciałby i on w rewanżu je skubnąć, urwać z niego również dla siebie kęs tak zwanego szczęścia.

Oto ono, jest obok, to twoje ziemskie bogactwo! Twój realny, schwyty w locie ptak, którego trzepotanie się odczuwasz teraz pod ręką. Czy utrzymasz go? Aż strach pomyśleć, że kiedyś możesz łowić już tylko powietrze. Słyszał dziś: „Nie przyniesiesz ty jej szczęścia...”. A kto inny przyniesie? Może się taki pojawić pewnego pięknego dnia na szarym kurajowskim horyzoncie? I stać się dla twojej Inki bardziej pożądany, ciekawszy, wewnętrznie bogatszy?

Chociaż rozmowa na werandzie zakończyła się dla Wiktora pozornym sukcesem, zasiała w nim jednak niepokój, odczuł podmuch potencjalnego niebezpieczeństwa. Być tak zupełnie blisko, dotykać policzkiem jej pachnących włosów i potem utracić to wszystko, utracić to co najdroższe? Wprawdzie obecnie nie ma do takich obaw żadnych podstaw, ale tak jest dziś; a jutro, a potem? Jesteś oczywiście przy niej nędzarzem, nie umiesz się zagłębiać, ślizgasz się tylko po powierzchni, ale jak bez niej żyć? Bez niej to byłaby próżnia absolutna, pustka pełna, krach! Może się ogrzać tylko przy tym ognisku...

Czuł się tak, jakby przypadkowo i bezprawnie zawładnął cennym skarbem, zawładnął czymś więcej niż należało mu się od życia. No więc trzeba teraz zatrzymać ten skarb wszelkimi sposobami, trzymać go z całych sił! I dlatego chciał być teraz dla Inny szczególnie delikatny, chciał sprawić jej jakąś przyjemność, czymś jej dogodzić.

— Chodźmy się kąpać — zaproponował nagle.

O, to ona lubi! A w dodatku nocą, przy księżycu...

— Nie wzięłam kostiumu kąpielowego.

— Można bez kostiumu... Noc, nikt nie zobaczy, chyba tylko ten księżyc.

Odczuwała już objęcia wody, jej łaskotliwe pieszczoty, po nagim, uwolnionym od wszystkiego ciele przebiegają rozkoszne dreszcze jakby od dotyków promieni księżycowych. Lecz chociaż bardzo ją kusilo wykąpać się teraz, popluskać się w wodzie, korciło chyba bardziej niż jego, przemogła się jednak.

— Nie, będzie wstyd, jeśli pochwyca mnie przypadkowo światła patrolowego reflektora. Gdybyśmy byli na mierzei...

— No to jazda na mierzeję!

— Nie rozśmieszaj mnie.

— To może pójdziemy pótkańczyć?

Widocznie postanowił rozerwać ją tego wieczoru za wszelką cenę.

Inna obejrzała się: pensjonat oświetlony, płynąca ze wzmacniaczy muzyka dochodzi aż tu, nocna zabawa w zenicie. Opiekunowie z sąsiedniego obozu pionierów od dawna już wojują z dżezem elektronicznym, z jego dzikimi rykami, które nie dają dzieciom spać nawet podczas przyływu. Wojna trwa bez końca i dżez ryczy na całe wybrzeże, bo mieszkańcy pensjonatu stanęli w jego obronie: a cóż to, już nawet nad morzem nie można się rozerwać?

Alé Inna nie ma ochoty na tańce, nie ciągnie jej tam.

— No nie, ty rzeczywiście jesteś nie z tego świata — mówi Wiktor z uśmiechem. — Ale czy właśnie nie tym mnie zauroczyłaś?

Usiedli na skarpie, na suchej pożółkłej trawie, opuścili w dół nogi; tak właśnie siadywali tu, jeszcze gdy chodzili do szkoły.

Minionego lata Inna przychodziła tutaj sama, ale teraz są znowu razem, krew od wzajemnej bliskości gorąco pulsuje, zdradzająca ich uczucia wymiana spojrzeń i dotyków nie jest już sublimowana na pół dziecięcą nieświadomością, każdy dotyk ciała wywołuje burzliwą falę krwi.

— Dlaczego się nie przyznałaś, że na uczelni oświadcza ci się marynarze z łodzi podwodnej? — spytał nagle Wiktor.

Inna roześmiała się.

— Pewnie mama ci to powiedziała? To jej ulubiony repertuar.

— I podobno otrzymujesz listy? Czy można wiedzieć od kogo?

— Oczywiście od koleżanek... I od Wiry Konstantynowny.

— Nie cyganisz?

— Coś ty?! — oczy jej zapłonęły. — Masz zamiar odegrać scenę zazdrości?

— Nie jest zazdrosny tylko ten, kto nie kocha, stara to prawda.

Jego indagacje rozweseliły Innę, polechtały jej kobiecą próżność.

— Też mi Otello się znalazł...

— A tyś sądziła, że we mnie tego nie ma i nie będzie? — spojrzął z bliska w jej oświetloną księżycem

twarz. — Jestem zazdrosny nawet o Owidiusza! — wymknęło mu się szczere wyznanie.

— Aż tak?

— Aż tak.

Objął ją jeszcze mocniej i dziewczyna oparzyła go jeszcze bardziej namiętymi pocałunkami.

18

„Co też tam słyhać u naszej Nelki? — pomyślał pewnego dnia orionowiec. — I co z tym jej odstępcą?”

Odstępcą nazwał jej syna, który w ostatnim momencie rozmyślił się: pójdzie nie do szkoły morskiej, lecz do technikum handlowego. Matka jednak go przekonała, uległ jej sugestiom. Nelka będzie teraz miała w domu kierownika sklepu, który nawet spod ziemi wydostanie dla matki futra i kożuszki. Widać, że dobry z niego gagatek, matka cieszy się jednak, że ma w domu do kogo usta otworzyć.

Jahnycz postanowił odwiedzić w obiadowej porze swą krewniaczkę. Zamiast przeżartego solą „naleśnika”, w którym przybył do Kurajówki, włożył na głowę kapronowy kapelusz, kupiony wczoraj w miejscowym sklepie. Szedł z powagą, niosąc pod kapeluszem swoje niewesołe myśli. Jego osierociła wojna, ale Nelkę trzepnęło i bez wojny: męża w młodym jeszcze wieku zżarł rak, pracował do ostatniej chwili w kołchozowej księgowości. Stanowili pod węględem charakterów całkowite przeciwieństwo: ona jak ogień, on natomiast spokojny, cichy, aż dziw, że życie łączy niekiedy tak różne natury.

Nelka mieszkała w centrum wsi, blisko zarządu kołchozu. Chata jak dzwon: nowa, pod łupkiem, z dużymi oknami, jedna z najładniejszych w Kurajówce. I w modnej teraz „szubie”: cegła jest nie wyprawiana,

lecz natryskiwana odpowiednim rozczynek. Kiedy ściany wyschną i stwardnieją, dom wygląda z daleka, jakby był w futrze z popielatych karakułów. Taki właśnie jest dom Nelki: ściany wyprawione równo, okapy nad oknami z białymi i czerwonymi ornamentami — robota przejezdnych majstrów z Bukowiny. Jahnycz był zachwycony tą chałupą, prześwitującą przez gałęzie na ulicę jak jakaś willa marsylska! Nelka nie podupadła, gdy została wdową, to też trzeba umieć...

Gospodyni jest w domu sama, krząta się w białym fartuchu przy kuchni, smażąc konfitury z moreli. Bardzo się gościem ucieszyła: dzięki, że wujek nie zapomina, podtrzymuje kontakty rodzinne, przecież to jedna krew (jaka tam „jedna krew”, kiedy ona sama jest z rodu osnaczowskiego).

Wyniosła krzesło, posadziła orionowca w cieniu pod orzechem, żeby chronić przed słońcem łysinę drogiego gościa, który właśnie zdjął kapelusz, nałożyła pełny spodek gorącej jeszcze konfitury, żeby skosztował, zaproponowała też barszcz, ale gość podziękował, może innym razem, bo właśnie jest już po obiedzie.

— Masz jakieś wiadomości od syna?

— Już wrócił! Nie zdążyłam nawet się pochwalić. Przyjęli go! Nikt go nie przygotowywał, ale jakoś przelazł.

— Będziesz teraz mieć w domu kierownika sklepu.

— Jaki tam kierownik sklepu? — zaśmiała się. — Owinął matkę dookoła palca. Tylko wstąpił na próg, widzę, że coś nie tak. „Przyjęli?” — pytam. „Przyjęli” — odpowiada, i oczy w podłogę, tylko uśmiecha się kącikami ust. Zrozumiałam, co w trawie piszczy. „Do szkoły morskiej?” — pytam. „Do szkoły morskiej — odpowiada. — A jak mama myślała?” — „Widać to po tobie, odstępcu!”. I znowu zaśmiała się radośnie.



— No, już oni go tam wyszkolą... — Jahnycz też się uśmiechnął. — Morze — dodał po chwili zamyślenia — to przede wszystkim ciężka praca.

— Tym go wuj nie przestraszy.

— I żeby był niezawodny w przyjaźni, od tego zaczyna się nauka o żywotności statku, jego odporności na wszelkie niespodzianki.

— Mój chłopak w tym też nie zawiedzie. A wie wuj, do jakiej szkoły morskiej go przeznaczyle? Aż w Batumi, i to zaocznie. Że zaocznie, to dla mnie nawet lepiej, będzie przy matce.

— A co tu będzie robić? Wałkonić się?

— Nic podobnego! Wdał się widocznie w ojca, bez pracy ani rusz! Jeszcze przed wyjazdem urządził się w kompleksie sanatoryjnym, pójdę, powiada, do górników, tam nowa technika. No i będę, powiada, „klasa robotniczą”. A na starość będzie większa emerytura — i znowu zaśmiała się dźwięcznie.

— Marynarz dożywa starości na morzu, Nelu. A czy on poważnie traktuje tę szkołę morską?

— Oczywiście. Bo gdy tylko go wpisali, przyniósł zaraz pomoce naukowe dla tych studiów zaocznych. Myślałam, że wyjmuje z worka duży kawon, który zerwał z basztanu dla matki na prezent, a okazało się, że był to gwiazdny globus.

— Skąd go wziął? — zdziwił się Jahnycz. — Nowicjuszm dają najpierw szcztokę na kij do zmywania pokładu, a nie globus.

— Też się zdziwiłam, nawet przemknęło podejrzenie... „Nie — powiada — wszystko legalnie: wyprosiłem w szkole morskiej u laboranta, ten globus był już spisany jako nieprzydatny”. Wyprosił czy też może wycygał za butelkę koniaku, w każdym razie legalnie.

Wkrótce zjawił się sam Saszko. Wjechał rowerem

na samo podwórze, z fasonem, jak wyścigowy kolarz, prosto z roboty do maminego barszczu, bo w pracy akurat przerwa obiadowa. Wypędził w górę jak młoda topola, chociaż twarz jeszcze chłopięca i włosy na głowie kręcą się jak u dziecka, ciągle przygląda je palcami, obecność orionowca wyraźnie go peszy.

— Witaj, marynarzu! — Jahnycz podał mu rękę jak dorosłemu, bo cieszy się, że będzie komu kontynuować w rodzinie marynarskie tradycje.

— Pokaż Saszko dziadkowi swój gwiazdny globus.

— Nie gwiazdny globus, lecz globus gwiazdzistego nieba.

Wyniósł go z mieszkania i postawił na stołku przed orionowcem. Globus miał kolor morza: niebieski ocean cały w gwiazdach.

Jahnycz dotknął go delikatnie, potem powiódł po nim w milczeniu szorstką dłonią.

## 19

Zdarzyło się tak, że Jahnycz nie musiał szukać pracy, bo przyszła do niego sama.

Dowiedzieli się o nim na budowie kompleksu sanatoryjnego dla górników. Sam dyrektor budowy, czy jak mu tam, przyjechał do Kurajówki samochodem i zahamowawszy przy gromadce dzieci zapytał:

— Gdzie mieszka ten Jahnycz z „Oriona”?

Dyplomatyczne pertraktacje odbywały się w szybkim tempie. Przedstawiciel kompleksu, siwy jak gołąb, przygarbiony, ale energiczny jeszcze mężczyzna, po przedstawieniu się i przywitaniu powiedział bez zbędnych wstępów:

— Jest nam pan potrzebny. Proszę siadać, pojedziemy, szczegóły na miejscu.

— Czy pan się nie pomylił? — nie spiesząc się z aprobatą spytał Jahnycz, mile zresztą połączony zainteresowaniem się jego osobą. — Jestem marynarzem. W kopalni nigdy nie byłem.

— Ja też — zaśmiał się przyjezdny. — Na Asuanie byłem, w Afganistanie byłem, a w swoich kopalniach... No ale my budujemy nie kopalnię, lecz sanatorium. I pan jest akurat tym, kogo potrzebujemy.

Jahnyczowi nawet podobał się taki upór, chociaż nie potrafił sobie wyobrazić, do czego mógłby im być potrzebny. „Pewnie coś im tam rozłązi się na tej budowie, więc chcę, żebyś nauczył ich wiązać koniec z końcem” — zażartował w duchu, idąc za gościem.

Samochód był bardzo zniszczony, zdarł się na wyboistych drogach budów, ale jeszcze się nie poddaje, ciągnie... Inżynier Mykoła Iwanowicz, jak nazywał się gość, usiadł przy kierownicy, a Jahnycza zaprosił na siedzenie tylne, honorowe. To „honorowe” siedzenie było zakurzone, wyłączyły sprężyny. Gdy ta „antylopa gnu” ruszyła, wszystko w niej zatrzęsło się, stęknęło, jęknęło. No cóż, samochód roboczy, nie na spacer i nie dla zadawania szyku.

— Och, jak dziś parno! — zauważył inżynier, gdy wyjeżdżali ze wsi.

— W nocy będzie deszcz — zawyrokował Jahnycz.

— Podawali w radio?

— Ja mam własne radio, bezpośrednią łączność z niebem, więc jak mówię, że będzie, to znaczy że będzie.

Nie powiedział jednak, że już drugą noc łupie go porządnie w nogach, co jest niezawodnym barometrem jeszcze z czasów Ogniwych Rejsów.

Inżynier ani słowem nie wspomniał w drodze o tym, co Jahnycza teraz najbardziej ciekawiło, dzielił się tylko swoimi kłopotami: terminy cisną, a tu jeszcze

mnóstwo usterek do usunięcia, grafik jest jednak sztywny, niezależnie od wszystkiego obiekt musi być oddany w terminie, na wiosnę sanatorium ma przyjąć pierwszą partię górników.

— No ale po co ja jestem wami potrzebny? — Jahnycz nie wytrzymał.

— Jest pan potrzebny — odparł wymijająco inżynier. — Bez fachowca nie damy rady, poradzono mi zwrócić się do pana.

I znowu o swoim zjednoczeniu budowlano-montażowym. Kolektyw zgrany, już drugi rok otrzymuje sztandar przechodni, kościec kadry stabilny. Podstawowe kadry budowlanych powiększyły się teraz znacznie o ludzi z Kurajówki, którzy włączyli się do budowy w sposób jakby organiczny. Co prawda jest na budowie trochę elementu wątpliwej jakości, wśród nich byli więźniowie, ale takich też trzeba brać, co mają z sobą robić, a poza tym ciągle brakuje rąk do pracy.

Wreszcie zapytał Jahnycza o „Oriona”: czy długo jeszcze pożyje i czy to prawda, że ma się zaniechać dalszej budowy żaglowców? Podobno jeszcze tylko te, co są, będą dożywać swoich dni — i koniec, przejdą do historii.

— Bzdury, nic podobnego — zaprzeczył zdecydowanie Jahnycz, jak gdyby był dokładnie wtajemniczony we wszystkie plany i zamierzenia kierownictwa żeglugi morskiej na najbliższe sto lat. — A gdzie młodzież wyrabiałyby w sobie hart marynarski? Gdzie zdobywałyby taką praktykę, jak na szkolnych żaglowcach? Widział pan chyba: po pierwszym słowie komendy wspinają się szybko w górę jak akrobaci.

— Nie widziałem tego.

— Szkoda. To jest dopiero widowisko, mówię panu. A ten moment, kiedy pada komenda: napinać żagle!

— Jahnycz ożywił się wyraźnie. — Do fałów i szotów!  
— krzyknął młodzieńczym głosem. — Stawiać marszagle, bramzagle i bombramzagle! I zabieleją jak łabędzie...

Niech wie szcur lądowy, z kim ma do czynienia!

Po czym rozsiadł się wygodnie, jakby siedział nie na wystających sprężynach, lecz na błękitnym pluszowym fotelu w kurajowskim domu kultury. Miał teraz minę jeszcze poważniejszą: Odezwał się w nim marynarski honor: przecież on z „Oriona”, nie pozwoli się objąć „posezonową obniżką cen”, wszak sami go znaleźli i wiozą go teraz jak...

Od Kurajówki można by przejść na budowę piechotą, ale niech tam, skoro postanowili przywieźć go z honorami na tej dryndzie, która brzęczy i wchłania wszystkimi szparami kurz...

Wjechawszy na teren budowy samochód zatrzymał się przy jednym z wagoników, chyba sztabowym. Inżynier poprosił Jahnycza, by chwilę zaczekał i zniknął w wagoniku, orionowiec zaś z niezależną miną zaczął się przechadzać koło tego nowoczesnego koczowiska. Wagoniki były takie same, jak podczas prac polowych, tylko że jest ich tu bardzo dużo, ciągną się długim rzędem od stepu aż do morza. Kiedyś były kibitki, a teraz też na kółkach, ale wagoniki; podobno za oceanem całe mieszkania w przyczepach ciągną teraz na trasach samochodowych.

Między wagonikami hula wiatr, więc orionowiec jako człowiek z wiatrem za pan brat, z przyzwyczajenia podstawił twarz pod jego strumień, mierząc siłę tego kurajowskiego pasatu: dmie równo, ten by popędził żagle!

Oto on, twój brzeg... Tu, gdzie teraz ubijają żwir pod asfaltowe dróżki, był do niedawna ugór. „Mają rozmach!” — Jahnycz oglądał z zainteresowaniem bu-

dowę. Pudła dwóch olbrzymich bloków już prawie gotowe, trzeci dopiero się wznosi, materiały budowlane podawane są przez dźwig, jest tak duży jak w porcie, już z daleka góruje nad całą budową swoim czerwonym żurawiem... Za dawnych lat były tu prawdziwe żurawie i dropie. Step Jahnyczowego dzieciństwa był aż biały od soli podczas upałów i popękany, rosła tu tylko morska trawa i wielbłądka. Żeby ożywić to zasolone pustkowie, zwożą teraz ze stepów wywrotkami czarnoziem i przygotowują grunt pod kwiaty i przysze drzewa. Niektóre już zasadzono, są jeszcze wątłe, ledwie dyszą, trzeba je często podlewać. Może właśnie jemu, Jahnyczowi, chcą powierzyć tę pracę? No cóż, mogłaby być.

Hurkoczą buldożery, ciężarówki z segmentami duńską jak czołgi. Prócz budynków z pokojami dla kuracjuszy, będzie zbudowany i urządzony zimowy basen z morską wodą; stawia się też oddzielny budynek gospodarczy z jadalniami: przysadzisty dom o nietypowej architekturze, z okien którego wyglądają właśnie malarze w kołpakach z gazet oraz pochłapane wapnem tynkarki. Te ostatnie ze śmiechem wołają coś do pracującego w pobliżu operatora spychacza, ale czyż chłopak może je usłyszeć w tym żelaznym jazgocie? Wszędzie jeszcze budowlany zgielek, chaos i rozgardiasz, ale kompleks rośnie i rozrasta się. Wkrótce wybrzeże się zazieleni i zabieleje budynkami górniczego sanatorium.

— No i jak? Robi wrażenie, prawda? — spytał inżynier, schodząc po schodkach i też omiół spojrzeniem budowlane rojowisko. — Na razie obraz jeszcze niezbyt malowniczy: dopóki budujemy, nie wygląda to zbyt pięknie. Ale kiedy położymy ostatni dach i przystrojimy go wiechą... Proszę za mną, Andronie Huryjowiczu.

Ruszyli przez teren budowy w kierunku morza. Wszędzie panował jeszcze większy rozgardiasz: bieleją zwalone na kupę wanny i muszle klozetowe, czekają na swoją kolej różne materiały budowlane, ten jeszcze leży, a inne już podwożą, jeżdżą byle jak, jak komu wygodniej. Wszyscy w roboczych ubraniach, zajęci swoją pracą. W dole ryją wykopy, a gdzieś nad głową syczy elektroszawarka. Raz po raz trzeba przechodzić po deskach przez olbrzymie rozryte rowy, z których wyzierają owinięte w izolację, jeszcze nie zakopane rury wodociągowe i kanalizacyjne.

Jest tu również właściciel gwiazdowego globusa. Przypuszczalnie spodziewał się, że przydzielą go od razu do obsługi maszyn technicznych, tymczasem zapędzili go do rowów, coś tam dłubie przy tych rurach... Trzyma jednak fason.

—Jestem tu, dziadku Andronie! — zsunąwszy kask na tył głowy krzyknął z rowu, kiedy Jahnycz przechodził nad nim po wążutkiej, chybotliwej desce. — Mój „Orion” tu się zaczyna!

Jeszcze dwukrotnie wołali do niego robotnicy z Kurajówki; okazuje się, że również tutaj ziomkowie i krewni są na pierwszej linii.

Wreszcie doszli do rozbłękitnionego brzegu. Wyruszając tu orionowiec miał cichą nadzieję, że zaproszono go jednak „po linii marynarskiej”, do obsługi łodzi spacerowych lub pilnowania szalup. Tymczasem... Cóż to, kpiny?

Na małym limanie rozsiadła się stara, odrapana łajba i jakby czeka właśnie na Jahnycza, przytulona burtą do resztek dawnej, zardzewiałej estakady! (Kiedyś mieli tu zbudować port i liman ten do dziś nazywają Żelaznym). A łajba taka, że tylko na złom: burty powyginane, komin przekrzywiony, cały korpus tylko patrzeć, jak się rozleci. Oto jego nowy „Orion”...

— Proszę podejść bliżej — zachęcał inżynier.

Obejrzawszy łajbę z bliska Jahnycz zauważył, że ktoś tu koło niej się kręcił, jacyś mądrale coś tu przy niej dłubali: łajbę wyciągnięto na brzeg i dla większej stabilności okopano ją wokół piaskiem, i to chyba przy użyciu pogłębiarki. Łajba wrosła więc w brzeg na wieki, nigdzie już stąd się nie ruszy. Dla większej pewności powbijano wokół niej, jak pale, żelazne rury i zabetonowano w kilku miejscach, zabezpieczając przed wiatrami i sztormami. Będzie tak tkwić do skończenia świata, wkorzeniona martwymi kotwicami...

Jahnycz taksował spode łba ten stary, spracowany statek, jakby chciał powiedzieć: „A więc ciebie też skreślili z listy...”.

— No i jak się panu podoba nasza ślicznotka? — usłyszał za plecami wesoły, władczy głos, przypominający Czerednyczenkę.

Z całym sztabem podwładnych zbliżał się do nich kierownik budowy, stosunkowo młody jeszcze, barczysty olbrzym z opaloną twarzą o wystających kościach policzkowych. Inżynier od razu jakby przy nim zmałał i usunął się w jego cień. Jahnycz czuł, że stoi przed nim mężczyzna o silnym charakterze, pewny siebie, w oczach wesołe iskierki — widać, że budowlana pompa nie zdążyła jeszcze wyssać z niego siły i zdrowia.

— Spodoba się to górnikom? — spytał Jahnycza wskazując na łajbę. — Posłuży jeszcze w swojej nowej roli?

I dopiero teraz wyłuszczył istotę sprawy: trzeba tę łajbę dokumentnie wypatroszyć i mądrze przebudować, zgodnie z jej nowym przeznaczeniem. Będzie to teraz... kawiarnia! Letnia kawiarnia dla górników, ze



stolikami, morskim krajobrazem, z muzyką, ale spokojną, kojącą.

— Dostarczymy panu materiałów, jakich tylko będzie trzeba, i nawet całą brygadę robotników — kierownik budowy uśmiechnął się zachęcająco do Jahnycza. — A pańska rola, to właśnie rola eksperta, konsultanta, starszego doradcy, którego pomysły i zamierzenia będą oczywiście decydujące. Nie będziemy pana nękać drobiazgami, dajemy panu wolną rękę, niech tu już popracuje fantazja. Baza, że tak powiem, jest, a nadbudowa należy do pana...

— Z której strony by tu podejść... Spracowany weteran, odpływał już swoje...

— No ale nam nie do pływania jest potrzebny — przypomniał wesoło kierownik budowy. — Będzie teraz służyć ludziom dla wypoczynku, dla estetyki. Wygląda wprawdzie niezbyt ponętnie, ale nie musimy dla kawiarni budować nowego obiektu, więc jaka oszczędność w czasie i w kosztach! Rozumiem, że niełatwo jest to wszystko przebudować i odpowiednio urządzić, ale właśnie dlatego zwróciliśmy się do pana, jako specjalisty i fachowca. A nasi budowlani, to tacy ludzie, że czekają tylko, by dać im jakieś ciekawe zadanie, z niczego potrafią stworzyć coś takiego, że tylko się zachwycać.

Grupa budowlanych, przybyła z kierownikiem budowy, słuchała cierpliwie jego wywodów, akceptując milcząco pomysł statku-kawiarni.

— Czy ma ktoś może linijkę? — spytał Jahnycz.

Znalazł się stalowy, zwijany metr, który Jahnycz przyłożył do kadłuba.

— Proszę spojrzeć — zwrócił się do kierownika budowy. — Widzi pan? Przylega ściśle.

— Przylega, no to co?

— A nie powinien przylegać. A gdzie płynność li-

nii, wygięcie burty? Prawdziwy statek ma kształty opływowe, są płynne jak szyja żurawia, jak ciało delfina. Jeśliby przyłożyć do ich ciał tę taśmę, to nigdy nie będzie ściśle przylegać, lecz tylko dotykać miejscami. Bo mają kształty opływowe, tak samo ryba jak i ptak. A to? — Jahnycz patrzył z wymówką, na twarzy kierownika budowy przewinał się jakby cień winy.

— Ma pan oczywiście rację... Ale ten statek, powtarzam, nie jest przeznaczony do pływania, ma teraz inne, praktyczne przeznaczenie. W naszym mieście obwodowym jest na przykład „Bar na barce”, na wybrzeżu południowym postawiono „Szkuner”, niech więc u nas też będzie coś w tym rodzaju... Cała nadzieja w panu, w pańskim doświadczeniu. Trudno wymagać stuprocentowego autentyzmu, ale trzeba oczywiście stworzyć iluzję, złudzenie, że to jednak statek, dziecko morza, a nie jakaś tam ordynarna knajpa. No i żeby wszędzie były kilimy w morskim stylu, z węzełkami z różnych sznurów. I oczywiście stare latarnie, takie, jakie świeciły kiedyś żeglarzom. W jadłospisie będą tylko dania z fauny morskiej, wino miejscowe, wyłącznie wytrawne, i żadnych mocnych trunków. No, a jeśli ktoś ukradkiem przyniesie coś mocniejszego i wyciągnie spod poły lub spod stołu, to takiego od razu za burtę, do morskiej izby wytrzeźwień — kierownik budowy zaśmiał się beztrąsko, a podwładni mu zawtórowali, nie wypuszczał jednak z pola widzenia Jahnycza, czekając na jego odpowiedź.

Orionowiec stał w zamyśleniu. Wyglądało na to, że nie odpowiada mu ta łajba i te wszystkie projekty. Ale widocznie ktoś udzielił o nim pierwszorzędnych referencji, zwrócono się do niego jako do znakomitego majstra, wręcz nieodzownego do wykonania ta-

kich prac; chyba dlatego, że stał za nim sławny szkolny żaglowiec, dodając mu aureoli.

— No to jak? Przyjmie pan u nas posadę starszego konsultanta? — spytał zapobiegliwie kierownik budowy tonem pełnym szacunku.

Wręcz niegrzeczne milczenie Jahnycza obecni tłumaczyli sobie jako jego rezygnację — nic z tego, nie zgotujemy razem kaszy z tym orionowcem. Widać bardzo ambitny i wybredny jest ten przybysz z mórz; a może tylko podbija swoją cenę? Wydaje się jednak, że machnie na to wszystko ręką i odejdzie.

Majster nie kwapił się jednak z odpowiedzią.

— Powiedział pan, że dostanę pomocników — zwrócił się wreszcie do kierownika budowy. — Czy można na to liczyć?

— Oksenie! — zawołał uradowany kierownik, zwracając się do jednego ze swoich ludzi. — Ano, pokaż się!

Z otaczającej kierownika grupy wysunął się skromnie, ale bez zakłopotania młody, zgrabny, szczupły, rumiały chłopak z ciemnymi wąsikami.

— On będzie pierwszym pańskim zastępcą — zarekomendował kierownik. — Złota rączka, jak to mówią, uniwersalny: stolarz meblowy o wysokich kwalifikacjach, umie rzeźbić w drzewie, uwiecznia różne dziki i niedźwiedzie karpackie.

— Sam zrobił sobie bandurę — dorzucił inżynier Mykoła Iwanowicz. — Tylko że nie ma jeszcze strun, prawda, Oksenie?

— Nie ma strun, więc tymczasem gra na fujarce z oczeretu — zażartował kierownik robót, tłusćcioch w gumowych butach. — Podrywa tą fujarką wszystkie tynkarki.

Jahnycz przyjrzał się uważnie chłopcu, który zaczerwienił się, zmieszany tą pochwalną rekomendacją

i żartami kierownika robót. Szczera twarz niczym nie splamionej młodości, otwarte, życzliwe spojrzenie. Nawet wąsiki nie psują tego dodatniego wrażenia, chociaż są takie same, jak u tych nachalnych drabów, co wieczorami wałęsają się w parkach.

— No, a ty co na to? — zwrócił się do niego Jahnycz. — Postawiłeś chociaż raz nogę na pokładzie? Byłeś już kiedyś na prawdziwym statku?

— Być, to nie byłem, ale widzieć, to widziałem,

— Co widziałeś?

— Jak wasz „Orion” mknie pod niebem... A jeden z moich braci służy we flocie na Oceanie Spokojnym.

— No cóż, skoro tak, to jutro do roboty — zdecydował nareszcie Jahnycz, wyrażając tym swą ostateczną zgodę.

Kierownik budowy odetchnął z ulgą.

Jeszcze tego dnia wieczorem budowlani widzieli, jak orionowiec stał samotnie na brzegu, oglądając ze wszystkich stron łajbę. Spisana, stoi umocowana na wieki na kotwicy beznadziejności. A gdyby ją tak wydzwignąć z zamulonego brzegu i postawić jak na piedestale... Od razu nabrałaby kształtów. Bo jaka tam ona jest, ale wyczuwa się w tej spracowanej łajbie zmagazynowaną energię minionych rejsów i niezaspokojoną jeszcze żądzę przestrzeni.

W nocy lunął deszcz. Właśnie to, co potrzebne było Czerednyczence i wszystkim kurajowczanom.

Jahnycz został na noc na budowie. Przekazał wiadomość do domu przez syna Nelki, żeby się nie niepokoił o niego i usiadłszy wieczorem w wagoniku

Oksena omawiał ze swym pomocnikiem różne warianty rekonstrukcji statku. Siedzieli długo, naradzając się i kombinując, i kiedy wreszcie uzgodniono sprawę najważniejszą i najpilniejszą, Jahnycz powiedział, że mu się już trochę rozwidniło, może więc pójść jutro do kierownika budowy na konkretną rozmowę.

Wagonik okazał się dość wygodny, obszerny, zaciszny, pod nogami czuje się pokład... Tu, w tym domku na kółkach, mieszka właśnie ten młody Hucul z dwoma kolegami, którzy wyładowują teraz na stacji materiały budowlane. Jahnycz siedzi przy stole, rozgląda się na wszystkie strony i aż mu się ćmi w oczach od barw: wewnątrz wagonika jak bukiet kwiatów z Karpat! Na ścianach różne rysunki i malunki, papierowe ręczniki z ornamentami, aplikacje na drzewie. W oszklonej szafie mieni się barwami huculski strój, w którym Oksen występuje na pokazach amatorskich, huculski kapelusik z piórkiem, ciupaga, no i wreszcie ta sławna już bandura, którą Oksen zrobił podobno własnymi rękami.

— Rzeczywiście sam ją zmajstrowałeś? — pyta Jahnycz, oglądając instrument.

— Musiałem, bo z tym u nas ciągle problem. Ludowe zespoły rosną jak grzyby pod deszczu, a dobrego instrumentu trzeba szukać ze świecą. Już nawet w gazetach pisali, że trudno dziś kupić bałajkę, dobrą piszczałkę, albo zurnę\*. Chłopcy ze straży granicznej też proszą: przyjdź, Oksenie, pomóż zreperować nasze instrumenty. Czy można im odmówić? Siadamy, kombinujemy, tylko że nie zawsze jest pod ręką to co trzeba... Bo do tego musi być materiał naturalny, instrument muzyczny plastyku nie lubi, wszystko co

---

\* rodzaj wschodniego fletu

sztuczne tłumi lub zabija dźwięk w instrumencie. No więc trzeba nieraz porządnie kombinować i sztukować...

— To praca misterna, wszystko trzeba rękami...

— Są oczywiście fabryki instrumentów, nie nadają jednak za popytem, a poza tym często jeszcze nie najlepsza jakość. Jest wielu chętnych, którzy sami by zrobili, ale gdzie zdobyć odpowiedni surowiec? Niech pan spróbuje dostać w domu towarowym, powiedzmy, struny, jakich pan potrzebuje: dziś nie ma i po miesiącu też nie ma, graj człowieku chociażby na włosiu z końskiego ogona! U nas, w Karpatach, miejscowi majstrowie różnie sobie radzą: wykorzystują drut telefoniczny, robią struny z linek drucianych, z ich poszczególnych drucików.

Jahnycza niewiele to interesowało, podobało mu się jednak, że chłopak żyje tymi problemami, wyczuwa się w nim pasję prawdziwego majstra.

— A skąd te twoje zdolności? — spytał. — Może po ojcu?

— Mojego ojca zabili bandyci, był przewodniczącym rady gminnej — chłopiec od razu posmutniał i po chwili milczenia zaczął opowiadać o swojej pasji. — To chyba przejąłem od ludzi. Kiedy byłem jeszcze mały, oprowadzano po wsiach ślepego bandurzystę, przychodził niekiedy również i do naszej wiejskiej czytelnicy. Mama zaraz ubierała mnie po huculsku i mówiła: „Masz dziś, Oksenie, zaprowadzić dziadusia na scenę. Jak będziecie już na scenie, to postaw szybko obok niego stołek i dotknij jego kolana, wtedy dziadusić usiądzie”. Więc robiłem wszystko dokładnie tak, jak mama przykazała. Usiądzie, bywało, siwowłósy starzec i od razu takim zamaszystym, władczym gestem kładzie rękę na struny... A po występie, chociaż ślepy, pokazuje nam co i jak. „To — powiada —

oktawa, to dwanaście strun głównych, a to podstruny. Bogaty to, dzieci, instrument; jak podrośnięcie, to i wy się nauczycie...”. Zapamiętałem to. A kiedy po szkole poszedłem do fabryki mebli jako uczeń wydziału pamiątkarskiego, postanowiłem już wtedy, że sam zrobię bandurę. Zrodziła się potem jeszcze jedna fascynacja: wybrałem się z kolegą na nowe ziemie. Początkowo mieszkaliśmy w namiotach, zamieć targa brezentem, szarpie nim, tylko patrzeć, jak rozerwie cały namiot. Pośrodku namiotu zawieszona była błaszana beczka, rozgrzana do czerwoności. To było nasze słońce, które nas ogrzewało. W twarz piecze, a w plecy zimno. A w ogóle to fajnie<sup>o</sup> było. Wnet wyuczyłem się na traktorzystę, ale nadal w każdej wolnej chwili zajmowałem się tym struganiem. Gdzie tylko znalazłem kawałek drzewa, od razu coś tam strugałem, wyrzynałem, rzeźbiłem, tak z potrzeby serca... Być może zostałem już na tych ziemiach nowych, gdybym nie odmroził sobie rąk. Wypadł mi w zimie jakiś daleki kurs, a tu w drodze jak zawiało, jak zerwała się zamieć! Tam, w stepach, nie należy to do rzadkości. Traktor mój stanął, bo jak się okazało potem, dali mi letni olej, a ten oczywiście zgęstniał. Trzeba było rozpalić ognisko i rozgrzać ten olej, a tu jeszcze — jak na złość — nie mam zapalek. Step, noc, burza śnieżna szaleje, nigdzie ani światełka, wyobraź pan sobie?

— Jeszcze jak!

— Okazało się, że mam jednak szczęście: znalazłem w starym waciaku zapaliki. Znaleźć, to znalazłem, ale zapalić nie mogłem w żaden sposób: palce zdrętwiały zupełnie, nie zginały się. Okazało się, że je odmroziłem. Od tego czasu, gdy zmarznę w ręce, od razu mi puchną. „Zmiataj, chłopcze, na południe, na słońce — powiedzieli lekarze, kiedy wypisywali mnie ze

szpitala. — I nie ociągaj się z tym, jeśli nie chcesz zostać półinwalidą”. No i w ten sposób wylądowałem tutaj. A na każdy urlop jadę do siebie, w Karpaty. Tam dopiero jest w bród drzewa na instrumenty! Można robić i robić bez końca i nie przerobi się go. W każdym drzewie utajona jest muzyka. Czy potrzebny jest biały jawor czy buk, czy deska ze smreczyny, wszystko znajdzie się w naszych lasach. Karpaccy smrek nazywają „rezonansowym drzewem”... Podobno korzystał z niego sam Stradivarius...

Jahnycz chciał zapytać, kto to taki ten Stradivarius, ale wyjaśniły to dalsze słowa Oksena.

— Podobno brał on dla swoich skrzypiec drzewo z górskich szczytów, naśpiewane wiatrami, bo tylko takie drzewo najlepiej nadaje się na instrumenty muzyczne, osiągające szczyty sztuki. I jeśli już do końca mam się przed panem zwierzyć, to powiem panu: też chcę wypróbować siebie w tym rzemiośle. Chcę zrobić chociaż jedną parę skrzypiec z „rezonansowego drzewa”... Warto spróbować? Jak pan myśli?

— Kupić nie kupić, potargować można.

— Też tak sądzę. Jak tylko dostanę urlop, od razu pomknę w góry do swoich smreków i przywiozę potrzebny materiał, niech już tu na miejscu dojrzewa. Bo drzewo musi dojrzeć, powinno suszyć się przez dwa lata pod słomą, i dopiero wtedy nadaje się na skrzypce. No a czego jak czego, ale słomy w Kurałówce nie brakuje — zaśmiał się chłopak.

Zasiedzieli się do późna, nawet nie spostrzegli, jak szybko czas im zleciał. A na dworze bez przerwy leje i leje, szyby lżawią się, ociekają czarnymi strumieniami. Jahnycz zbierał się do wyjścia.

— A pan dokąd? — zniepokoił się chłopiec. —



Deszcz leje, grzmi, proszy zostać u mnie: łóżko wolne, koledzy przyjdą dopiero pojutrze.

Ale Jahnycz uśmiechając się pokazał mu klucz.

— A to co?

Klucz od jednego z nowych bloków, w którym, jak mu powiedziano, może sobie wybrać kajutę. Klucz wręczył mu sam kierownik budowy, zauważając przy tym żartobliwie, że Jahnycz będzie pierwszym mieszkańcem wzorcowego bloku numer dwa. W innych blokach kładą jeszcze parkiety, a tu już w zasadzie wszystko ukończono, no więc niech przyjmie klucz i sprawdzi jakość robót... Czy mógł zignorować ten zaszczyt?

Gdy Oksen zorientował się, że majstra nie przekona, narzucił mu na ramiona swój płaszcz i zszedł pierwszy po schodkach w ciemność.

— Przeprowadzę pana na przełaj najkrótszą drogą.

Szumiało niedaleko morze, szumiała cała rozdeszczona noc. Jahnycz pomyślał, jakie to dobrodziejstwo dla kurajowskich pól, dla Czerednyczenkowej oziminy. Deszcz był ciepły, nic więc nie zaszkodzi, jeśli się nawet przemoknie. Niebo całe w chmurach, raz po raz rozlegają się groźne grzmoty i rozdzierają ciemność potężne błękitne błyskawice, które na ułamek sekundy obejmowały sobą wszystko: i niebo, i morze, i wybrzeże — łącząc je na mgnienie błysku.

Tak się złożyło, że Jahnycz nie słyszał jeszcze tego lata grzmotów. Inni boją się, gdy grzmi, dla Jahnycza jednak — jeszcze z dziecinnych lat — to najpiękniejsza muzyka. Zwiedził kawał świata, przeżył niejedną groźną burzę, widział z bliska takie wyładowania, że z żelaznych części takielunku aż iskry sypały się na pokład, nigdzie jednak nie słyszał tak potężnych grzmotów, jak w swojej Kurajówce! Zwłaszcza w dzieciństwie, w poranku życia. Bywało, burza

zaskoczy go w stepie, schroni się w pasterskim szałasie i słucha, jak brzmi nad nim radosna muzyka niebios, a deszcz leje i leje na zielone zboża... A jak potężnie grzmi tu w te granatowe jarzębinowe noce, kiedy powietrze przesycone jest ozonem i jakąś życiodajną siłą tak, że — jak powiadają — po takiej burzy zboże lepiej rośnie (Czerednyczenko zapewnia, że jest to naukowo stwierdzone). Grzmi jednak nie zawsze jednakowo. Teraz, po dłuższej suszy i spiekocie, chmury wydają jakby jakiś żelazny chrzęst.

Ruszyli w ciemność szukać tego bloku oddanego we władanie Jahnycza. Tu i ówdzie mającą latarnie, przesłaniane padającym ukośnie deszczem, światło ich nie sięga jednak tam, gdzie Jahnycz przedziera się ze swoim przewodnikiem. W wilgotnej ciemności wszystko się rozbagnilo, nogi grzęzną, ślizgają się, wpadają w gliniaste koleiny i rowy.

Oksen obiecał przeprowadzić Jahnycza na przełaj — być może w dzień byłaby to droga najkrótsza, teraz jednak Hucuł był zły sam na siebie, że poprowadził majstra przez te rozryte nocne labirynty. W nocy wszystko tu się splątało, poprzeinaczało, przy błyskawicach nawet widoki znajome wydawały się jakies dziwne, nieznanne, groźne. Bez końca rozkopy i rozkopy, stopy cegieł, bloków żuźlowych, lśniące tłuste kałuże, z których wystają rury oraz węzowe zwoje stalowych lin. Im dalej, tym więcej błota. Na budowach zawsze tak: gdy sucho, to jeszcze jako tako, ale kiedy spadnie deszcz, to i diabeł złamie tu nogę.

— A niech to licho porwie! Ale ćma! — zauważył Oksen wesołym tonem, idąc przodem. — U nas mówią: ciemno, jak w piwnicy pod dzieżą.

Pagórki i rowy, jamy i pagórki — w żaden sposób nie można się z nich wydostać. W dzień było tu gdzieś przejście, przez ten rów była na pewno przerzucona

deska, ale nie można jej teraz znaleźć, może ktoś umyślnie ją strącił... A rów taki szeroki, że i czempion nie przeskoczy. W jednym miejscu, kiedy miesili ostrożnie grząskie, tłuste błoto, przedostając się do przejścia, nagle coś zabielało i chwając się popłynęło wzdłuż rowu jak łódka.

— O, cholera! — Hucuł przytrzymał Jahnyczka. — Podwędzili wannę.

Patrzą: istotnie dwaj młodzi ludzie niosą rowem wannę, chyba jedną z tych, które Jahnycz widział w dzień, jak leżały zwalone bezładnie na kupę pod jednym z bloków. No i znaleźli się chętni do zrobienia z nimi porządku... Niegłupio to wykombinowali: rowem, rowem i razem z wanną poza teren budowy.

— A dokąd tak się rozpędziliście, chłopcy? — Jahnycz krzyknął głośno w mrok. — Z wanną w step się wybieracie?

Złodziejaszki przycupnęły, zniknęły razem z wanną w rowie, zamarły.

— Waszego własnego błota nawet w wannie nie zmyjecie — mówi dalej Jahnycz, na próżno szukając w ciemności przejścia wśród rozkiszłego, klejącego się błota. — No, pokażcie się!

— Lepiej ich nie ruszać — ostrzegł szeptem Oksen.

Złodzieje porzuciwszy wannę rzucili się do ucieczki — każdy w inną stronę; próbuj ich teraz złapać, rozpoznać...

— Nie ruszać ich, powiadasz? — Jahnycz dopiero teraz odwrócił się do Oksena. — Taki z ciebie kozak? Chłop pod wąsem, zdawałoby się, że nie zna pietra...

— Nie o to chodzi — odparł spokojnie chłopiec. — Tylko że nie lubię sam pakować się w biedę. Moja zasada: jak śmierdzi, to lepiej ominąć. Są wśród nich i tacy, co mogą nóż fiński puścić w ruch... Już ja

znam te typy! Zdolni są przegrać w karty nawet człowieka.

— No więc jak, pobłażać im? — zareagował ostro Jahnycz, szukając w innym miejscu tego parszywego przejsia. — Widać, że nie takie z nich znów kozaki, sam widziałeś, jak zmykali... Zło na tym właśnie zeruje, że godzimy się z nim, pobłażamy mu, nie chcemy zabrudzić rączek... Nie, to nie po naszymu — dodał tonem przełożonego. — Jeśli nastaleś już do mnie jako pomocnik majstra, to nie powinienes trząść portkami...

— Wezmę to pod uwagę, wujku.

I chociaż powiedział to półzartem, czuło się, że wziął uwagę Jahnycza do serca.

Dobrnęli wreszcie do bloku numer dwa. Majaczą mętnie mokre boazerie ścian. Weszli po schodach na drugie piętro. Jahnycz włożył klucz, otworzył drzwi na korytarz, namacał kontakt, zapalił światło. To ci okręt! Korytarz ciągnie się w nieskończoność, a po obu stronach kajuty, kajuty... Minął jedną, drugą, trzecią... Minął trzynastą. Wszystkie drzwi jednakowe, jednoskrzydłowe, wybrał jednak dopiero te pod numerem czterdziestym. Nie były nawet zamknięte. Kiedy weszli, Jahnycz obejrzał najpierw niskie, zascielone, przygotowane już dla górników łóżka. Jest w czym wybierać...

— Chyba tu już zostanę. Prawdziwy kubryk.

Zwrócił Hucułowi jego przemoknięty płaszcz, podziękował i życzył dobrej nocy.

Kiedy został sam, uważnie zlustrował pokój, wypróbował łóżko (lubi materace na sprężynach), obejrzał dokładnie lniany ręcznik, złożony w trójkąt na poduszce... Nikt się nim jeszcze nie wycierał, a już jest sprany, szary, jak takim ręcznikiem wycierać twarz? I to ręcznik dla górnika.

Czuć jeszcze zapach lepiku i świeżej farby. Jak mieszkać w takim pokoju? Jahnycz podszedł do balkonu, otworzył drzwi na ościerz: niech zagości tu wiatr, niech krople z nieba spadają do twojej kajuty... Grzmoty były coraz odleglejsze i słabsze, błyskawice coraz radsze. Zgasił światło i położył się zmęczony, i cały ten blok zbudowany z płyt żuźlowych, olbrzymi jak statek, popłynął z jednym jedynym pasażerem w rozlewiska snów... Tak zmordował się w ciągu dnia, że zasnął natychmiast. Przyśniły mu się delfiny: gdzieś jakby spały w białych wannach-kołyaskach i we śnie uśmiechały się do niego...

Obudził go jakiś obłąkańczy śmiech. Gdzieś z pierwszego piętra dolatywały też krzyki jakiejś pijanej kompanii. „Zabijam wiedźmą! Zgarniaj, Wiktor! Zabieraj, to twoje!“. Domyślił się, że grają w karty. Opanował go nagle jakiś dziwny, niepojęty, ogromny strach, w żadnym rejsie nie odczuwał nigdy takiego lęku! Milicji nigdzie w pobliżu nie ma, kierownictwo budowy odjechało, Saszko Nelki śpi już pewnie w domu, a Oksen w swoim wagoniku. A ci, co tak rechotali jak biesy w piekle, nagle ucichli, być może naradzają się. Koniec z tobą, Jahnyczu, trzeba się tak głupio pożegnać ze światem...

Leżał bez ruchu jak skuty łańcuchami, nie potrafił wyzwolić się z tego paraliżującego strachu, nie mógł się poruszyć, przyczajony rozmyślał tylko gorączkowo, gdzie by tu się schować, w jaką skryć się norę, jeśli zaraz wleżą na twój balkon pijani, z nożami... Z duszą na ramieniu zerwał się z łóżka i podszedł szybko na palcach do balkonu. Uchylił drzwi i nasłuchiwał, wstrzymując oddech.

Leżące pod nim mieszkanie na pierwszym piętrze jest jasno oświetlone. Światło pada na wapno, skrzy

się w nim potłuczone szkło, czernieją zwalone na kupe rury, lśniąc izolacyjną smołą.

Nagle światło zgasło, co zwiększyło czujność Jahnycza. Z ciemności zaczęły wypełzać spędzone tu do pracy i pozostawione do rana buldożery i zgarniarki. Jahnyczowi się zdawało, że niektóre się poruszają, wnet ożyje to całe obozowisko żelaznych potworów o potężnych kłach i nożach, zachrząści, zawyje i ruszy żelaznym tabunem na niego...

Niebo ciągle zakryte chmurami. Szumi morze, owinięte w nieprzeniknioną ciemność. Nagle zagrzmiało, jakby ktoś przerzucał żelazne beczki i próżne cysterny. A potem rozdarł ciemność snop niebieskiego światła; nie była to jednak błyskawica, lecz patrolujący morze reflektor straży granicznej. Azerbejdżanin czuwał! Światło reflektora pełznie powoli, dochodząc gdzieś aż do krańców horyzontu, patroluje, myszkuje po nocnym morzu. I nagle wszystko staje się realne, powraca na swoje miejsce, z Jahnycza opada powoli trwożne zaciemnienie.

Podszedł do balkonu, otworzył drzwi na oścież, w twarz uderzył orzeźwiający wiatr, zmiatając resztki omamu i przepędzając niezrozumiały strach. Powoli się uspokoił, ale do rana nie zmrużył już oka. Później nie raz będzie mu głupio przed samym sobą z powodu tego strachu, który skręcał go tu, kiedy jako jedyny na statku spędzał pierwszą noc w czterdziestej kajucie, pustego, nie ogrzewanego jeszcze ludzkim oddechem, nie zamieszkałego bloku.

Ranek wstał czysty, jakby deszczu w ogóle nie było, tylko kałuże lśnią na budowie. Jahnycz wprzągnął się w kierat codzienności. To duża rzecz czuć się znów wśród

ludzi, być w kolektywie jednym z jego równouprawnionych członków. Co prawda od razu zaczęły się kłopoty: kierownik zapomniał wydzielić przyrzeczoną brygadę, wyjechał gdzieś z rana w ważniejszych sprawach, ma wrócić dopiero wieczorem. Żeby nie tracić dnia, Jahnycz ruszył do Kurajówki; on ma też jakieś tam swoje sprawy, co prawda niezbyt skomplikowane i rozległe. Tym razem przyszło mu iść piechotą, samochodem wożą tylko wtedy, kiedy jest się potrzebnym.

W domu zastał samą Innę. Po jej rozjaśnionych oczach zorientował się, że się nim ucieszyła: a co tam, a jak, jaką pracę powierzono mu na budowie?

Wykipił się półzartami i niedomówieniami, że to niby po morskiej linii, na stanowisko starszego doradcy. Jego nastrój wyraźnie się poprawił, znikło to stałe przygnębienie, trudne do ukrycia przed ludźmi, które chyba najbardziej człowieka postarza.

— Wuj od razu odmłodził na twarzy — powiedziała Inna.

Może istotnie tak było, nie cygałaby przecież.

Do dnia wczorajszego Jahnycz przez wiele dni był już w takim stanie, kiedy to człowiek jest już samym bólem. Wszystko, o czym myślał, co wspominał, za czym tęsknił, przesuwało się na ekranie bólu, od którego, wydawało się, już nigdy się nie uwolni aż do ostatniego tchnienia. Zwłaszcza nocami ból ten potęgował się w nim najsilniej — wielostrunny, wielogłosowy. Tam go dźgnie, tu zawierci, to znów ćmi tępo; na żaglowcu nigdy tego nie odczuwał. Kiedy był mały, słyszał, jak starsi skarżą się, że nocami męczy ich własne ciało, nie mógł jednak wówczas cudzego bólu zrozumieć — nie dlatego, żeby był niewrażliwy, lecz dlatego, iż był zdrowy. Więc kiedy w Kurajówce i jego to wreszcie dopadło, nie skarżył się nikomu; sądził, że nawet tacy ludzie jak Inna, o dobrym i wrażliwym

sercu, nie rozumieją jego cierpień, przecież młodzi odczuwają życie zupełnie inaczej, ich prawdziwe zgryzoty i zmartwienia są dopiero przed nimi. A może i nie, być może ludzie przyszłości żyć będą bez bólów?

Przyjemnie jednak usłyszeć, że się odmłodziło. Nie-wykluczone, bo czuje się dziś tak, jakby drugi raz się urodził. Wyniósł na werandę kuferek, by znów sprawować nad nim gusła. To co było na samym dnie i co rozpalało najbardziej ciekawość dzieci z sąsiedztwa, okazało się plikiem starych obligacji. Wyjął je, przejrzał i wyciągnął rękę do dziewczyny.

— Wręcz je ode mnie matce.

Inna wzbraniała się przyjąć.

— Weź, weź — nalegał orionowiec. — Będą jeszcze brać udział w losowaniu — dodał z uśmiechem.

W kuferku znalazła się też mała błyszcząca blaszka — kawałek obrączki do obrączkowania ptaków.

— Zdjęte z jaskółki, która pewnej nocy rozbiła się o pokład — pokazał Innie blaszkę. — Była to pamiętna dla mnie noc.

— Proszę opowiedzieć.

— Wyobraź sobie: deszcz, plucha, widoczność żadna, płyniemy w zupełnej mgle ostrzegając buczeniem inne statki. I nagle pada coś na pokład, jakby kamienny deszcz. Ptaki! Wycieńczone, zupełnie zmoknięte. Statek trafił akurat na szlak ich przelotu. Zdarza się, że kiedy są bardzo wyczerpane, padają na pokład w nocy całymi kupami. Niekiedy rozbijają się w ciemności o maszty i liny.

— I właśnie to wuj tak zapamiętał? — spytała Inna, zwracając mu blaszkę.

— Nie, nie tylko to, ale to także... Wchodzę do swojej pracowni (wyszedłem na chwilę, więc światło się paliło), a w niej, czy uwierzysz, pełno jaskółek! Wleciały tam gdzie światło i zacisze. I takie potulne, nie-



płochliwe... Okazuje się, że ptaki, kiedy znajdują się w ciężkiej sytuacji, lgną do ludzi, ufają im...

— Widocznie również i ptaki zdolne są do odczuwania ludzkiej dobroci.

— Możliwe. Chociaż na statkach różne typy się trafiają. Trafi się i taki, co te zranione ptaki zmiata rano za burtę. Co prawda u nas na „Orionie” takich nie było... Zdarzało się, że powlatywały i do kajuty kapita-  
tana, i do mojej pracowni... Stoisz pośród nich, cały mokry od deszczu, a one wręcz cię oblepiają, siadając na ramiona, na ręce...

Inna wyobraziła sobie zupełnie realnie niską kajutę na statku pełną jaskółek, które ufnie skupiły się w oświetlonym zaciszu ludzkiego pomieszczenia, a wśród nich zastygł samotny, przemoknięty człowiek, ten właśnie uśmiechnięty Jahnycz od wiązania węzłów. Słyszała jak na jawie cienkie jaskółcze popiskiwanie, pochłaniane przez szalejący wokół statku morski żywioł.

— No a co później się z nimi stało?

— Nie gasiłem przez nie przez całą noc światła, żeby się nie bały. Poumieszczałem je na półkach, na zwojach płótna żaglowego, na różnych częściach takielunku, tu będzie wam wygodniej, myślę... No i tak przenocowały. A rano je wypuściłem.

— I to wszystko?

— Wszystko.

W kuferku były jeszcze jakieś nożyczki, szydła, nawet cyrkiel się znalazł, trochę większy od szkolnego. Majster wszystko to odłożył, żeby zabrać z sobą na budowę. No i oczywiście napastek — hardaman oraz pełny komplet igieł żaglowych. Jedną z nich wyjął, długo obracał ją w palcach, podał dziewczynie.

— Przeczytaj, co tam napisane.

— „Made in England” — odczytała powoli. — To po angielsku?

— Nie myśl, że mają lepszą stal. Od naszej stali trzasnęła kiedyś czaszka faszyzmu... No ale co do żeglarstwa, to Anglicy od dawna majstry. Czytałaś coś może o Robercie Steelu?

— Nie.

— Klipry herbaciane, które kiedyś z bratem zbudował, nie miały sobie równych pod względem lekkości i szybkości oraz urody linii i kształtów. Było to jeszcze w tych czasach, kiedy istniał zwyczaj urządzania wyścigów z partią herbaty z nowych zbiorów od Szanghaju do Anglii. Rozpalały się wtedy namiętności! Cała Anglia żyła w te dni tylko jednym: kto przyplynie pierwszy. Wszędzie stawiano na żaglowce jak na konie wyścigowe: który z nich nabierze sokolego lotu i wszystkich prześcignie. Podobno pewien kapitan zastrzelił się na mostku kapitańskim, kiedy stwierdził, że go prześcignięto i odebrano palmę pierwszeństwa.

Inna słuchała wuja z zainteresowaniem, nie mogąc się nadziwić, że w jego pamięci zachowały się nawet te herbaciane żaglowce, a przecież kiedy to było... Dziewczyna ciągle jeszcze obracała w palcach graniastą igłę z dużym uszkiem; wreszcie nie wiedząc co z nią zrobić wyciągnęła rękę, żeby zwrócić igłę wujowi, siedzącemu w pobliżu przy zamkniętym już kuferku.

— Proszę...

Orionowiec aż się cofnął i zaprzeczył energicznym ruchem ręki.

— Zatrzymaj ją dla siebie, Inko. Będziesz miała pamiątkę po dziadku — dodał jakimś głuchym głosem, odwracając się. — Strzeż jej... Zachowaj ją także wtedy, gdy mnie nie będzie już na świecie.

Ton jego głosu głęboko wzruszył dziewczynę. Co tam igła, nie o nią przecież chodzi. Czuła, że wraz z tą igłą dziadek przekazał jej coś o wiele cenniejszego, może

nawet część swego życia, część swoich wszystkich przeżyć, wszystkiego, co odczuwał już i odszumiało na zawsze. Odnosiło się wrażenie, że on żegna się teraz z czymś, przecina jakieś najdroższe nici łączące go z życiem, wręczając jednocześnie Innie ten skromny amulet — na pamiątkę, a może i na szczęście.

I chociaż przebywają na różnych piętrach życia, chociaż dla Inny daleki jest świat, który wuj nosi w sobie, odczuwa jednak duchowe z nim pokrewieństwo, jakoś współbrzmi z jej własnymi rozmyślaniami, w jakimś sensie ten jego świat jest jej potrzebny do zbudowania jej własnego wewnętrznego świata, dla wzmocnienia może właśnie tych poetyckich kielków, które w niej się rodzą. Dla Inny jest coś głęboko poetyckiego nie tylko w zawodzie żeglarskim Androna Huryjowicza, lecz również w samej jego naturze.

Już nieraz wypytywała byłego marynarza o życie pod żaglami. Budziło jej podziw i sympatię jego bezgraniczne oddanie „Orionowi”. Dotąd jednak niechętnie odkrywał duszę przed ludźmi, jakby chciał jak najprędzej zapomnieć i przeboleć to co utracił. I dopiero dziś, kiedy zgodnie ze zwyczajem usiedli na pożegnanie na werandzie, orionowiec widocznie odczuł potrzebę podzielenia się z Inną swoimi przeżyciami.

Pod wpływem ostatnich zmian w jego życiu nie był już tak zamknięty jak w poprzedzających je dniach. Wyznał jej z pewnym zażenowaniem, że morze jeszcze dotąd go ciągnie i że nie ma siły, by z nim zerwać. Przyzwyczajenie? Być może, ale nie tylko. Przyzywa go gorąca, nieustanna tęsknota za czymś, czego nie potrafi wyrazić. Może to tęsknota za młodością? Za tymi latami, kiedy jako młody chłopak wstrzymując oddech wsłuchiwał się w delikatny z niczym nieporównywalny śpiew żagli, za tymi latami, kiedy każdy młody człowiek uważa się za Magellana? Trzeba było pracować

na takich wysokościach, od których dostaje się zawrotu głowy, pracować godzinami w szkwał, przyciskając się piersiami do rej. Za to później lecis i lecis i wiesz, że żagiel nad tobą jest stuprocentowo pewny, sam go wyszykowałeś i uzbroiłeś, sam jesteś panem swego lotu...

— Odnosi się niekiedy wrażenie, że na „Orionie” są ludzie wyjątkowi.

— Słabych duchem, córeczko, morze nie przyjmie, to prawda. No i „Orion” to przecież statek wyjątkowy, statek przyjaźni i pokoju, jest jak zwiastun dobrej nowiny, jak niestrudzony łącznik między ludźmi. Czysty, otwarty, idzie do ludzi z dobrem, więc jak nie witać go serdecznie? Powiem wprost: być członkiem jego załogi, to zaszczyt i powód do dumy. Burze, żywioły, nocne huragany, to oczywiście nie należy do przyjemności. No ale kiedy się już to przetrzymało, kiedy się człowiek nie załamał, nie skapitulował, to, powiadam ci, Inko, odczuwa się taką radość, jak chyba nigdzie... Układasz pieśni, Inko. No to ci powiem, gdzie jest prawdziwa pieśń. Płyniemy przy pomyślnym wietrze, wokół bezkresna przestrzeń, udzielający się nam spokój i harmonia, na statku wszystko w porządku, kursanci zebrani na tylnym kasztelu z sekstansami w rękach biorą próbę słońca... Boczny wiatr się ustalił, napinamy wtedy wszystko „do ostatniej koszuli”, jak u nas mówią, łopocą nad nami wszystkie żagle! Mknie to twoje cudo, wspina się na wysokie fale, rozbija je i znowu wzłata, aż straszno patrzeć, zwłaszcza z bocianiego gniazda: mknie cały w bryzgach, w pianie, w rosie, wokół woda kipi, cały statek w kurzawie wody i słońca... Żagle i przestrzeń, Inko, to coś takiego, że kto raz ich zakosztował, urzeczony jest nimi na całe życie.

Rankami ziemia zaczęła siwieć. Pola okrywały się lekkim szronem. W kurajowskich ogródkach astry i cynie kwitły jeszcze jaskrawiej, już ostatnie, jesienne... Step y jakby wchłonęły w siebie jeszcze więcej przestrzeni, horyzont się oddalił. Gromadzi się ptactwo, zlatuje się ze wszystkich stron. Nie wszystkie odlatują, niektóre zostaną tu na zimę, bo klimat się zmienia.

Z Kazachstanu powrócili już kombajniści. Obaj Jahnyczowie, ojciec i syn, przywieźli podarowane im tam czapany — strój ludowy, który ofiarowuje się tylko bardzo godnym osobom. Przywieźli też w plecakach suszone morele i kazachskie rodzyнки zwane kyszmysz. Matka, rozdzielając podarunki, zostawiła trochę suszonych owoców dla orionowca, który bardzo lubi z nich kompoty. Petro, otoczony dzieciarnią, obnosi z dumą haftowaną krymkę i pasiasty wschodni szlafrok. Potem siada pod gruszą i powoli, jak wschodni mędrzec, opowiada zafascynowanej nim dzieciarni o swych niezwykłych przygodach.

No więc tak, kosił zboże koło samego Bajkonuru. Pewnego pięknego dnia na jego oczach uniosła się z pszenicy prosto w niebo srebrna rakieta, spowita dymem i płomieniem. Leciała powoli, stepem wstrząsał jej warkot. Można było dokładnie jej się przyjrzeć. Gdy odpalono ją od ziemi, ktoś wyglądał przez ognioodporną szybę i nawet pomachał Jahnyczom dłonią...

Nie dziw więc, że dzieciarnia tłoczy się teraz wokół kombajnisty Petra bardziej niż przy telewizorze u sąsiadów. Chłopak wyniósł również na werandę swój „Elektron”, żeby współzawodniczyć z tamtym pod względem ostrości obrazu i siły dźwięku; to mu jednak nie wystarczało, więc przyciągnął telewizor aż pod gruszę z zamiarem zainstalowania anteny na samym

wierzchołku stuletniej staruszki — i dopiero wtedy zwrócił się do matki:

— Prawda, mamó, że kiedy coś się rozbije, to na szczęście?

— Ano ludzie tak mówią.

— Jeśli tak, to właśnie rozbiłem telewizor...

Wieczorami matka słyszy niekiedy w pobliżu furtki dziewczęce śmiechy i przytłumiony głos chłopca: to Petro zabawia czymś swoje niedawne koleżanki z tej samej klasy, które mają zwyczaj odprowadzać swego kawalera aż pod sam dom. Opowiada im jakieś zabawne historie z ziem nowych albo zabawia ludowymi gadkami o piekle, które dla współczesnego człowieka nie jest takie straszne, bo niewątpliwie również i tam będą przerwy w dostawach drzewa i smoły...

Inna biega codziennie do punktu sanitarnego, często widać ją w bibliotece. Kiedy wychodzi stamtąd, nie ominie oczywiście miejscowego muzeum, mieszczącego się w tym samym domu kultury co biblioteka, i zajrzy do Panasa Omelianowicza. Jak ten człowiek strasznie cierpi! Zupełnie się załamał. Siedzi bez przerwy wśród swoich kołowrotek i snopów, zwinął się w piąstkę, bezustannie toczy go troska. Ciągłe tylko Wiktor i Wiktor, chyba coś znów z nim niedobrze, coraz rzadziej wpada do Kurajówki... Jesień, powiada, to pora wesel, to jeden, to drugi zaprasza, nie wypada odmówić... Pewnie tak jest, jak mówi, ale dla ojca to żadna pociecha. I nawet jeśli dziś u niego jeszcze jako tako, to jednak nie wiadomo, co jutro strzeli mu do głowy, trudno to przewidzieć.

Na widok Inny nauczyciel nieco się ożywia, bo jest przed kim serce otworzyć. No i myśli jego krążą wówczas oczywiście nadal wokół syna.

— Co jego gubi? — zastanawia się Panas Omelianowicz, gdy dziewczyna siada na swym zwykłym miej-

scu przy tkackim warsztacie. — Gubi go egoizm. Bezgraniczny, nienasycony, cyniczny egoizm. Nic świętego, rozumiesz?! Nie ma dla niego nic świętego. To właśnie martwi mnie najbardziej. Jesteś młoda, może takich nie spotykałaś, ale ja napatrzyłem się już w swoim życiu dość, widziałem takich jak on w różnych sytuacjach... Ten, dla kogo nie ma nic świętego, kto nie ma poczucia obowiązku i honoru, nie zachowuje pamięci o miłości, ten, Inko, jest zdolny do wszystkiego, nawet do najgorszego. Pustka w duszy to nie jest jakies tam obojętne vacuum. To nie jest, jak sądzą niektórzy, jakiś stan neutralny. Pustka w duszy potrafi też zrodzić działanie, i to działanie rujnujące... Nie, nie, nie zaprzeczaj, wiem, co to jest egoizm, a kiedy łączy się w dodatku z zadufaniem we własne rzekomo obiektywne racje...

— Proszę nie wyolbrzymiać, Panasie Omelianowiczu. Jednak Wiktor pracuje, nie ma na niego żadnych skarg. Rodzice nie zawsze wiedzą, co dzieje się w duszach ich dzieci — próbowała łagodzić Inna.

— A nawet jeśli wiedzą, to co? Co znaczą nasze rady i perswazje, skoro odbijają się od ściany duchowej głuchoty... Nie rozumiem, dlaczego my z żoną zostaliśmy poddani takiej próbie — stary nauczyciel skierował wzrok gdzieś w przestrzeń. — U innych ludzi dzieci, to przecież radość, duma... Nasz też mógłby być taki! Jak piękne nadzieje pokładaliśmy w nim, oddaliśmy mu naszą całą miłość... I oto mamy zapłatę... Słyszałaś o tym nieszczęściu w Zagradowce? Przywieźli rodzicom martwego syna, żeby go pochować, ale wierz mi, że niekiedy im zazdroszczę. Tego się doczekałem...

Inna słyszała o tym zagradowskim dramacie i o tym, z jakimi honorami chowań młodego marynarza, który zginął na statku podczas pożaru. Gdy buchnął płomień, trzeba było natychmiast wyłączyć prąd. Chłopak rzucił

się do wyłącznika nie zważając na dym, odtrącił kolegę, który chciał to zrobić, wołając do niego: „Ty masz dzieci!”, zdążył wyrwać wyłącznik, ale sam spalił się na miejscu. Koledzy marynarze przywieźli go do Zagradówki, chowali z orkiestrą, spuszczaali do mogiły na ręcznikach... Dla rodziców był to straszliwy cios, ale Panas Omelianowicz zazdrościł nawet im...

— Proszę nie sądzić Wiktora tak surowo. Zmienił się jednak, i musi pan przyznać, że na lepsze. Naszym obowiązkiem jest mu dopomóc. Jest oczywiście niezorganizowany i jeździ jak wariat, no ale ponieważ nie znosi fałszu...

— Dzięki ci, Inko, że go bronisz. Może właśnie twoja wielkoduszność i twoje uczucie dla niego ocali go. Tyle lat już przeżyłem, a tyle zagadek pozostało nie rozwiązanych. Oddałem Kurajówce całe swoje świadome życie, oddałem szkole wszystkie swe siły, oddałem je wam, byście się stali ludźmi. I staliście się nimi. Z jedynym, najboleśniejszym dla mnie wyjątkiem. Dlaczego tak jest? To już rzeczywiście ironia losu! Wychować tyłu, a najbliższego... Ale i z tej porażki wyciągam gorzką naukę, też zresztą dla was: chociaż jesteście inni, może mądrzejsi od nas, jeśli jednak macie dla siebie szacunek, to szanujcie i tych, którzy do ostatniego tchu walczą pod ciężarem lat, jak potrafią, pielęgnując dla was kwiaty humanizmu... Nie depreczcie ich.

Panas Omelianowicz pochylił się nad tkackim warsztatem, jego sucha dłoń bezwiednie przebierała napiętą do tkania przędzę (żeby ją prawidłowo naciągnąć, przywożono jakąś starą kobietę aż z sąsiedniej wsi).

— Pamiętam — powiedziała Inna — jak pan jeszcze w szkole zwracał naszą uwagę na doskonałość kwiatu,



na perfekcję w budowie kłosa... I dopiero po latach zaczyna się to rozumieć.

— Wiele spraw, Inko, odkrywa się przed człowiekiem dopiero z wierzchołka przeżytych lat. Tak bardzo bym pragnął, żebyście znaleźli z Wiktorem swoje szczęście! W nim są istotnie dobre zadatki. Przy tobie, być może, stanie się inny. Bo miłość czyni cuda, władna jest odrodzić człowieka. Więc błagamy cię z żoną: nie zwlekaj, bierzcie ślub jak najszybciej i bądźcie szczęśliwi...

O ślubie słyszała już nieraz również od Wiktora. Po jakimś weselu w mieście nalegał szczególnie.

— A może i my, co? Po co zwlekać? Trzeba się pośpieszyć, luba!

Były to jednak myśli jego nie jej. Właśnie nie chciała się z tym spieszyć. Były sprawy, które ją powstrzymywały.

Pewnego wieczoru, kiedy ją odprowadził i byli już przy furtce, zauważyła, że Wiktor był nietrzeźwy. Złamał umowę, nie dotrzymał danego jej słowa. Bardzo ją to uraziło: jak można złamać słowo?! Kiedy się rozstawali, Wiktor zaczął ją gwałtownie obejmować, w sposób brutalny, z wykręcaniem rąk. Nigdy tego dotąd nie było. Dziewczyna była zmuszona odtrącić go, wyrwała się i pobiegła, bardzo zła na niego. No więc jak po czymś takim spieszyć się ze ślubem?

Od tego wieczoru spotykali się już znacznie rzadziej, w sercu Inny zagnieździła się chłodna czujność.

Panasowi Omelianowiczowi oczywiście nie powiedziała o tym, wprost przeciwnie — uspokajała go i pocieszała, że może Wiktor przyjedzie właśnie dziś, przecież w klubie uroczysty wieczór...

Z początkiem jesieni ożył kurajowski dom kultury. Odwiedzano go tłumnie — prócz miejscowych również młodzież z budowy sanatorium i chłopcy ze straży gra-

nicznej, szeregowcy i podoficerowie, których łączyła z kurajówczanami tradycyjna przyjaźń. Wzmocnił się znacznie dobrze znany chór kurajowski. Czerednyczenko postarał się o wspaniałe kostiumy dla chórzystów, czekały ich rejonowe eliminacje, powinni zdobyć pierwsze miejsce tak jak w poprzednich latach. Chórem kieruje młody nauczyciel, wykładowca muzyki i śpiewu, który trochę sam komponuje: zapisał już niejeden zeszyt nutowy i jako kompozytor amator rokuje dobre nadzieje.

Dom kultury ma się teraz wzbogacić o jeszcze jeden zespół: staraniem Oksena powstaje ensemble ludowych instrumentów. Utalentowany stolarz z budowy zdołał zainteresować tym sporo osób, nawet komendant straży granicznej zgłosił swój udział w zespole.

Po rozmowie z Panasem Omelianowiczem Inna nie poszła już do domu, bo tego wieczoru odbywał się w domu kultury koncert amatorski. Na program złożyły się dawne i współczesne pieśni w wykonaniu chóru, duetu dojarek z fermy oraz solistów, spośród których wyróżniali się mechanik Walery Jahnycz i komendant strażnicy, Azerbejdżanin, którego kurajowska publiczność przyjmowała zawsze jak społecznego barytona.

Zespół ludowych instrumentów nie zdążył wprawdzie przygotować własnego programu, jednak jego kierownik, ten zawzięty Hucuł, wyglądający sympatycznie i bardzo skromnie, wykonał kilka bardzo nieskromnych kołomyjek. Na zakończenie koncertu chór odśpiewał — po raz pierwszy w Kurajówce — „Brzeg miłości”. Pieśń i jej wykonawców przyjęto bardzo przychylnie. Matka autorki, która siedziała obok niej, kazała Innie, zmieszanej i zaczerwienionej z radości, wstać i podziękować ukłonem widowni za oklaski. Należało to zrobić.

Kiedy po koncercie wyszły z matką podniecone na

ulicę, Inna mimo woli spojrzała na znikającą za Kurajówką w szarej mgle drogę: dziś Wiktor powinien był stamtąd przyjechać. Przyłapała się na tym, że czekała na niego. Nie zjawiał się już kilka dni, obiecał jednak, że będzie na pewno na dzisiejszym koncercie; może i jemu, kpiarzowi, jednak by się coś na nim podobało.

Stary Weremienko też wyglądał syna. Poszedł z łaską pod dom kultury, potem przeszedł pod drzewami i zatrzymał się na zboczu przy wjeździe do wsi, czekając cierpliwie, czy nie chlusną mu w oczy światła reflektorów wozu Wiktora, rozcinające oślepiającym snopem jesienną mżawkę. Bo jednak ojciec zawsze pozostanie ojcem: mimo że nagromadziło się sporo żalu i pretensji do syna i mimo cierpień spowodowanych jego postępowaniem, nie wyrzuci go przecież z ojcowskiego serca, taki to już los wszystkich ojców — nawet cierpiąc przez własnych synów, kochają ich i będą ich kochać do końca swoich dni.

Kurajówczanie często widzą starego nauczyciela, czatującego przy wjeździe do wsi; długo może tak stać na skraju drogi, wyczekując cierpliwie swego jedynaka, który miał być jego radością i podporą starości, a stał się jego męką i wieczną udręką. Może i teraz łajdaczy się gdzieś w knajpie, bezczeszcząc własną godność i ojcowskie nazwisko.

Gdy Inna wróciła do domu, wszyscy układali się już do snu. Usiadła na werandzie, by zapisać ostatnie przeżycia do dzienniczka, który zaczęła prowadzić tej jesieni. Nie zdążyła zapisać nawet jednej strony, kiedy z ulicy rozległo się wołanie:

— Szybko na punkt sanitarny! Wiktor przejechał samochodem swego ojca!

Biegła nie czując nóg.

Na punkcie sanitarnym byli już Czerednyczenko, sekretarz miejscowego komitetu partyjnego i jeszcze

jacyś nieznani ludzie. Panas Omelianowicz leżał na kozetce obitej białą ceratą.

Nie wkładając fartucha Inna rzuciła się do niego, przysiadła na kozetce i zaczęła nerwowo szukać tętna. Któż by przypuszczał w szkolnych latach, że ona wystąpi kiedyś w tej roli, siedząc przy swoim nauczycielu botaniki w charakterze pielęgniarce. Pozbawiona okularów blada twarz Panasa Omelianowicza wydawała się teraz jeszcze mniejsza, za uchem skóra była zdarta, siwe rzadkie włosy zlepione były krwią. Nauczyciel był nieprzytomny. Inna trzymała chudą, starczą dłoń, doszukując się w niej znaków życia. Jeszcze jeden, najstraszliwszy egzamin... Pod spojrzeniami sciszonych, oniemiałych z trwogi ludzi. Inna z lękiem, bólem i rozpaczą liczyła ledwie wyczuwalny, stopniowo zanikający puls; wreszcie ustał.

Trzymany przez nią za rękę, stary Weremienko zmarł nie odzyskawszy przytomności.

Była to pierwsza śmierć na jej oczach, na jej rękach, w jej punkcie sanitarnym. Inna była zupełnie roztrzęsiona. Z trudem panowała nad sobą, by nie potrząsnąć tym lekkim, wyczerpanym stygnącym już ciałem, obudzić je i wyrwać z niebytu. W rozpaczliwej bezsilności rzuciła się do drzwi, tłumiąc rozrywający ją szloch. Wybiec stąd natychmiast i wypłakać się w samotności!

Była już przy drzwiach, gdy nagle pojawił się w nich Wiktor. Czy to naprawdę on? Spotkała spojrzenie somnabulika, zmieszanego, niezbyt trzeźwego, żalosego winowajcy, który pochylony łapie z trudem oddech, by coś powiedzieć. Patrzył na Innę otępiąłym wzrokiem i niepewnym ruchem wyciągnął do niej rękę.

— Morderca! — krzyknęła i rzuciła się do drzwi. — Nienawidzę! Nienawidzę do końca życia!

Od Wiktora wzięto pisemne zobowiązanie o niewydalaniu się ze wsi. Rozpoczęło się śledztwo. Jego matka rozwinęła nieoczekiwanie gwałtowną działalność: męża nic już jej nie zwróci, więc próbuje uratować syna. Biegała po Kurajówce, szukała świadków dla potwierdzenia jej wersji: syn jest niewinny, ojciec sam wpadł pod samochód, bo jest ślepy...

Ale takich świadków w Kurajówce nie znalazła. Bo wieś potrafi być nie tylko dobra, ale też bezwzględna.

Obroza zacieśniała się, przyjaciele, którzy byli z nim w samochodzie, odstąpili od Wiktora czy — jak to określił — sprzedali go. W śledztwie wszyscy zeznali jednakowo, że chociaż oni też byli podpici, to jednak próbowali Wiktora powstrzymać, ciągle upominali go, żeby zwolnił, bo gnał jak wariat, jednak ich nie słuchał, a podjeżdżając do domu kultury nacisnął pedał gazu jeszcze mocniej. No i wtedy na środku drogi pojawiła się nagle jakaś postać z wyciągniętymi rękami, coś krzycząc, może chciała zatrzymać wóz. Zdążyli jeszcze krzyknąć tylko do Wiktora „Ojciec! Ojciec!” — ale on podobno zawołał „Nie szkodzi! Jakoś przejedziemy!...” I chociaż w ostatnim momencie próbował skrócić, było już za późno.

Na razie pozostawiono Wiktora na wolności. Nie była to już jednak dla niego wolność. Nie zważał na wszystkie starania matki, której nie udało się jednak znaleźć fałszywych świadków. Dopiero teraz Wiktor rozumiał, że nie ma nic na swoje usprawiedliwienie. Kurajówka zjednoczyła się w bezgranicznym oburzeniu i bezwzględnym potępieniu. Jego świadomość została porażona potwornością dokonanego czynu. Przez pół dnia stał później pod domem Jahnyczów czekając, czy ktoś nie wyjdzie. Ale nie doczekał się. Więc odszedł i już się więcej we wsi nie pokazał.

Widziano go wałęsającego się nad morzem. Nie miał

już teraz żadnych złudzeń co do swego losu: po jednym przestępstwie teraz drugie, i to jeszcze jakie! Przerażając, tragiczne, nieodwracalne...

Pod koniec dnia zjawił się w pobliżu plaży obozu pionierów, w tym właśnie miejscu, gdzie kiedyś wjechał motocyklem w gromadkę dzieci. Plaża była pusta, dzieci rozjechały się już do szkół, tylko kilku miejscowych chłopców grało w piłkę. Mówili później, że Wiktor wyglądał jak mara i włókł się, jakby spał. Powiedział do chłopców: „Wykąpię się”. Dzieci zdrętwiały: nikt już o tej porze się nie kąpał. A on nawet się nie rozebrał. Tak, jak stał, wszedł do wody: coraz głębiej, do pasa, do piersi, po szyję... Wtedy zaczął płynąć — a był dobrym pływakiem. Płynął i płynął, aż zniknął wśród fal...

Dzieci przyjęły to jako kolejną jego fantazję: wypłynął daleko w morze i pewnie powróci inną drogą na inne miejsce. Powrócił. Wypłynął po trzech dniach naprzeciw domu starego Korszaka, stróża w spółdzielni rybackiej. Korszak pierwszy go zauważył. Myślał, że fale zagnały tu piłkę, którą się bawiły dzieci: to ukazywała się, to znikwała pod wodą. Dopiero kiedy „piłka” znalazła się blisko brzegu, stróż poznał młodego Werenienkę, już topielca. Rybacy, którzy wyciągnęli go, po raz pierwszy widzieli topielca w tak dziwnej pozycji: nie leżał, lecz stał w wodzie, w ubraniu, dosłownie stał, dlatego też głowa huśtała się na falach jak piłka futbolowa.

Stary Jahnycz zawładnął starą łajbą. Kierownictwo budowy szło mu bardzo na rękę: trzeba spawaczy — już są, malarzy — proszę bardzo, materiałów — już wypisujemy, żeby tylko robota szła normalnie.

Orionowiec nawet nocuje teraz na statku. Po tamtej pierwszej nocy nie chciał więcej iść do tego nie zamieszkałego drugiego bloku. Zostanie na statku, tu czuje się znacznie pewniej. Całymi dniami pracuje spokojnie, zawzięcie, bez zbędnego hałasu i rwetesu.

Dziewczęta z budowy są bardzo ciekawe, co on tam robi, ten orionowiec, co tam przerabia i szykuje. Przybiegnie grupka tynkarek w pochłapanych kombinezonach, ale stary nie wpuszcza do środka nikogo, trzyma wszystko w tajemnicy. Nawet kierownika robót, chytrookiego grubasa w gumowych butach, niezbyt chętnie wtajemnicza w sprawy przebudowy statku; być może tamten jest w sprawach budownictwa fachowcem, ale na statkach zna się tak jak wilk na gwiazdach. Wiedzą o wszystkim tylko jego najbliżsi współpracownicy, z którymi się nie rozstaje: Oksen i jeszcze kilku równie zawziętych chłopców, przydzielonych do jego dyspozycji. Patroszą statek bez litości, to wyrzucają, tamto przerabiają, bo wszystko tu powinno zagrać po nowemu, wszystko musi być doprowadzone „do granic fantastyki”, jak mawia Hucuł.

Orionowcowi powróciła pewnośc siebie, pojawiły się u niego cechy kierownika. No cóż, jest przecież pełnoprawnym członkiem kolektywu, starszym konsultantem, osobą nieomal wtajemniczoną. Zachowuje się tak, jakby na budowie nie było obiektu ważniejszego od łajby. Niekiedy widuje się go przy budowie bloków; wtrąca się do wszystkiego, wywołując niezadowolenie niektórych robotników: znalazł się jeszcze jeden kontroler społeczny...

Kiedy kierownik budowy wyjeżdża, co zdarza mu się bardzo często, bo ma sporo spraw do załatwienia i narad, Jahnycz z konieczności musi się kontaktować z kierownikiem robót Bałabusznym. To stary wróbel,

ciągle tylko by poganiał, wciąż tylko — tempo, tempo, nie gadać tyle, terminy gonia...

— Nas poganiać nie trzeba — odpowiada mu na to orionowiec poważnie i statecznie. — Cośmy obiecali, tego dotrzymamy, nie rzucamy słów na wiatr.

— Ja przecież nic nie mówię — Bałabuszny z miejsca się wycofuje. — Mamy do pana pełne zaufanie, Andronie Huryjowiczu. A o materiały proszę się nie martwić. Jutro mają przywieźć plastik, podobno śnieżnej białości, enerefowski! Drogi, co prawda...

— Dla górników nie można żałować — odpowiada Jahnycz, i wydobywszy z kieszeni kartkę papieru wyczytuje, czego i ile mu jeszcze potrzeba.

W porze obiadowej na budowie ucisza się. Ustaje warkot maszyn, robotnicy chronią się w cień, jedni jedzą obiad, inni czytają gazety, dlatego nikt nie zauważył, że przyjechał ktoś, kogo by trzeba godnie przywitać. Nie zastawszy w wagonie kierownictwa nikogo, kieruje się do Jahnycza, który stoi koło swojej lajby jak na wachcie. Chyba i on wziął orionowca za dozorcę, bo nie witając się zwrócił się do starego zwierzchnim tonem:

— Gdzie kierownictwo?

— Chyba na obiedzie. Kierownictwo też nie żyje samym powietrzem.

— A jest tu może jakiś majster?

— Ja jestem majstrem.

Na twarzy przyjezdnego grymas niezadowolenia, jakby staremu nie dowierzał; jego postawa świadczy o tym, że ma prawo do takiego grymsu. Tęgi, o wydatnym brzuchu, ocieniona kapeluszem twarz nabrzmiała, gliniasta, widać, że nie był jeszcze w tym roku na wczasach.

— Pan jest rzeczywiście majstrem?

— Przecież powiedziałem... A kim pan jest?



— Z ministerstwa — rzucił niedbale przyjezdny, nie uważając za wskazane określić bliżej z jakiego ministerstwa: czy z tego, które zleciło budowę, czy z tego, które buduje. Zresztą dla Jahnycza nie jest to istotne. Ważne, że wreszcie zjawił się ktoś, z kim można wyjaśnić sprawy dotąd z kierownikiem robót nie wyjaśnione.

— Akurat jest mi właśnie ktoś potrzebny z ministerstwa.

— Panu? — skrzywił się ironicznie przybysz.

— Tylko proszę uważnie posłuchać, jeśli pan z ministerstwa. To wyście chyba projektowali te bloki? Blok numer dwa pod jakim kątem stoi? Dokąd wychodzą okna świetlicy i połowy izb?

— No dokąd? — zainteresował się gość z ministerstwa.

— Na step, na północne wiatry! Rano górnik wstanie i nie ujrzy wschodu słońca. Przyjechał nad morze, a wyście go plecami do morza i karkiem do słońca...

— Od morza wieje. A poza tym, mówiąc szczerze, potrzebne ono górnikowi do chrzanu... Chce się tu przede wszystkim porządnie wyspać po ciężkiej pracy... Wysokokaloryczne odżywianie, domino i bilard, tego mu trzeba, a nie wschodu słońca. Musimy mu zapewnić przede wszystkim komfort...

— No i zapewniliście... Jadalnia nie pomieści wszystkich, więc jedzenie na dwie zmiany, trzeba stać komuś nad głową i czekać na wolne miejsce. A w blokach? Jedna toaleta na całe piętro, i to w samym końcu korytarza! Tak wygląda ten pański komfort. Przeleciałby się tak pan pół mili z kalesonami w rękach...

Przybysz skrzywił się z niesmakiem.

— Być może czegoś nie przemyślano tu do końca.

-- A kto miał za was przemyśleć? Puszkina? Od czego wy jesteście?

Przyjezdny przybrał surową minę.

— Jakim prawem pan rozmawia ze mną takim tonem? Kim pan jest?

— Kim? Klasą robotniczą. — Jahnycz zmrużył oczy, wpijając się w przybysza ostrym spojrzeniem. — Jestem już blisko czterdzieści lat robotnikiem morza. Na morzu też jest klasa robotnicza...

W tej chwili przybiegł kierownik robót, zdyszany, zaniepokojony. Zaczął merdać ogonem przed przyjezdnym, zasypywał go przeprosinami i tłumaczeniami i zaproponował oprowadzenie po budowie.

Zjawił się też zaraz kierownik budowy. Przedstawiciel ministerstwa rozpoczął rozmowę z nimi od sprawy Jahnycza.

— Kim jest ten stary? — wskazał na stojącego opodal orionowca. — To jakiś zwariowany dziad!

— To nasz dziadek — uśmiechnął się przepraszająco kierownik budowy. — A właściwie nie taki z niego jeszcze dziadek. To majster rzadkiej specjalności.

— Jakiś krytykant... Pewnie i anonimy wysyła do instancji?

— Nie, do tego nie byłby zdolny. A że lubi rąbać prawdę w oczy, to już taka natura.

— Puścilibyście go na zasłużony odpoczynek... Powiedzmy na własne życzenie, co?

— Można, tylko że my bez niego nie damy sobie rady, Stepanie Petrowiczu...

— Jak uważacie. Tylko żebyście potem nie lamentowali, jak napisze o waszej budowie do „Prawdy”...

Kierownik budowy zapewnił, że nie dojdzie do żadnego konfliktu i że on bierze to już na siebie, inaczej nie można tego załatwić, bo takiego majstra o złotych rękach ze świecą trzeba szukać...

Jahnycz stał podczas tej rozmowy odwrócony do nich plecami, patrząc na morze i swoją łajbę.

Zwykle po pracy lubi się przejść wybrzeżem, popatrzeć, co morze wyrzuciło: to kupkę morskiej trawy ze śliskimi wodorostami, to meduzę, to muszlę małży, to jakieś przeżarte solą trykotowe szmaty... Nad głową łopocą białe mewy. Niekiedy pojawia się na chwilę we wspomnieniach jakieś odległe wydarzenie, jakiś zapomniany obraz. Oślepiający sztorm. Kamienny brzeg, który posiwił od morskiej soli. A na nim on, młody, siedzi z kimś. Czy odejdzie stąd i nigdy już nie powróci do tej rzeczywistości, do tych ptaków, do tych dni, do rozgwieżdżonych kurajowskich nocy?

Niekiedy Jahnycz dobrnie aż do chaty Korszaka. Stoi samotna na odludziu wśród rozpiętych sieci rybackich, w pobliżu rybackiej przystani. Po burzanach biegają króliki i bieleją ociążałe kaczki i gęsi. Dziadek Korszak szykuje sieć albo odpoczywa przed domem rozmyślając.

— Jak tam dywersanci, dziadku?

— Ani dywersantów, ani moskalików...

Stróż jest w stałym kontakcie ze strażnicą wopu, dostał nawet medal „Za ochronę granic państwowych”. Stary Korszak ma chyba ze sto lat: Jahnycz był jeszcze dzieckiem, kiedy wąsaty już Korszak paradował po Kurajówce w szpiczastej budionówce, dzielił ziemię i napędzał strachu światowemu kapitalizmowi... Już dawno się postarzał, żyje samotnie, jest okropnie zarosnięty, włosy skudłacone i powiązane, żeby nie spadały na oczy. No i stróżuje tu sobie.

Czasami zaprasza Jahnycza na poczęstunek, zdejmując z żyłki kilka suszonych ryb, wiszących pod chatą.

— Nie tęsknicie, dziadku, za ludźmi?

— Zależy jak kiedy... Nocami, kiedy morze się rozsuzmi, różne myśli przychodzą do głowy. Namnożyło się ludzi i kurortów... Kiedyś było w stepie tak: jeden owczarz pod jednym niebem, a inny pod drugim, przy

swoim szłaście, trzeba było pół dnia, żeby dojść od szłaśu do szłaśu...

— Dla dobrych ludzi jeszcze ziemi starczy.

— To prawda. Tylko że wśród tych dobrych ludzi ciągle spotyka się dwunożnych drapieżników, których trzeba się strzec. Zeszłego roku aż tu przywędrowali skądś na łowy i podusili w sieciach delfiny, a w nocy wytrzęśli je na mierzei. — Jahnycza zatrzęśło jak od nagłego bólu, ale Korszak tego nie zauważył. — A wiadomo przecież, że kiedy delfin zapłacze się pod wodą w sieci, to koniec z nim, nie wytrzyma długo bez powietrza, bo to jakby półczłowiek. Podobno płacze jak dziecko, kiedy oмотanego siecią ciągną na brzeg. I to mają być ludzie?!

— Miało się nadzieję, że po wojnie takich już nie będzie...

Pogawędzą lub pomilczą i Jahnycz wraca porytą ziemią wzdłuż wybrzeża na teren budowy. W połowie drogi, gdzie wśród białego piasku leży wyrzucona z morza, czarna, jakby muśnięta ogniem, kłoda z jakichś być może kaukaskich lasów, orionowiec raz jeszcze zatrzymuje się na krótki odpoczynek. Kłodę tę wywlókł ktoś aż na piaszczysty pagórek, który miejscowi ludzie nazywają dzumą. Wieczorami zakochani wsłuchują się tu w przyływ morza. Jahnycz przycupnie na kłodzie, posiedzi trochę i też słucha morza, które syczy w dole jak spawarka. Gdyby zajrzeć mu wówczas w szparki oczu, nie znalazłoby się żadnego błysku, żadnej reakcji, żaden ogień w nich nie zapłonie, nic w nich nie drgnie. Nie ma w tych oczach ni radości, ni smutku, ni męki czy wysiłku — tylko jakieś wyzbyte czucia, absolutne zatopienie się w tę siność, w tę dal. Ale chyba nawet w chwilach takiego wyobcowania coś tam tłucze się w myślach?

Kiedyś wieczorem siedział właśnie na tej kłodzie,

a w głowie snuło się jakieś odległe wspomnienie o walce byków, oglądanej kiedyś w młodości. Oglądał to widowisko tylko jeden raz i nie chciałby widzieć je powtórnie, to rozrywka nie dla niego. Cała jego sympatia była po stronie czarnego, wspaniałego byka, który wybiegł na arenę rozwścieczony, oślepiiony słońcem, nieustraszony. Szukał przeciwnika i nie mógł się z nim spotkać: wszystko zlewało się w jedno, i trybuny, i arena, i ci co go drażnili — wszystko to było wrogiem dla tego czarnego rycerza korridy. Gotów był bić się ze wszystkimi, wziąć na rogi nawet samo słońce...

Krzyk mewy za plecami wyrwał go z zadumy. Obejrzał się. Od strony budowy zbliżał się ktoś brzegiem, ktoś młody, w czerwonym swetrze, z termosem w ręku, w spodniach, które teraz noszą wszyscy, nie można więc poznać z daleka czy to chłopiec, czy dziewczyna... Coraz bliżej, coraz bliżej, jest już na skarpie, której sztormy jeszcze nie podmyły. Inka!

Nawet nie uśmiechnęła się. W szarzącym zmierzchu dostrzegł popielate cienie pod jej oczyma.

— Jak mnie tu znalazłaś?

— Powiedzieli mi na budowie: na pewno siedzi na wydmiu.

Aż serce mu się ścisnęło, kiedy patrzył na swoją siostrzenicę. Schudła, zmarniała, oczy, które jeszcze niedawno jaśniały szczęściem i energią, patrzyły teraz, jakby powiększone, z tępym bólem, jednak dziewczyna nie mówiła o swoich przeżyciach ani słowa.

— Przyniosłam wujkowi kompot — postawiła termos na piasku. — Z suszonych moreli.

— Dziękuję ci, córeczko. Usiądź, posiedź trochę ze mną.

Usiadła obok na skraju kłody, kręcąc bezwiednie w rękach gałązkę piołunu. Jahnycz rozumiał ten stan, w którym człowiek męczy się, pogrążony w rozpacz

i beznadziejności. Zdarza się, że nawet na odległość można odczuć, jak drugiemu jest ciężko, być może jakieś fluidy przechodzą od człowieka do człowieka.

Jahnycz gorąco współczuł dziewczynie. Chciałby jej powiedzieć coś pocieszającego, znaleźć jakieś kojące słowa, zdjąć z jej serca gniotącą ją ciężar; bo czy warto tak rozpacząć za zabójcą własnego ojca i za samobójcą? Nie ma jednak takich słów, nie ma takich leków, które można by przyłożyć na ranę serca.

Zauważył kątem oka, że oczy jej zasły łzami.

— Nie płacz, Inko. Każdy człowiek może osierociec, osamotnieć, ale nawet i wtedy nie wolno mu upadać na duchu. Samotność też hartuje człowieka.

I znowu milczeli, wdychając cierpki zapach morza i śledząc krążącą wokół nich mewę, która to oddalała się, to się przybliżała do nich. Morze tonęło coraz bardziej w mroku.

I jakby bez żadnego związku opowiedział jej o Stromboli. Jest taki wulkan, wiecznie czynny. Marynarze nazywają go latarnią morską Morza Śródziemnego. Wśród największej nawet ciemności czerwienieje noc w noc pod chmurami. Może właśnie teraz przepływa obok niego „Orion” z praktykantami...

— Sam nie wiem, dlaczego mi się to przypomniało... No, chyba już czas na nas. I nie poddawaj się, córko, nieszczęściu. Jesteś jeszcze młoda... Odnajdziesz jeszcze swój los...

Wstali, ruszyli górnym brzegiem, gdzie wiła się ścieżka. Przed nimi jaśniał już wieczornymi światłami teren budowy kompleksu sanatoryjnego. Szli w zamyśleniu. Czarna kłoda, na której siedzieli, utonęła w mroku, cienie nocy zagarniały coraz większe połacie piaszczystej kurajowskiej wydmy, porosłej gorzkim mleczem.

Zimą szalała w Kurajówce grypa hongkong. Epidemia nie ominęła tego oddalonego od miast wybrzeża. Powiadają, że wiatr ją skądś przywiał. Radio przynosiło trwożne wieści, podano, że epidemia szerzy się w całej Europie, zwała ludzi z nóg w Rzymie i w Londynie, w Paryżu szpitale są również przepełnione, zamyka się szkoły, chorzy mrą tysiącami.

Inna była w rozpacz: nie ma jeszcze przeciw hongkongowi skutecznej szczepionki. To tu, to tam wykrywa się wciąż nowe wirusy grypy. Zarazki, nie znane jeszcze wczoraj, dziś szerzą się szybko i z podstępną zagadkowością. I chociaż wirusolodzy całego świata łamią sobie głowę nad tym problemem, pracują nad jego rozwiązaniem całe instytuty, nie ustając w poszukiwaniach, jednak czegoś radykalnego i skutecznego nikt dotąd nie zaproponował. Trzeba więc zadawałać się starymi, powszechnie znanymi zaleceniami i najprostszymi środkami zaradczymi, które jeśli nawet przynoszą pewną poprawę, to jednak nie zabijają wirusa, który nadal hula we krwi, dopóki sam organizm go nie zwalczy.

Inna biegała na wezwania po domach, widziała, jak grypa kładzie do łóżek całe rodziny, oglądała niemowlęta całe rozpalone wysoką temperaturą. Dziećmi przejmowała się szczególnie, gdyż przechodzą one grypę wirusową najciężej. Robiła zastrzyki, rozdawała tabletki, przestrzegając przy tym, żeby raczej unikać środków chemicznych, pić natomiast dużo gorącej herbaty lipowej z miodem. A tymczasem wirus kpił sobie z jej zabiegów, dopadając i powalając ciągle nowe ofiary...

No i jeszcze dodatkowe kłopoty z tymi kurajowskimi pacjentami: lekceważą jej zalecenia, zwłaszcza ci

barczyści, zahartowani mechanicy, którzy nie traktują choroby serio — nieżył, powiadają, zawsze był na świecie... Miał taki mądrała dopiero wysoką temperaturę, a kiedy mu się tylko trochę polepszyło, od razu papierosa w zęby i do warsztatu.

Kiedyś zjawił się w punkcie sanitarnym Czeredny-czenko, który przeszedł już gripę, złapaną gdzieś na jakiejś naradzie jako jeden z pierwszych. Chciał mieć dane o liczbie zachorowań w Kurajówce do dnia dzisiejszego oraz pytał, kiedy można się spodziewać spadku tej przeklętej epidemii. W trakcie rozmowy Sawa Danyłowicz nagle wstał i podszedł do Inny.

— Masz coś za bardzo rozpalone policzki, medyczko — i dotknął dłonią jej czoła. — Ależ ty płoniesz! Innych pouczasz, a sama chcesz chodzić z grypą? Nam nie potrzebne takie bohaterstwo...

Jeszcze tego samego dnia Innę zastąpiła Warwara Pyłypowna, która też już odchorowała gripę razem z mężem, w sposób zsynchronizowany, jak powiedział.

Inna musiała położyć się do łóżka. Leżała z wysoką gorączką, gdy koleżanka z poczty przyniosła jej list. Jej znajomy archeolog pisał aż z Czittahongu. („To ta wasza Bengalia, dziewczyny”). Służy tam w marynarce jako poborowy. Właśnie teraz oczyszcza farwater, cały zablokowany potopionymi statkami. Zadaniem naszych marynarzy, pisał, jest otwarcie dojścia do portu, tak zwanych tu Wrót Życia. Przydało mu się tutaj doświadczenie pletwonurka. Trzeba pracować w niewiarygodnie skomplikowanych i trudnych warunkach tropiku; a najgorsze jest to, że temperatury są tu bardzo wysokie, zaś w wodzie, gdzie się pracuje, jest zła widoczność, bo woda jest mętna, rzeki niosą wiele mułu. No i tak tu żyje, wykuwając światową solidarność... „pośród nadziei i życia”, jak pisała kiedyś Greczynka Teodora... A to, co kiedyś powiedział Innie tam, na



fortecy, jest nadal żywe i aktualne; chce, żeby ona o tym wiedziała. Kochał ją i kocha nadal — i nie zamierza tego dłużej ukrywać, krzyczy o tym ze swego skafandra na wszystkie mętne wody tropików!

Dla Inny był to głos jakby z nierealnego świata. Gdzieś jakby za siódmą górą pozostała już ta Owidiuszowa forteca, i drżąca ścieżka księżycowa na morzu, i ten archeolog z jego gorącymi wyznaniem... Tutaj deszcz ze śniegiem lub śnieg z deszczem, a on męczy się w tropikalnych upałach w tym cudacznym kostiumie płetwonurka, przedzierając się w mętnej wodzie między obcymi potopionymi statkami.

Przed jej oczami przepływa odrealniony świat, który powleka się grypową żółcią i coraz bardziej mętnieje, i ona sama też jakby się zanurzała w jakiejś gęstej, zamykającej się nad nią wodzie tropików. Czasami, gdy zmorzy ją na chwilę półsen, przywiduje się jej gad podobny do jaszczurki. Mała jaszczurka, na pół przezroczysta, aż widać wnętrzości. Brontozaur w miniatrze. Siedzi gdzieś na szafie i patrzy stamtąd, jak ona się męczy w gorączce. Jaszczurka jest tak samo zagadkowa jak ta, która pojawiała się Wierze Konstancyńownie w namiocie Czerwonego Krzyża. I też nie wiadomo, czy jadowita czy nie i jak się zachowa, i też jest w niej coś ludzkiego... A potem sama już jest tam, skąd ta jaszczurka i skąd ten niespodziewany list... Rozdaje jakimś ludziom koce z Czerwonego Krzyża i zgęszczone słodzone mleko, wręcza małym Bengalczykom jakieś tabletki, a nad jej głową chmura moskitów; i jest tak piekielnie gorąco, że z trudem oddycha się pod moskitierą. Parno, zbiera się na nudności, cały świat poólkł, przez tafle mętnej wody dobiega czyjś ledwie słyszalny głos...

Przez cały czas choroby pomiędzy momenty przytomności z deszczem za oknem wdzierał się często ten

nierealny i daleki, tropikalny Czittahong, i zamglony obraz człowieka, dalekiego i wiernego, który chodzi w skafandrze po dnie pośród rekinów i obserwuje obrośnięte, na pół zamulone statki...

Podczas epidemii Czerednyczence przybyło sporo nowych kłopotów. Pola pozostają pod stałym nadzorem, sam przewodniczący lustruje je niemal codziennie i napędza agronomów i brygadzystów, by również śledzili stan oziminy. Robiło się różne pomiary, stawiało diagnozy, wyznaczało obszary wymagające nawożenia w pierwszej kolejności. Kurajówka śledziła w napięciu podawane przez radio prognozy pogody. Gdy radio zapowiadało wzrost zachmurzenia w ciągu dnia z opadami deszczu i śniegu, przyjmowano to jako prezent, w księgowości poprawiały się humory, a z gabinetu Czerednyczenki dolatywał śmiech.

— To co dla innych słota, dla nas manna z nieba!

Niewidoczna spikerka nie słyszała chyba tego śmiechu, nie domyślając się zapewne, że zapowiedziany przez nią deszcz ze śniegiem może sprawić komuś radość, bo przekazywała tę informację jakby z przepraszającym zakłopotaniem, a gdy był to spiker, to zapowiadał z jakąś sztuczną euforią, jak gdyby obiecywał nie zachmurzenie i słotę, lecz piękny słoneczny dzień (żeby nie wydać się pesymistą); te jego zabiegi również rozweselały Czerednyczenkę...

— Patrzcie, jak świergoce, jak miodem polewa pluchę ten obwodowy spec od upiększania rzeczywistości!...

Poza wielu innymi kłopotami Czerednyczenkę nękała jeszcze jedna sprawa: nosił się z myślą postawienia wiosną w Kurajówce pomnika pługa. Tego dawnego, używanego w czasach komitetów biedoty wiejskiej, który kiedyś zorał pierwszą skibę na skolektywizowanych już kurajowskich polach. Ponieważ takiego pługa

nie można było w Kurajówce znaleźć, Czerednyczenko polecił, by szukać go wszędzie, wypytywać sąsiadów i zdobyć go koniecznie.

— Na widocznym miejscu wymurujemy piedestał, może tam na scytyjskim kurhanie, i postawimy go na tym piedestale, ten nasz pierwszy pług, jeszcze z jednym tylko lemieszem — rozpałał Czerednyczenko wyobraźnię zwolenników tego pomnika. — Czołgi stoją już przecież na cokołach, i taczanki, i „katusza”, i to jest słuszne, tak powinno być, ale pług też zasłużył sobie na ludzki szacunek!

No więc przyjeżdżajcie tu, zobaczycie kiedyś w Kurajówce pług na piedestale...

Zima jak to zima: każde źdźbło w stepie pożółkło, opadło, na powierzchni prawie nic nie widać. Ale tam, w głębi czarnoziem, pełno korzeni, splątały się korzenie „aurory” i tulipanów, korzenie stare z młodymi... Całe wybrzeże w tym czasie, to właśnie korzenie i korzenie: węzły i węzłki życia. Czerednyczenko chciałby mieć taki rentgen, którym prześwietliłby na wskroś swoje pola, żeby zobaczyć te poplątane w głębi korzenie, z których wszystko się poczyna — i kwiat, i kłos...

Pola wróżyły najlepsze nadzieje, stan zasiewów był wspaniały. Ozimina wszędzie świeża, nigdzie nie wymokła, nigdzie suche mrozy nie zniszczyły korzenia. A radio codziennie obiecuje to śnieg z deszczem, to deszcz ze śniegiem. Czarnoziem wchłania obfitą wilgoć i nawet pod mokrym śniegiem gęsto zielenieje dobrze zakorzeniona pszenica.

Czerednyczenko od czasu do czasu lustruje zasiewy. Stanie na skraju pola i pochylony wpatruje się, jak nawet w ten mroźny poranek przez przymarznięty śnieg przebijają się zielone kielki, wydostaje się z głębi ziemi — cud nad cudami! — delikatne ździebełko, jak

wyłazi zielona igielka, tworząc sama wokół siebie przerebłę. A więc źdźbło żyje, ma chyba jakieś zapasy ciepła, skoro stopiło zimny śnieg, stworzyło tu jakby własny mikroklimat, wybiło w śniegu swoje okienko na świat; wydaje się wprost niewiarygodne, jak ten kielek życia przebił się przez pancerz zimy, wydostając się z niebytu...

Tak, wokół zielenieje sama siła życia zmieszana ze śniegiem, i gdy tylko słońce zliże z pól śnieżną kaszę, pola te zaczną parować jak ciasto ciepłym oddechem ziemi, a wszystko, co żyje, woła: rośnij! Słońce coraz częściej wychodzi zza chmur, i gdy tylko oświeciło step, gdy przygrzało godzinę lub dwie, od razu zadzwoni w górze, gdzieś aż w pobliżu słońca: okazuje się, że jakiś mały skowronek ryzykując pozostał na zimę, nie odleciał do Zambii, więc pierwszy wita swe błękitne, stepowe przedwiośnie.

— Śmiało, śmiało! — zachęca Czerednyczenko, zadarłszy głowę. — Właśnie tylko ciebie nam brakowało dla pełnej harmonii.

Jest coraz jaśniej i jaśniej, aż wreszcie pewnego dnia jasność ta wypełni całe kurajowskie niebo od krańca do krańca horyzontu. Okaze się wówczas, że nic nie wymokło i nie wymarzło, na radość rolnikom, że nie trzeba przeorywać oziminy i siać na nowo. A słońce robi swoje, pola wszędzie pokrywają się runią. Ale oto zaczerwienił się już dziewiczy step: to zakwitły nieśmiertelne scytyjskie tulipany, ciągnąc się aż do morza.

Tynkarka Tasia, daleka krewna Jahnycza, wyobrażała sobie tych górników, którzy mieli tu przyjechać, jako wręcz mityczne postaci. Jacyś olbrzymi, giganci.

Wykonują pracę, od której nie ma teraz ważniejszej. Gdzieś tam w głębi ziemi, w jej ciemnych wnętrzach, ciągną się kilometrami ich podziemne drogi. To jakby inny świat, świat odwagi i codziennej walki. Żeby tam przebywać, wytrzymać te warunki, trzeba szczególnego hartu, trzeba być takim, jak, no... jak Andron Jahnycz.

I kiedy na wiosnę przybył do nie wykończonego jeszcze kompleksu sanatoryjnego pierwszy górnik ze związkowym skierowaniem, Tasię uderzyło przede wszystkim to, że przypomina on czymś orionowca: może powściągliwą statecznością, może powolnym chodem i wyczuwaną w nim, zmagazynowaną siłą, której zapas jeszcze się nie wyczerpał w tym przysadzistym, starym górniku.

— To pan z samego środka ziemi? — wypytywała z ciekawością dziewczyna, wpatrując się w jego twarz pooraną głębokimi zmarszczkami, w które wżarł się pył węglowy. — A nie strach panu na takiej głębokości pod ziemią?

— Przywykliśmy, córeczko... Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Ktoś przecież musi wydobywać węgiel. Wyrąbujesz go rok, dziesięć lat, dwadzieścia... A nad nami kwitnie czerniec i stepowa trawa, po stepie biegają tabuny koni, bo właśnie nad naszą kopalnią znajduje się stadnina, łoszaki harczą.

— Słysząc tętent koni? — zażartowała dziewczyna.

— Konie, słońce i kwiaty to gdzieś daleko, córko, jakby aż w niebie... A blisko nad głową połyskuje ciemny kruszec...

— Strach!

Górnik uśmiechnął się tylko na ten „strach”. Rozglądając się zauważył na froncie pierwszego bloku mozaikę, przedstawiającą młodych rębaczy w roboczych ubraniach, którym dzieci szkolne wręczają kwiaty. Dziewczęta z budowy chciały wiedzieć, jak on oce-

nia zrobioną przez nie mozaikę, może są jakieś błędy? Ale stary górnik nie wdawał się w krytykę, widocznie był wielkoduszny, nawet pochwalił tę mozaikę.

— Będziecie tu mieli jeszcze basen i kawiarnię z orkiestrą, z modnymi tańcami...

— To akurat coś dla mnie — uśmiechnął się górnik — bo jakoś już dawno nie tańczyłem.

W następnych dniach przybywali nowi goście ze skierowaniami. Byli wśród nich nie tylko starzy górnicy z zadawnionymi chorobami, ale również zdrowi mężczyźni, którym tylko aby dać kij bilardowy do ręki, to zapomną nie tylko o obiedzie, ale i o całym świecie. Gdy taki bilardzista wróci do domu, nie będzie wiedział, co odpowiedzieć żonie, gdy spyta go o morze, nie widział go bowiem na oczy: przez cały czas latają mu przed oczami tylko kije, bile i łuz...

Jahnycz jakoś od razu nawiązał kontakt z tym pierwszym przybyłym tu górnikiem. Robotnicy rozumieją się w pół słowa, nie potrzebują tłumacza, bo samo życie jest ich tłumaczem.

Łajba zrobiła na górniku duże wrażenie. Właściwie ze starej łajby niewiele teraz zostało. Zrodzony ze złomu statek przez zimę jakby podrośł burtami, dźwignął się, nabrał płynnych, opływowych kształtów. Zgodnie z zamierzeniem statek został gruntownie przerobiony i odnowiony: obłożony czerwonym drewnem (czy też jego imitacją), wyposażony w umowny takielunek z kołem sterowym na górnym pokładzie oraz działami, sterczącymi z burt na wszystkie strony, z polakierowanymi na czarno łańcuchami kotwicznymi, z wyrzeźbioną z białego jaworu mityczną nimfą dłuta Oksena, umieszczoną zgodnie z marynarskim zwyczajem na dziobie statku... Rusałka jakby wylatywała w jaskółczym zrywie z piersi statku i tylko na moment zastygła w locie, twarzą do morza, cała skierowana do przo-

du. Statek również jakby zataił w sobie ruch i energię, zda się, lada chwila się uniesie razem ze swoimi kotwicami i ruszką, mknąc na spotkanie z niewidoczną olbrzymią falą... Byli właściciele statku z centrali rybołówstwa nie poznaliby teraz przeznaczonej już na złom swojej jednostki, którą tak przemieniła fantazja Jahnycza, strojąc ją w przedziwne, niecodzienne szaty.

Nowy przyjaciel Jahnycza, wydobywający węgiel gdzieś tam pod stadniną w stepie, chociaż nie uważał się za autorytet w morskich sprawach, potrafił jednak ocenić, jak ogromną pracę tu wykonano i ile włożono wysiłku, żeby — rozpoczynając nieomal od zera — zrealizować zamysł, podyktowany nowym przeznaczeniem statku.

Zresztą nikt z budowlanych nie mógł sobie wyobrazić wówczas, gdy przyciągnęli i postawili starą łajbę na zawsze już zakotwiczoną na stałym lądzie, jak ona będzie wyglądać po przebudowie. Właściwie wtedy każdy miał własną, inną wizję: inaczej wyobrażał ją sobie kierownik budowy, inaczej kierownik robót, Jahnycz natomiast dostrzegał w swym przyszłym dziecku jeszcze inne cechy, znane jedynie jego wyobraźni. Wiedział, co powstanie, nie mógł jednak przewidzieć, jakie będą poszczególne detale i jak jego twór zostanie przyjęty: wywoła zachwyt czy też kpiny i zarzuty.

I oto teraz dopiero odsłania się przed ludzkimi oczami to, co było skrycie wypieszczone w jego fantazji i mozolnie realizowane. Być może nie jest to doskonałość, pozostaje jednak obiektywnym faktem, że przebudowany statek stanie się ozdobą wybrzeża. Wysoko wznoszą się maszty z takielunkiem, linowe drabinki ciągną się aż do ich szczytów. Na dziobie i na rufie latarnie z kutego żelaza o starodawnym kształcie; z takimi latarniami pływały być może kiedyś karawele

wśród burzliwych nocy, wiodących w nieznane. Z boku statku trap o poręczach z grubej, manilskiej liny — też robota Jahnycza.

Z marynarską gościnnością zaprosił górnika na statek, chociaż nie wszystko jeszcze było związane na ostatni guzik.

— Tylko ani słowa na statku o chorobach! — uprzedził gościa. — Jest takie niepisane prawo marynarskie.

— Górnicy też mają wiele przesądów... Gdzie obcuje się ciągle z niebezpieczeństwem, tam i przesady...

Już na początku zwiedzania Jahnycz musiał wstydić się przed gościem: w jednym zakamarku, na kилиmie zrobionym przez niego z kawałków lin — resztki jakiegoś jedzenia, ogryzki kiełbasy, kawałki gazety, nie dojedzone szprotki w konserwie. Górnik, co prawda, nie zrobił żadnej uwagi, bo to człowiek uprzejmy, dostrzegł to jednak, i to wystarczało, by Jahnycz poczuł palący wstyd.

— Kandybenka, do mnie! — krzyknął w głąb statku.

Natychmiast zjawił się chłopak w schludnym kombinezonie, o poczciwej twarzy, jakby rozbawiony.

— Melduję się na rozkaz! — zawołał, wykonując w powietrzu ruch ręką, jakby chciał zaszalutować.

— To twoje?

— Te szprotki? A co mam jeść? Certy nie ma ani jesiotra, nie mówiąc już o kawiorze...

— Nie dowcipkuj, tylko sprzątnij to natychmiast! — rozkazał Jahnycz hamując gniew. — Zbierz co do okruszynki. Żeby tak statek zaśmiecać!... Miałem rację, kiedy przed trzema dniami chciałem cię zwolnić.

Chłopak przestępował z nogi na nogę, miał być może nadzieję, że uda się burzę zażegnać, ale pod karcącym spojrzeniem Jahnycza, chcąc nie chcąc, zabrał się do uprzątnięcia pozostałości obiadu.



— A teraz co majster rozkaże? — spytał z jakby kpiącym uśmiechem.

Jahnycza to jeszcze bardziej rozgniewało.

— Wynieś to jak najdalej! Tak daleko, żebym cię nie widział. I nie pokazuj mi się więcej na oczy!

Chłopak odszedł, i chociaż go posłuchał, nastrój Jahnycza się popsuł. Zbadł nawet, więc górnik zaczął go uspokajać.

— Niech się pan tak nie przejmuje... Gdyby tak zważać na wszystko, to nerwów by nie starczyło.

Ale orionowca ciągle jeszcze irytowało niechlujstwo Kandybenki. Oczywiście dla takiego żulika śmieszny jest i on, Jahnycz, i cała ta jego robota, ten przedp-topowy marynarz jest trochę stuknięty, pewnie z tych marynarskich hulanek... No, ale chyba nie wszyscy tak myślą.

Górnik, to jest właśnie ten człowiek, który potrafi ocenić należycie jego kilkumiesięczny trud. Wszędzie drewno, miedź i mosiądz, i wszystko odbiega daleko od standardu i sztampy, przeważa ręczna, precyzyjna robota. Górnicza „komisja kontrolna” z głośnym „ach! ach!” i cmokaniem podziwiała kilimy z lin, solidne stoliki z dębowego drzewa, a przy nich zamiast krzeseł dębowe krąglaki, na których widnieją określające ich wiek słoje; w kątach jaśnieją dębowe beczułki (można sobie wyobrazić, że z rumem) z wyrzeźbionymi gronami winnymi oraz lwimi paszczami. Iluminatory z różnokolorowego szkła jak witraże stwarzają niezwykle, fantastyczne oświetlenie, jakby w jakimś starym zamku. Nad głową kute z lanego żelaza i rzeźbione latarnie, również według starych wzorów. Przedmiotem największej dumy Jahnycza jest jednak prawdziwy dzwon morski... Wszystko na swoim miejscu, wszystko dopasowane jak należy, a najważniejsze — czuło się, że robiono to wszystko z sercem.

Przyjaciele oglądali statek uważnie, niczego nie pomijając, aż wreszcie po wydostaniu się z tych labiryntów znaleźli się na górze, przy kole sterowym.

— Proszę spróbować, jak pan ma ochotę — zachęcał Jahnycz. — Ster też prawdziwy, ze statku, tu nie ma żadnej lipy.

Było widoczne, że ster ten oglądał już wielu sterników: farba starta, powierzchnia wygładzona czyimiś spracowanymi rękami podczas wacht.

— Rzecz nawet nie w tym czy prawdziwe, czy imitacja — górnik położył swe ciężkie ręce na sterze i zastygł na chwilę w zadumie. — Najważniejsze, że jest w ludzkim sercu coś mu drogiego, o czym skrycie marzy...

Milczeli teraz obaj, wpatrując się w morze. W odbitym na falach słonecznym blasku dla jednego zakwitła nad zwałami kruszcu stepowa trawa, dla drugiego w dalekiej mgłę wynurzał się biały jak obłok, napęczniały wiatrem żaglowiec.

## 26

Nie tylko Jahnyczowi potrzebny był „Orion”; okazało się, że na statku odczuwano dotkliwie jego nieobecność. Wciąż przypominał o sobie jego duch, który uleciał, przypominał nawet teraz, kiedy ten czarodziej żagli i wierny nauczyciel zniknął na zawsze, rozplynął się w morzu kurajowskiej kurzawy.

Gdzie on się tam zaczepił, stary samotny tułacz, w jakim porcie osiadł pod koniec życia? Może z pastuszym kijem błąka się gdzieś po stepie? To dobre zajęcie, ale... A może zachorował, podcięty przeniesieniem na emeryturę? Wiadomo przecież, że w takiej sytuacji zżera człowieka bezpłodny bunt i tęsknota za

utraconym. I czy na długo starczy mu sił, by to znieść? Przykuty do stepu, rozpięty na innych palących wiatrach, jak on tam wiąże teraz węzły?

Na żaglowcu w rozmowach ciągle się do tego wraca.

„Orion” wypłynął w wiosenny, próbny rejs. Jest na razie jakby jeszcze w domu, manewrując w pobliżu własnych brzegów, ale przed nim odpowiedzialny, daleki rejs, który potrwa kilka miesięcy, tak zwany rejs prestiżowy. Daleko popłyną, daleko poniesie „Orion” czerwony kwiat rodzinnych brzegów, wysoką flagę swej ojczyzny. Do tego rejsu dobiera się praktykantów z kilku szkół morskich, dostaną się tylko ci, którzy odpowiadają najwyższym wymogom. „Orion” czeka na chłopców silnych i zręcznych, takich którzy również tam, gdzie przyplyną, będą wzbudzać uznanie nienaganną powierzchownością, kulturą i uprzejmością; chociaż w obcych portach znajdą się i tacy, którzy będą szerzyć nieufność, poddając w wątpliwość, czy to są rzeczywiście kursanci czy raczej przebrani w ich mundury kadrowi marynarze wyższych stopni.

Jahnycz będzie żył również wśród nowych kursantów, którzy dopiero przyjdą na „Oriona”, ale tylko w abstrakcyjnej postaci, bo zastaną na statku tylko jego legendę, słaby odblask jego na „Orionie” bytności. Niespożyty wilk morski, żarliwy obrońca czystości tradycji, będzie dla nich postacią mało realną, występującą przeważnie w sytuacjach zabawnych i wyjątkowych, słowem, będzie istotą na pół mityczną. Morze zresztą widziało takie postaci pod żaglami różnych epok. Ten dziwak i trochę samolub będzie jednak zawsze potrzebny nowym pokoleniom adeptów morza jako symbol oddania morzu, swojej skromnej pracy i życiowemu powołaniu.

Dla tych jednak, których łączyły z Jahnyczem lata

wspólnego pływania, powraca on ciągle w swej zwyczajnej, codziennej wiarygodności.

— Wkrótce Jahncyza urodziny — przypomniał kiedyś kapitanowi jego przyjaciel, oficer oświatowy. — Trzeba mu przesłać życzenia od załogi.

— Koniecznie! Próbowaliśmy już nawiązać z nim łączność drogą radiową, ale szanse są takie same, jakby chciało się nawiązać łączność z pozaziemską cywilizacją.

Istotnie tak było: na Nowy Rok posłali majstrowi radiogram, ale nie było żadnej odpowiedzi. Czy radiogram utknął gdzieś w porcie, czy też adresat po prostu zignorował go i nie chciał nań odpowiedzieć?

— Dotknęliśmy go jednak bardzo boleśnie — powiedział oficer. — No bo przecież nasz wieczny Jahncyz, nasz majster i wychowawca, „ojciec latających ryb”, musi przebywać teraz gdzieś poza „Orionem”. Na pewno biedak nie może przywyknąć...

Było się nad czym zamyśleć. Każdemu z nich wcześniej czy później przyjdzie przybić do tego ostatniego portu, szukać swojej Kurajówki, podstawiać twarz pod inny wiatr, który nie będzie już wiatrem młodości. Być może są i tacy, którzy przyjmują bezboleśnie taką odmianę losu i bez szczególnych wstrząsów wzywają się w świat opłotków i ogródków, ale nie Jahncyz... Trudno im było wyobrazić go sobie sprzedającego gdzieś na bazarze marchew i pietruszkę. Bo chociaż żył prosto, ale jednak głęboko. Miał w sobie niepokój i zdrową marynarską ambicję. A może i to też kiedyś wywietrzeje? Najpewniej jednak stary się zaciął w swej urażonej ambicji i postawił krzyżyk na „Orionie” — takie przypuszczenie wydawało się najbardziej logiczne.

To prawda, że nie ma ludzi niezastąpionych, dlatego więc wszyscy na „Orionie” odczuwają tak dotkliwie

nieobecność Jahnycza? Zabrał z sobą nie tylko jakieś unikalne doświadczenia, wiedzę praktyczną, nie tylko „zabrał wiatry”... Brakowało im jego dziwactw, jego nieustannego burczenia, nawet jego swoistej terminologii, wywodzącej się chyba gdzieś ze starych kurajowskich gawęd. Młodym nawet to się podobało, podchwytywali niektóre jego oryginalne określenia i nazwy.

Zarówno kapitan, jak i jego przyjaciel z perspektywy czasu i odległości coraz pełniej dostrzegali barwną postać Jahnycza, odkrywając jego prawdziwą istotę. Ten człowiek imponował im czymś bardzo ważnym, wspominali Jahnycza nie z przyzwyczajenia, lecz z wewnętrznej potrzeby, a najczęściej w chwilach trudnych.

— Ktoś powiedział kiedyś o nim, że jest to człowiek-amulet — rozmyśla głośno oficer oświatowy. — Inaczej mówiąc, że jest to człowiek, który innym jest potrzebny czy nawet niezbędnym. Może już zawsze będziemy odczuwali jego brak? Dopiero teraz zrozumieliśmy, że dopełnialiśmy się wzajemnie, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że rozstanie z nim będzie dla nas taką niepowetowaną stratą.

Ale się zaciął! Zamilkł, nie daje żadnego znaku życia. Zagoiwszy zadaną mu ranę mógł zresztą zobojętnieć. Skrzywdzony, w zupełnym niemal zapomnieniu, wegetuje gdzieś odwrócony plecami do morza, do „Oriona”. Ale czy możliwe, żeby ta jego namiętność, jego przywiązanie, niemal ślepa jego miłość do latających żagli mogła się zużyć, zblednąć, wyczerpać się?

Pewnego dnia podczas ćwiczeń, kiedy kurs „Oriona” przebiegał w pobliżu kurajowskiego wybrzeża, cała załoga jak na komendę wyległa na pokład: Kurajówka! Ona też figuruje w morskich locjach, obok innych punktów orientacyjnych opisane są również jej stałe

światła... Gdzieś tam teraz w stepie dopała się watra Jahnyczowego życia...

Nawet bez lornetki widać było w dali spowitą sadami wieś, znaną wszystkim marynarzom Kurajówkę, nad którą z jednej strony góruje wieża straży granicznej, z drugiej wznoszą się sylwetki jakichś nowych budynków. A co to takiego na wprost nich, na samym brzegu, podobne kształtem do statku? Z wysokim, smukłym masztem chyba ze stalowych rur rozwinął skrzydło białego żagla. Lśni w słońcu, przemawiając do morza jakimś zagadkowym, nie rozszyfrowanym kodem.

Kapitan pierwszy się domyślił i uśmiechnął się do swego odkrycia.

— To przecież brat „Oriona”...

## 27

Zdarza się, że leży na brzegu zraniony ptak z rozpostartym skrzydłem...

Jak sobowtór, jak echo tamtego dalekiego, prawdziwego, wyrósł ten Jahnyczowy żaglowiec na zrębach starej łajby. Sylwetką, zwłaszcza z daleka, i tym jednym białym skrzydłem, sprawiał niezwykle wrażenie. Jest w tym uniesionym skrzydle jakieś żałosne, niezaspokojone pragnienie.

Rzecz jasna również w Kurajówce wiedzą, że Jahnycz zmajstrował na terenie kompleksu sanatoryjnego jakieś dziwo. Inna przychodziła tu z dziewczętami, by je obejrzeć. Była nawet na samej górze przy sterze, oglądała sztuczne działa i także łańcuchy kotwiczne, najdłużej jednak zatrzymała się przy nimfie. Półdziewczyna, półryba czy półdelfin?

Ta zagadkowa istota ma chronić marynarzy przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

W dziele Jahnycza połączyły się realność z marzeniem, powszedniość z odświętnością, młodzieńczy zew przestrzeni z nieruchomym skrzydłem; tu rzeczywiście „radość z troską się objęła”. W zasadzie jednak dzieło to przypominało kształtem żaglowiec; marynarze będą mieli jeszcze jeden punkt orientacyjny. Jednych rozweseli, drugim dostarczy atrakcji, jeszcze innych być może w ogóle nie poruszy; dla Inny jednak w tym unieruchomionym żaglowcu był sam Jahnycz z jego obolałą duszą, tak nieoczekiwanie obnażoną, z jego umiłowaniem wolności i miłości do ludzi. Czuło się, że ten żaglowiec z uśmiechniętą rusałką, to model jego młodości, był jakby pożegnaniem z nią oraz obrazem przeżytego życia, bogatego i mocnego. Wypowiedział w nim w pełni samego siebie. Ile pracy włożono w ten twór, ile bezinteresownej, niemal naiwnej miłości i fantazji!

Inna jeszcze raz przekonała się, że natura orionowca obdarowana jest żywą poetycznością, że jest w nim ta iskra poezji! Chociaż nieuświadomiona i żywiołowa, ciągle się jednak ujawnia, najpełniej zaś wyraziła się w tym fantastycznym statku. Bo w nim, chociaż przykutym, wyczuwa się siłę, rozpęd, niepokój, ducha odwagi marynarskiej! Jak tylko potrafił, przekazał orionowiec w tym statku to, co w nim najtajniejsze i najistotniejsze, wcielił weń samą istotę swego męznego i konsekwentnego życia!

Włożył w to swą całą duszę. Był tu nie tylko głównym doradcą, lecz najczęściej również głównym wykonawcą. Przydała mu się nieraz umiejętność wiązania węzłów i ciesiołki, ręka często sięgała po siekierę i hebel, i tylko żaglowa igła i naporstek nie znalazły tu zastosowania. Sam zadbał o omasztowanie, podsunął Oksenowi pomysł rusałki i wyjaśnił, jaka powinna być. Sam zamontował ryndę i ster, wnikał we wszystkie szczegóły urządzenia i wyposażenia, domagając się, że-

by wszystko było jak prawdziwe lub przynajmniej stwarzało taką iluzję. I chociaż wiele razy przypomniano mu, że ma to być statek umowny, pełniący funkcję kawiarni do odpoczynku oraz punktu żywienia, praktyczna strona zagadnienia nie była dla Jahnyca najważniejsza: wierny sobie, postanowił twardo realizować to, co zamyślił.

Ta twórczość Jahnyca wyłaźła bokiem kierownikowi robót, który nieraz narzekał przed kierownictwem, że orionowca ponosi fantazja, że nie oszczędza materiału, że oblepił ściany modelami wszystkich epok, nie wyłączając egipskiej i fenickiej. Więc kierownictwo budowy zwracało Jahnycowi uwagę na zbytnią rozrzutność. Przyjmował krytykę do wiadomości i nadal tworzył uparcie swój żaglowy poemat. Było to jakby pojednanie z młodością i trwały pomnik niezatartej pamięci o rejsach i towarzyszach.

Wreszcie wszystko było zakończone, komisja przyjęła obiekt, dając mu najwyższą ocenę, Jahnyca podpisał protokół zdawczy, kaligrafując starannie swój pełen zakrętasów autograf. W ostatniej chwili wynikł problem: jak nazwać ten statek-kawiarnię?

— Może „Orion”? — zaproponował ktoś.

Jahnyca odebrał to jako osobistą obrazę.

— Drugi „Orion”? Drugiego nigdy nie będzie!

— Przecież on też nie jest wieczny — zauważył kierownik robót. — On również pójdzie kiedyś na złom.

— To wtedy jego miejsce zajmie inny, ale też jeden jedyne, niepowtarzalny. Dlatego właśnie „Orion”.

Kierownictwo, widząc, że majster przywiązuje do tego taką wagę, nie nalegało. Proponowano jeszcze „Bar na barce” lub „Wydma”, ale z różnych względów obie nazwy również odrzucono. Postanowiono więc pozostawić na razie sprawę nazwy otwartą, może któryś z górników wysunie jakąś sensowną propozycję.



Jahnycz był teraz znowu zupełnie wolny. Z wagonika, dokąd przeniósł się z łajby, oczywiście nie wygonią, ale to sadyba na kółkach. Mogą w każdej chwili podjechać, zaczepią hakiem, wezmą na hol i pociągną jego chatę na jakąś inną budowę. Więc czas już pomyśleć o sobie. Być może wyląduje w muzeum morskim, zaproponowali mu, żeby się zajął wypychaniem zwierząt i ptaków, profesja bardzo poszukiwana. No i obrączkowałyby ptaki. Kolczykuje się je co roku, wypuszczając w świat z blaszkami ptasich paszportów. Odlatują stąd daleko, ale wracają. Tego lata znaleziono w Kurajówce zwykłego szarego wróbla, który był zaobrączkowany gdzieś aż w Capetown.

Jednak kierownictwo kompleksu, biorąc pod uwagę zasługi Jahnycza, nie pozostawiło go na pastwę losu. Nowy dyrektor sanatorium ogłosił, że od dziś Jahnycz będzie pełnił funkcję starszego porządkowego plaży i całego terenu sanatoryjnego. „Mówiąc po prostu stróża” — pomyślał Jahnycz, jednak przyjął tę posadę.

Kawiarnia-statek była już czynna. Górnicy, i nie tylko oni, wieczorami chętnie zajmowali miejsca przy stolikach na pokładach, oglądając z zainteresowaniem aplikacje z drzewa i słomy, modele dawnych statków oraz karpackie niedźwiedzie, delfiny i egzotyczne ryby, którymi Oksen z chłopcami przyozdobił wszystkie wolne płaszczyzny.

Orionowiec również lubi posiedzieć tu wieczorem, niekiedy w towarzystwie Azerbejdżanina ze straży granicznej, czasami z Oksenem, ale też i samotnie. Usiądzie w kącie i nadęty jak puszczyk śledzi spode łba młodych kelnerów, którzy balansując niezgrabnie tacami, roznoszą do stolików smażone byczki i specjalne koktajle „Piracka krew”. Na piratów zrobieni są też kelnerzy: w uchu kolczyk, kindżały zatknięte za czerwony zdobny pas, pirackie kamizelki. Jahnyczowi nie

podoba się ta piracka przebieranka, zwłaszcza te bzdurne kolczyki w uchu. Ciągłe też ma jakieś starcia z kelnerami.

— Byłoby lepiej, gdybyście mniej naczyńia tłukli, piraci od siedmiu boleści. Wystroili się jak papugi, a robota...

Wszystko w nich go irytowało. Z tym się pokłóci, z tamtym ma jakiś zatarg: nie umieją się ruszać, bęwały, takiego nigdy nie wzięłyby na statek. Czy taki łamaga potrafiłby w szkwał wdrapać się jak wiewiórka na fok czy bezan tak jak jego kursanci? Ciągłe tylko daje porównania, stawia im za przykład tych, którzy bez kolczyków w uszach, ale za to jak błyskawica wyskakują z kubryków na alarm.

— To już słyszeliśmy — odparowuje kelner. — Jaki statek, takie i alarmy. Zamiast żagla postawili jakąś chorągiewkę. Pańska arka po brzuch w piasku i w betonie, a panu ciągle się zdaje, że ona dokądś popłynie...

Był to dla Jahnycza cios najboleśniejszy, ale czym go odparować? Nie bez podstaw ci „piraci” mu dogryzają i szczerzą zęby, dla niego jednak są to pajace. Inni odwiedzający kawiarnię mają dla tych chłopców więcej cierpliwej wyrozumiałości i nie zgłaszają żadnych pretensji, a ta piracka przebieranka nawet ich bawi.

A kiedy wieczorem przychodzi orkiestra jazzowa, złożona z takich samych kudłatych „piratów”, gdy pójdą w ruch gitary elektryczne i „piraci” zawyją przez wzmacniacze, że aż bębenki pękają, Jahnycz na znak protestu opuszcza demonstracyjnie pokład.

— Noe się wyniół — oznajmia wówczas z ulgą któryś z „piratów”.

A Jahnycz idzie na brzeg morza posłuchać wieczorem innej muzyki, tej odwiecznej, która mu się nigdy nie znudzi. Długo tak idzie brzegiem wzdłuż smugi przyływu, aż do końca plaży; czasami spotyka dwie

gęsi Korszaka, które też mają zwyczaj wychodzić wieczorem na spacer. Zna ich zwyczaje, bo jako mały chłopiec pasał gęsi; gdy szły w zboże, to porozumiewały się między sobą szybkim gęganiem: „Po-dwie-na-kłos... po-dwie-na-kłos...” Wtedy rozumiał ich mowę, teraz już jej nie pojmuje. Bieleją w ciemnościach, dokądś tam kuśtykają. Pradawny ptak, od wieków oswojony — potcmkowie tych, które kiedyś podobno uratowały Rzym, budząc straż gęganiem.

Gdy tylko zaczyna się rozwidniać, Jahnycz już jest przy pracy: wprzągnięty w przedpotopową konną grabiarkę przeznaczoną na złom, którą dał mu Czeredny-czenko, powoli bronuje kurajowską plażę. Sam zgłosił się do tej pracy, to jego osobisty wkład w walce o czystość wybrzeża. Obiecują ją zmechanizować, na razie jednak sam ciągnie grabiarkę jak riksę, oczyszczając plażę z wszelkich ogryzków, odpadków i innych śmieci.

— Dzikusów nie będziemy tu więcej wpuszczać — burknie, gdy pozdrowi go któryś z górników, zdążających tak wcześnie z ręcznikiem na brzeg. — I to mają być ludzie? Pitekantry a nie ludzie!

— Mezozojcy! — odkrzyknie żartobliwie górnik. — Są o sto lat zapóźnieni w kulturze.

Przeciagnie tę żelazną grabiarkę przez całą plażę, zbronuje, zgrabi wszystko dokumentnie, uprzątnie wszystkie śmiecie naniesione w ciągu dnia tak, że nawet nie ma śladu z plażowania kuracjuszy. A jeśli natrafi na budowle z mokrego piasku, starannie ulepienie poprzedniego dnia przez dzieci, na miniaturowy średniowieczny zamek z pomysłowo wykonanym zespołem wież, murów i fos obronnych albo gdy zauważy ulepiiony z piasku przez dzieci stateczek (zarodek „Oriona” z wetkniętym żaglem z muszli) — wówczas Jahnycz zatrzyma się na chwilę, obejrzy uważnie pracę

nieznanych majstrów przedszkolaków, potem ostrożnie obejdzie te ich dzieła, żeby nie uszkodzić, znów zaprzęgnie się i pociągnie dalej swą nieszczęsną grabiarzkę.

Jego zainteresowanie statkiem-kawiarnią już minęło, orionowiec nawet nie spojrzy teraz w tę stronę. Lepiej od innych ocenia niedoskonałość tego tworu. I niech nikt nie myśli, że zabrakło mu pomysowości, ale cóż to za żaglowiec, jeśli jest unieruchomiony w jednym miejscu. Żaglowiec buduje się dla ruchu, dla lotu, dla młodości — w tym rzecz... Wyposażył wprawdzie statek w ryndę i ster, brak jednak tego, co statek uskrzydla... Plastik to jednak tylko plastik i żywego płótna żaglowego nie zastąpi; a prawdziwego żagla nie można postawić, takiego co pół nieba przestoni, wydając pod wiatrem jemu tylko właściwy dźwięk: brzęczy cieniutko w górze, śpiewa... Płótno żaglowe znalazłoby się, poszłyby, uzbroidł i postawił tu prawdziwe i nad podziw piękne, ale pierwszy wiatr przewróciłby razem z masztem. Żagiel jest niebezpieczny dla statku unieruchomionego na lądzie. Prawdziwe, potężne żagle, nieugięte i śpiewne, są tylko dla statków, które są w ruchu, lecą w przestworza jak sokół, jak jego „Orion”!...

Idzie Jahnycz wybrzeżem pochylony, wlokąc za sobą swoje nowe narzędzie pracy, a za nim skrada się fala, zlizując jednym liźnięciem ulepione z piasku rycerskie zamki i czyjeś maleńkie fregaty. A gdy wszędzie słońce, wszędzie będzie już czysto i gładko.

## 28

Jahnycz nie spodziewał się wcale, że ktoś na świecie przypomni sobie o jego urodzinach. Jako pierwszy przyszedł z życzeniami jeszcze wczesnym rankiem jego

przyjaciel mechanik z Arktycznej. Wzruszył orionowca tym dowodem pamięci i przybyciem. Musiał przecież jechać tu lądem i morzem, odszukał go jednak, a teraz trzyma go w objęciach.

— No a jak tyś myślał, że zapomnę?

Orionowiec z dumą oprowadza gościa po zespole sanatoryjnym, żeby wszyscy wiedzieli, iż do starego Jahnycza przyjechał przyjaciel; przedstawił kierownictwu mechanika jako bohatera ostatniej wojny, człowieka wielkich zasług. To właśnie on swego czasu poprowadził zdobyczny krążownik „Nürnberg” z niemieckiego portu na Morzu Północnym. Do obsadzenia takiego kolosa trzeba było tysiąc ludzi, a może i półtora, a ich załoga liczyła zaledwie sześciuset. Prócz tego, jak się okazało na pełnym morzu, krążownik był zaminowany, faszyci zdążyli jeszcze w ostatniej chwili przygotować taką niespodziankę. Krążownik porusza się do przodu, a mechanizm zegarowy, połączony z minami, też się porusza... Gdyby załoga składała się z gamoniów, to — rzecz jasna — krążownik wyleciałby w powietrze. Ale chłopcy stanęli na wysokości zadania. Najbardziej zasłużył się wtedy ten oto mechanik, który pierwszy zauważył tę groźną sytuację. W Libawie, dokąd zawinął krążownik, sam admirał wręczył mechanikowi order...

Przyjaciel słuchał Jahnycza nie zaprzeczając, w przybliżeniu mniej więcej tak to wyglądało, tylko że orionowiec nieco przesadził w wychwalaniu jego skromnej osoby.

Gdy zostali sami, mechanik od czasu do czasu rzucał na orionowca intrygujące spojrzenia i czynił jakieś mgliste, zagadkowe aluzje: być może, drogi solenizancie, czeka cię jeszcze jakaś przyjemna niespodzianka...

Po obiedzie przybyli nowi goście: dwóch kursantów, dwóch orłów z „Oriona”, z paczkami w rękach, składając Jahnyczowi życzenia i gratulacje od uczelni, od za-

łogi, od portu. Doskonale się trzyma, mówili chłopcy, wygląda najwyżej na czterdzieści lat, no a kiedy jeszcze włoży nowy galowy mundur, urodzinowy prezent „Oriona”... I już rozpakowują go na łóżku w wagoniku Jahnycza i podają mu ten wspaniały mundur, nie ustępujący admirałskiemu...

Delegację stanowią słuchacze pierwszego roku szkoły morskiej: Szabljenko rodem z sąsiedniej wsi, niski, krępy, milczący chłopak, którego Jahnycz dotąd nie znał, oraz jego młody przyjaciel Oleg Zabołotny, inteligentny, kulturalny młodzieniec, który pływał już w jednym z rejsów i niejedną wieczór przegadali z Jahnyczem pod żaglami „Oriona”. Stary majster dziwił się początkowo, że ten syn dyplomaty, który wyrósł wśród ambasadorskich dzieci i miał możliwość wstąpienia na drogę dyplomatyczną, ujawnił nieoczekiwanie chęć zostania marynarzem i poszukiwania mądrości w szkole morskiej. Ale spróbuj odgadnąć, dlaczego człowiek wybiera tę, a nie inną drogę...

No ale tort, ozdobiony przez kucharza „Oriona” monogramem solenizanta, mogli sobie darować, taki prezent nadaje się raczej dla dzieci z przedszkola, tam go lepiej potrafią ocenić; ale trudno było pozostać obojętnym wobec munduru marynarskiego. Zaczął go zaraz przymierzać, obejrzał się w lustrze w nowiusieńkiej czapce z „krabem” i w bluzie z błyszczącymi guzikami — i nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia: wszystko leżało na nim jak ulał, nie zapomnieli, jakiego jest wzrostu i jakiej tuszy. I już nie zdecydował w tym dniu tego paradnego marynarskiego munduru.

Wkrótce potem zjawił się Oksen; złożył Jahnyczowi życzenia i podarował mu inkrustowaną ciupagę, tłumacząc się, że nie przybył pierwszy; bo w sanatorium nie

znali dokładnej daty jego urodzin i dowiedział się w ostatniej chwili.

— Gdyby nie oni — orionowiec wskazał na przyjaciela mechanika oraz na uczniów szkoły morskiej — chyba sam zapomniałbym o tej dacie. Co w niej zresztą szczególnego? Dzień jak każdy inny, tyle że jest się o rok starszym...

Tymczasem o jubileuszu Jahnycza (co prawda nie „okrągłym”) i jego święcie dowiedzieli się ci, co chcieli się dowiedzieć. Wieczorem zebrali się na statku-kawiarni kurajowscy krewni, bliższa i dalsza rodzina, przyszły dziewczęta z budowy z bukietami kwiatów, zawitało również kierownictwo zespołu sanatoryjnego i byli też, rzecz jasna, praktykanci z „Oriona” i przyjaciel mechanik — wszyscy pożądani i drodzy dla solenizanta goście.

Orionowiec rozkręcił się w ten wieczór, rozbawił się, takim nikt go tutaj jeszcze nie widział.

— Hej, chłopaki, chodźcie no tu do mnie, please, szampana, please, no i dawajcie co tam jeszcze macie w tych waszych ładowniach! — woła wesoło do kelnerów, tych domorosłych piratów. — A może macie gdzieś kawior, no to dawajcie szybko, please, widzicie przecież sami, jakie zebrało się towarzystwo!

Tego wieczoru nie ma żadnych starć z kelnerami, oni też są dla niego uprzejmi, bo on tu dziś gospodarzem, on dysponuje orkiestrą. Chcecie szampańskiego? No to pijcie na zdrowie! Macie ochotę na „Piracką krew”? Please!... I już pojawiają się na stolikach kielichy z tym kurajowskim koktajlem, czarnym i szatańskim; nawet sam Czerednyczenko nie potrafił zdobyć przepisu na jego przyrządzenie, pozostanie on tajemnicą firmy.

Popłynęły życzenia, gratulacje, toasty; kierownik robot próbował odczytać przemówienie z kartki, ale za-

głuszono go śmiechem i złośliwymi uwagami, więc machnąwszy ręką zawołał tylko:

— Aby nam się!...

Przyjaciel mechanik był nastrojony poetycko: w sadzie bywają różne jabłonie, jedna aż ugina się pod ciężarem owoców, inna stoi jałowa, martwiąc się, że niczego nie urodziła...

— A przed nami właśnie ta jabłoń, co obrodziła bogato! — wskazał na łysinę solenizanta. — Więc cześć i chwała tej jabłoni!

Jahnycz, rozpiąwszy bluzę, siedzi rozgrzany znów z tym błyskiem w oczach pełnych życia. Inna, którą orionowiec posadził naprzeciw siebie, nie mogła poznać wuja: jakby zrzucił z siebie przynajmniej dziesięć lat. Jest szczęśliwy, widząc wokół załogę przychylnych i życzliwych mu ludzi, którzy zebrali się tu dla okazania mu swego szacunku.

— Przyjaźń — mówi wzruszony, obejmując radośnym spojrzeniem zebranych — to dla nas, ludzi morza, sprawa najważniejsza. Mogli przecież o mnie zapomnieć, wypisać z życia jeszcze żywego, to się przecież zdarza; no ale — jak widzicie — stało się na szczęście dla mniej inaczej. No więc dziękuję za wszystko wam, marynarze, i wszystkim tu obecnym. I tak sobie myślę: skąd tyle szacunku u ludzi? Szeregowy wyrobnik morski. Gdybyś, powiedzmy, wydobywał z głębi ziemi węgiel albo wsławił się na kombajnie lub wynalazł jakąś witaminę przeciw grypie... Tymczasem życie podrzuciło ci rzemiosło, można powiedzieć, jakies' niepoważne: zawiązuj węzły, szykuj płótno na żagle i chwytaj w nie wiatr... Aha, nauczyłem się jeszcze wypychać ptaki i zwierzęta, no i liznałem trochę tej rtęci z Lend-lease. Ale co w tym nadzwyczajnego, zwykła praca. Niekiedy nawet wydaje mi się...

— Niech się nie wydaje — przerwał wesoło Oksen,



już trochę podpity, naruszając ceremoniał. — Nie powinno się mówić człowiekowi komplementów w oczy, no ale ponieważ wkrótce się rozstaniemy, bo zabierają mnie na inną budowę, więc pozwolę sobie publicznie powiedzieć panu, Andronie Huryjowiczu, co myślą o panu wszyscy nasi chłopcy: jest pan Człowiekiem z dużej litery! I proszę tu nie przesadzać w swej skromności i nie pomniejszać się. — Młody Hucuł wstał w tym momencie, chcąc zademonstrować tym swój szacunek dla solenizanta, a również i po to, żeby wszyscy dobrze słyszeli. — Jeśli chodzi o mnie, to pańską naukę zachowam na całe życie, dzięki panu zrozumiałem wiele rzeczy. Może pan tego nie dostrzega, ale Oksen zmądrzał, od kiedy pana poznał. Myślę tak: jest praca i jest odwalanie pracy, jest zwykłe rzemiosło i jest artyzm pracy. Pan potrafił nas wszystkich zapalić swoim umiłowaniem pracy, zaraził nas pan swoim twórczym niepokojem, kiedy ubierał pan tę łajbę w szaty swej fantazji. Tu nie popadniesz w drzemkę ani marazm, kiedy obok przez cały czas ten wszędobylski nauczyciel, ten wymagający gderacz...

— Ładna mi charakterystyka... Thank you — Jahnycz udawał obrażonego, widać jednak było, że słodki dla niego ten karpacki miód.

Wreszcie w przerwie między toastami przyłączyli się do życzeń również kursanci, zapewniając, że ich szkolny statek ciągle tęskni za swoim majstrem.

— To się może nawet wydać komuś śmieszne — mówił Zabołotny, patrząc na Innę — ale gdy tylko na „Orionie” coś nie w porządku, to koledzy z załogi zaraz skłonni są przypisać to nieobecności naszego weterana. Bez Jahnycza, mówią, ciągle nam czegoś brakuje. Powiązał węzłami najlepsze wiatry i zabrał je z sobą... A to płótno żaglowe nie takie, a to wiatr zadmie nie ten... Oficer oświatowy mówi z uśmiechem: może bra-

kuje po prostu jego gospodarskiego oka? Tylko bez mistyki, chłopcy, w każdym przypadku szukajmy konkretnych przyczyn... Ale, mówiąc szczerze, to chciałoby się, żeby on czasem pogderał na nas, a kiedy zaryczy sztorm, żeby czuło się koło siebie chodzący żywy talizman... Mam nadzieję, Huryjowiczu, że nie obrazi się pan za to określenie?

— Nazywaj mnie choćby i pitekantropem!

Słowa kursanta były dla Jahnycza największą nagrodą. Bo młody adept marynarki mówił już o okresie, w którym orionowiec niejedną noc się męczył, czując się człowiekiem-złomem, wyrzuconym za burtę na pożarcie rekinom starości i samotności. Był przekonany, że nawet z pamięci go wymazano, ugiął się pod naporem bolesnych myśli. Okazuje się jednak, że nie zapomnieli, pamięć o nim jest na „Orionie” ciągle żywa! Chciałby cały przejść w tych młodych z „Oriona”, przelać w nich całą swoją duszę, żeby do mogiły poszła tylko sama skorupa, jak od orzecha.

— A gdzież, chłopcy, smażone byczki? — przypomina wesoło kelnerom. — Gdzie ta wasza królewska potrawa?

Na stolikach zjawiły się również byczki. Najpierw postawiono pełny talerzyk przed Jahnyczem, ale on przesunął go do przyjaciela mechanika.

— Please, stary byczkołowco... Widzisz, jaki ci orzeł usługuje? — a podawał ten sam Kandybenko, którego Jahnycz przepędził z trzaskiem za zaśmiecanie łajby. — Też mi kadry! Zwróć uwagę, jak pasuje do niego ten zbójnicki kolczyk w uchu...

Na statku było coraz weselej. Zjawił się wopista z akordeonem, zastępuje wrzaskliwy dżez, co Jahnycz przywitał z ulgą.

— Zagraj, zagraj coś o morskiej dali — woła do przyjaciela.

Rozpłomieniona i roześmiana Nelka, siedząca w towarzystwie górników, wstała ze wzniesionym kieliszkiem szampana i zwróciła się do akordeonisty.

— Wypij, Dżafare, i zagraj jakąś ognistą polkę, może uda się zwabić do Kurajówki jakiegoś górnika na męża.

I gdy tylko rozległy się pierwsze tony, porwała do tańca dyrektora sanatorium, poważnego mężczyznę w okularach i zakręciła nim jak wicher, a gdy ten trochę ochłonął, zaczęła coś wesoło szczebiotać; może o synu, że taki z niego zuch, prócz gwiazdnego globusu zdobył gdzieś jeszcze atlas powierzchni Księżyca... Niedawno pokazał ten atlas Jahnyczowi.

— Po co ci, chłopcze, ta pustynia, te martwe krater-y? — spytał ze zdziwieniem orionowiec.

— Dla kontrastu... Żeby jeszcze bardziej kochać naszą planetę!

Tak dziś wszystko idzie tu składnie, tyle jest radości, żadnej kłótni ani bójki, tworzą się spontanicznie pary, coraz to nowe włączają się do tańca. Raduje się serce Jahnycza, radują się jego oczy, kiedy widzi, jak Oleg Zabołotny, wysoki i postawny chłopak, zaprasza Innę do tańca, jak ją delikatnie prowadzi w takt starego walca. W tym tańcu wyglądają jakby stworzeni dla siebie, wpatrzeni w siebie jasnymi i czystymi oczami w milczeniu, bo słowa są zbędne.

Wszystko ożyło wokół orionowca, rozweseliło się, rozradowało, „piraci” tak zręcznie manewrują tacami między stolikami, nawet te fantastyczne ryby Oksena, płynące po boazerii, uśmiechają się do Jahnycza.

Wszystko tu już kręci się w kółko: jedni wstają i wychodzą, inni, nawet mało znani solenizantowi, podchodzą ciągle do niego z życzeniami; podchmielony Oksen zaczyna śpiewać dowcipne i frywolne kołomyjki, niestety nikt nie potrafi ich podchwycić, nawet —

z wyjątkiem tynkarki Tasi — nie znają „Czerwonej ruty”.

Wokół tłoczno i gwarno, od tańców aż pokład się trzęsie. Z dołu dolatuje donośny głos Czerednyczenki, który się spóźnił, zatrzymany na jeszcze jednej jakiejś konferencji; przyjechał jednak, wyczuwając na odległość którymś tam zmysłem, że tu się coś odbywa. Wchodząc po trapie na górę porozumiewa się po drodze z kelnerami i kucharkami i pyta, gdzie tu ucztuje ten słynny wilk morski, którego świat zawdzięcza Kurajówce.

— Czy wy rozumiecie, obiboki, że Jahnycz, to nasza legenda?! — woła do kogoś. — Jak umrze, to drugiego takiego już nie będzie!

Zjawiwszy się na pokładzie z miejsca chwyta sołnizanta w swe potężne ramiona.

— No to jak, bracie: kura czy nie kura?

Odsuwa podstawiony mu kieliszek z „piracką krwią”, bo nie wie, z czego robi się ten czarny napój, a poza tym „motor” daje znać o sobie (pokazuje na serce), to już nie te czasy, nie to zdrowie; kiedy się było młodym, wyszło się w Sewastopolu na Graftską, wychyliło jednym duszkiem szklankę, zakąsiło rękawem marynarskiej kurtki i szło się na spacer...

Przysiadł się do mechanika i rozmawiają jak starzy znajomi. Czerednyczenko oczywiście o prognozach urodzaju na ten rok i o tym, jak to kiedyś na jednym z pszenicznych łąnów rozmnożyły się myszy. Pszenica jak oczeret, a tu myszy jak mrówek w mrowisku. Najpierw podgryzają łądygę, a gdy ta się przewróci, wtedy już na ziemi wygryzają młode ziarno. I jak tu się bronić? Czym? Ale oto zjawiły się orły. Nie było ich chyba ze sto lat, myślano, że zupełnie już wyniosły się ze stepów, aż tu nagle całe ich eskadry, po niebie płyną setki a może i tysiące, i już pikują i tłuką na polach

tę mysią horde! Wytłukły do czysta i znów zniknęły gdzieś w niebie... Czy to nie dziwne? Czy to nie mądrość przyrody?

Po spiekocie dnia lekko tu się oddycha. Od morza wieje łagodny wiatr, chłodząc rozpalone twarze, ciepła noc zagarnia statek, na którym wszyscy tak się dobrze czują i gdzie Jahnycz tak hojnie gości swych przyjaciół.

— Ano, smyki, chodźcie no tu, please, dajcie coś jeszcze dobrego! Niech ludzie się weselą!

Będzie tu śpiewu i wrzawy aż do zenitu tej południowej nocy, kiedy cały nieboskłon, rozpięty głęboko nad morzem i stepem, zajaśnieje jak olbrzymi gwiazdny atlas nieba — tylko wpatrywać się weń i odczytywać gwiazdy.

...Wybrzeżem idzie dwoje ludzi. Dokąd? Jakie to ma znaczenie... Idą w bezludną i gwiazdzistą noc, nad nimi mleczna droga lśni jakby tylko dla nich i tylko do nich dwojga należy ta wspaniała noc z jej odwieczną zagadką budowy Kosmosu...

Kiedy przemierza się w nocy ocean, to ma się wrażenie, jakby się płynęło przez wszechświat, przez bezkresne przestrzenie wiecznej materii, wiecznego bytu. I, nigdzie tak jak podczas rejsu, w nieprzeniknionej mgle, na bezbrzeżnych wodach, nigdzie nie odczuwa się w takim stopniu swojej więzi z nieskończonością i z realnością... I nawet jeśli jesteś tylko uczniem szkoły morskiej, nafaszerowanym wiedzą o nawigacji, konstelacjach gwiazdnych, prądach morskich i takielunku, to coraz częściej myślisz nie o tych mądrościach, lecz o tym, kim jesteś, po co istniejesz i jakim masz przepłynąć w tym swoim jedynym i niepowtarzalnym dla ciebie rejsie — rejsie swego własnego życia.

„Mówi moimi słowami” — dziewczyna uśmiechnęła się mimowolnie.

— Chyba bardzo was poganiał?

— Nic podobnego. Ujął mnie właśnie swoją delikatnością, taktem, wrodzoną wrażliwością. Kiedyś na „Orionie” zauważył, że się rozklejam. Istotnie miałem taki okres: jakaś chandra, apatia, wstyd nawet przypominać. Przeżywałem kryzys. Na statku to jednak katorżnicza robota, nowicjusz niekiedy żałuje, że związał się z morzem, jego sytuacja wydaje się mu beznadziejna. Jahnycz jakby mi zajrzał w głąb serca. „Chodź no tutaj, chłopcze!”, woła mnie kiedyś. Byłem pewny, że chce mnie napędzić do jakiejś roboty, każe coś czyścić albo szorować pokład. A on zaprowadził mnie na jego koniec, posadził obok siebie, a był właśnie taki gwiazdzisty wieczór jak dziś, i powiada: „Powiedz, chłopcze, co się z tobą dzieje i skąd się to wzięło?” Co mam mówić, czym się chwalić? Jeszcze do niedawna wszystko w życiu układało mi się pomyślnie i przyjemnie. Wychowywałem się pod ochronnymi skrzydłami ojca, żadnych trudności, żadnych kłopotów, wszystko przychodziło gładko i lekko. Jakie mógł mieć kłopoty syn dplomaty, który rósł na manganowych sokach i do piętnastego roku życia nie miał pojęcia, na jakim drzewie rośnie chleb nasz powszedni. Nie tak jak mój przyjaciel Szabljenko, którego na fermie życie hartowało od dziecka, więc i szkoła morska nie była dla niego ciężka.

— A czy pana ktoś zmuszał do wstąpienia do tej szkoły?

— Nie, sam chciałem. Naczytałem się różnych książek, a poza tym przyjaciel ojca był attaché morskim i wiele opowiadał o życiu marynarzy. No to jazda do szkoły morskiej! Wyobrażałem to sobie naiwnie, jak wyobraża sobie wielu młodych ludzi: statek biały, szlaki błękitne, życie różowe... Przez pierwszy miesiąc, kiedy już jako kursanci zbieraliśmy pomidory w pań-

stwowym gospodarstwie rolnym, było jeszcze jako tako, ale potem... Bo prawdziwym próbom uczniowie zostają poddani dopiero później. I zaczynają wówczas zdawać sobie sprawę, jaki to jest ciężki zawód. W równym stopniu pociągający, co bardzo ciężki. Zwłaszcza od kiedy rewolucja naukowo-techniczna wdarła się również na morze. Powiedzmy, dla radiotelegrafisty na statku, który w ogóle nie wychodzi z kabiny, obcując tylko ze swoją aparaturą, wynika problem samotności. Według zachodniej statystyki zaznacza się stały spadek zawodowych zainteresowań młodzieży pracą na morzu; to zagadkowe zjawisko określa się jako drift to the shore, czyli ucieczkę na brzeg.

— A pan wbrew tej tendencji w kierunku przeciwnym? — zauważyła z uśmiechem dziewczyna.

— Tak, ale może to właśnie mnie uratowało. Mogłbym się stoczyć, pójść na dno, bo, jak mówi Jahnycz, zatapia nie morze, lecz kałuża. Nawet nie zauważyłem, jak robi się ze mnie lekkoduch i cynik, nie dostrzegałem symptomów swojej wczesnej znieczulicy, mogłem przejść obojętnie obok czyjegoś bólu, nawet wobec ojca zacząłem zachowywać się arogancko, okłamywać go i wykorzystywać...

— To zupełnie do pana niepodobne — wyrwało się cicho Innie.

— Ale proszę sobie wyobrazić, że jednak tak było — uśmiechnął się. — A jeśli już zacząłem, to wyświadczam się do końca... Słowem rozbisurmanił się chłopak, używając określenia Jahnycza. Również i tu nie zdawałem sobie sprawy, jak zanika we mnie to co pierwiastkowe, jasne, czyste... I byłbym się zupełnie zbisurmanił, gdyby na mojej drodze w najcięższej chwili nie stanął właśnie Jahnycz. Nie mam dotąd pojęcia, jak on się domyślił, że zamierzam rzucić szkołę morską. Domyślił się i spowodował, że się opamię-

tałem, powstrzymał mnie od tego kroku, a być może uchronił mnie i przed upadkiem. Tak mnie czymś poruszył, że odkryłem przed nim swoje myśli i swoje serce, jak teraz przed panią. Dzięki niemu w nowym świetle ujrzałem teraz swoich rodziców, szkołę morską i siebie samego w przyszłości. Tak, pomógł mi wzmocnić się i okrzepnąć wewnętrznie. Nie wiem, jaki jest pani stosunek do medycyny...

— Właśnie jestem medyczką.

— Tym lepiej. Otóż niektórzy lekarze marynarki twierdzą, że po kilku miesiącach pływania na morzu w organizmie ludzkim dokonują się fizjologiczne zmiany, następują też przemiany w psychice. U mnie zaczęło się od zmian charakterologicznych, i to dość skomplikowanych... Po tym, co powiedziałem, ma już chyba pani wyobrażenie, czym jest dla mnie nasz „Orion” i ten nasz Jahnycz...

— Ciężko przeżył rozstanie z „Orionem”.

— Niestety było to nieuniknione.

— Czy to prawda, że dni statków żaglowych są policzone?

— Nonsens! W każdym razie uważam wszelkie dyskusje na ten temat za bezpodstawne. Oczywiście epoka żagli to dla ludzkości jego młodość, poezja młodości... Ale twórcza, śmiała myśl projektuje już gigantyczne żaglowe statki przyszłości, które będą mknąć przez oceany z olbrzymimi ładunkami i łączyć kontynenty... Nie koniec na tym. Słoneczny wiatr, odrywający się od korony słońca, popędzi w dalekie światy żagle kosmicznych Kolumbów! Proszę sobie wyobrazić, Inno, że marzy już o tym wielu dziwaków, do których i ja należę. Żagle i bezkresne przestrzenie zdolne są zauroczyć człowieka. To chyba jakieś czary — zaśmiał się.



— Możliwe. Odwieczny pociąg do czegoś nieznanego... Człowiek odczuwał go od niepamiętnych czasów i zawsze będzie odczuwać.

— Można zrozumieć naszego Jahnycza, dlaczego dotąd jeszcze nie zaznał spokoju.

— Bardzo mu wszyscy współczujemy. Na „Orionie” uważa się, że Jahnycz przynosił nam szczęście. Powiem pani w sekrecie, że polecono mnie i Szablience przyjrzeć mu się przed naszym nowym rejsem, być może najbardziej z dotychczasowych odpowiedzialnym. Ale jestem mu wdzięczny również i za to, że dzięki niemu mogłem na tym wybrzeżu poznać panią, Inno... I pomyśleć, że moglibyśmy się rozminąć i nasze drogi nigdy by się nie skrzyżowały... Proszę mi powiedzieć — zatrzymał się nagle i spojrzał na nią jak zaczarowany — czy pozwoli mi pani pisywać do siebie?

Dziewczyna stała milcząca w jakimś radosnym podnieceniu.

— Pozwoli pani, Inno?

Skinęła głową, oślepiając go jasnym spojrzeniem.

Poszli dalej tym łagodnym brzegiem, i chcieli, żeby nigdy się nie skończył, i żeby morze zawsze szumiało tak cicho i rytmicznie, i żeby miękko wyłaniały się z ciemności diuny, wydma za wydumą, bo w tej rozgwieżdzonej, ciepłej, pełnej tajemnic nocy jest przecucie czegoś pięknego, najpiękniejszego, z czego być może rodzi się pierwszy kiełek największego cudu życia.

Nawet na tych żyznych ziemiach chyba nigdy jeszcze nie było takiego urodzaju jak w tym roku. Pszenica najlepszych gatunków — aurora i kaukaska — faluje na tle smugi lasów jak złote morze. Nie wymro-

ziło jej zimą, nie spaliły jej suche, gorące wiatry, nie powaliły burze — będą wspaniałe zbiory. Takich kłósów nawet starzy ludzie nie pamiętają.

Czerednyczenko śmiało więc telefonuje do władz rejonowych: Toki będą się uginać, zatopimy zbożem wszystkie elewatory!

Centralne klepisko kurajowskie — harman, jak z uporem nazywa je Czerednyczenko — jest już czysto wymiecione, chociaż nie ma na nim jeszcze nawet ziarenka zboża. Znów przybyli na żniwa z ciężarówkami chłopcy z jednostki wojskowej, inni niż w ubiegłym roku, rozbijając namioty i instalując radiostację w pobliżu tych samych ferm. Nad stepami jasny błękit, którego nie przesłania jeszcze żniwna kurzawa.

Wszyscy czekają, czekają...

I wreszcie nadchodzi ten dzień. Rozpoczyna się od muzyki i śpiewu. Cała Kurajówka wyległa w step na święto pierwszego snopa. Ludzie odświętnie ubrani, spalone wiatrem twarze lśnią radością: doczekali się. Stoi pszenica, przyrumieniona słońcem, śląc żniwiarzom gorący oddech samego życia.

Na świeżo zbitej z desek estradzie chór dziewcząt w barwnych wstążkach, zwrócony twarzami do pszenicy, śpiewa hymn urodzaju, głosząc chwałę ludzkiego trudu.

Inna Jahnycz doznała prawdziwej radości twórczej, układając dla kurajowskiego chóru tę właśnie pieśń, „Dumę o stepach”. Nikt nie zamawiał u niej tej pieśni, tak jakoś sama wynikła, wyśpiewała się, jak potrzeba serca, jego wezwanie, jako apoteoza wolności. Wszystko co dziewczyna przeżyła podczas tych ciężkich miesięcy razem z ludźmi, co przemyślała w samotności, czym się niepokoiła, czego oczekiwała — rozkwitło bujnie w ciągu jednego ranka, znajdując w ludzkich sercach pełny rezonans. „Na czumackich szlakach, na

gorących wiatrach” — dolatują do orionowca słowa tej nowej pieśni kurajowskiej, i jakby całe życie przepływa przed nim: z głodnym dzieciństwem, z burzliwą młodością, kiedy wykonywał w Pireusie zadania Kominternu, i ze straszliwymi dniami wojny, która nie ziarno, lecz czarne nieszczęście i śmierć siała na tych stepach... Ale stepy znów ożyły, ożyły pod pokojowym jasnym niebem, i niwa dzwoni pełnym kłosem, a jego umiłowany „Orion” znów rusza w kolejny rejs...

Tak, wkrótce mają wyjść w morze. Widzi przystań i swój ukochany żaglowiec, który jest już gotowy popłynąć aż na otwarte wody Atlantyku. Wydaje się taki nieważki, lekki, jak skrzypeczki, a jak śmiało będzie stawiał czoła rozszalałym wiatrom i falom, nacierającym całymi górami... Oto idą już w stronę „Oriona” kursanci z wyższej szkoły morskiej w pięknych mundurach marynarskich, powiewają i lśnią wstążki marynarskich beretów. Na młodych mądrych twarzach zamyślenie. Nie widzieli jeszcze prawdziwych sztormów, żywiołowe burze nie wytrząsały jeszcze z nich duszy; idą małymi grupkami, po dwóch, po trzech, z walizkami i plastikowymi torbami w rękach, ten z gitarą przewieszoną przez ramię, tamten z książkami pod pachą, na czytanie których nie znajdzie chyba czasu. Zadbani, spokojni. Nie wiedzą jeszcze, co ich czeka, gotowi są jednak na przyjęcie wszystkiego z dzielnością i odwagą młodości. Jahnycz w wyobraźni wchodzi do swojej żeglarskiej pracowni, kładzie na znajomy stolik swój wierny naparstek-hardaman, ogląda ciasno zwinięte płótno żaglowe, wygotowane, nasyczone olejem, wciąga w płuca nie dający się z niczym porównać zapach smoły i lin; aż odurza go ta woń i cierpki, słony oddech morza, który miesza się teraz z gorącym, słodkawym oddechem zboża...

Inna stoi obok niego w białym kitlu przewiązanym

paskiem, który uwydatnia jej zgrabną talię — przybyła tu z krótką prelekcją medyczną dla żniwiarzy — i słucha w skupieniu, jak chór wykonuje to, co ułożyła na święto żniw, poświęcając swą pieśń bezkresnym łanom zboża i niebu jasnemu, przyrodzie i człowiekowi, jego świętej miłości do ziemi ojczystej.

Czarne oczy dziewczyny znów są pełne blasku i światła.

Kombajniści w kombinezonach ustawili się ze swoimi maszynami wzdłuż ładu, poważni, uroczyści, pochłonięci śpiewem i zamyśleni. Uśmiechną się dopiero wówczas, gdy dziewczęce ręce włożą im na szyję wianki z pierwszych świeżych kłosów. Taki jest rytuał w tym dniu, w święto pierwszego snopa.

Z głębi ładu zboża wyłania się jeździec, podjeżdża galopem z pękiem kłosów w wyciągniętej dłoni; w tym momencie pieśń potężnieje, osiąga swoje apogeum. Chłopak zeskakuje z konia, zaczepił o strzemię i omal się nie przewrócił w tej uroczystej chwili, utrzymał się jednak na nogach; blade z przejęcia rzuca się do przewodniczącego Czerednyczenki, już stoi przed nim w napięciu, świadom ważności chwili, wyprężony, w niecodziennych niebieskich szarawarach, ściągniętych szerokim, czerwonym pasem.

— Oto pierwsze kłosa! — melduje, podając przewodniczącemu pęk zżętej pszenicy.

Czerednyczenko też dziś wystrojony jak na defiladę, ze Złotą Gwiazdą na piersi, góruje nad zebranymi potężną sylwetką stepowca. Przeżywa dziś podwójną radość: tu obrodziło zboże, a gdzieś w NRD urodził się wreszcie wnuczek.

Pierwsze kłosa rozebrali agronomowie, brygadziści, wąsaci weterani kołchozu; każdy już wyłuskuje powoli ziarno na dłoń, próbuje taksując na ząb, kiwa głową w stronę przewodniczącego: można, już czas. I cho-

ciaż więcej tu rytuału niż istotnej potrzeby, bo ci, do kogo to należy już nieraz, i wczoraj, i jeszcze dziś rano zaglądali do kłosów i sprawdzali, czy dojrzałe, jednak ludowy zwyczaj trzeba uszanować, wszyscy traktują go z pełną powagą. Ludzie przycichli, Czerednyczenko oczekuje oceny od każdego, komu razem z kłosem daje się przywilej wypróbowania i sprawdzenia; potem zbiera wszystkie „zezwolenia” na żniwa w jeden snop swojej ostatecznej decyzji, wołając uroczysto:

— Ludzie, zboże dojrzało! Zaczynamy żniwa! Komu powierzemy honor zżęcia pszenicy na pierwszy snop?

Przebiega poważnym spojrzeniem po zebranych, po najbardziej zasłużonych, po najstarszych — i wzrok jego zatrzymuje się na krępej postaci orionowca Jahnycza.

— Może jemu to powierzymy, Neptunowi mórz? Jak tam, Huryjowiczu, jeszcze nie zapomniałeś?

Rozległ się aprobujący gwar. I już podają Jahnyczowi kosę, przedhistoryczną, wysłużoną, z wytartym do połysku ostrzem.

— Tylko żebyś nie zawiódł!...

Oczy Czerednyczenki śmieją się zachęcająco do towarzysza dawnych lat. Jahnycz, biorąc do ręki kosę, czuje, jak całą jego istotę przepelnia potężne wzruszenie.

Z suchym chrzęstem kosa wrzyna się w złoty gąszcz pszenicy; i chociaż orionowiec odczuwa niezgrabność nie przywykłych do koszenia rąk, kosi jednak zawzięcie, kłos pada równo przy kłosie, i z każdym zamachem kosy siła kosiarza rośnie, czuje, jak wchodzi w niego dusza ziemi.

Hej tam ponad jarem kosiarz żyto kosi...

— Dobry z niego kosiarz — słyszy się zewsząd. — Nie zapomniął. Patrzcie, jakim zrywem kładzie pokos!

A przy nim uwijają się zręczne ręce młodej, również odświętnie ubranej kobiety, która wiąże snopy; dobiera kłosa z macierzyńską dbałością, skręca lekko jednym ruchem powrósło, naciska zebrane na snop łodygi kolaniem, związuje mocno powrósłem — i oto złoty snop z pochylającymi się na wszystkie strony kłosami stoi przed Czerednyczenką jako jego zniszczone marzenie.

— Dziękuję wam, ludzie! Pozdrawiam was, robotnicy ziemi, z pierwszym snopem — woła wzruszony przewodniczący. — Żniwiarze, mechanicy, kombajnści, do maszyn!

Stepowi gwardziści rzucają się do swoich nowiutkich, przybyłych prosto z fabryki „Niw” i „Kłosów”, w biegu zrzucają z szyi wianki — święto się skończyło, zaczyna się praca! — i zajmują miejsca przy kierownicach kombajnów. Ruszyli!

Jak w daleką drogę Inna odprowadza zamyślonym spojrzeniem ojca na jego podwyższeniu oraz jasnowłosego brata nawigatora. Kombajny odpływają coraz dalej w czerwonozłote ziarniste morze, wzniesając wokół siebie kurzawę, która już jutro uniesie się i rozwinie potężne żagle nad całym stepem.

Po święcie pierwszego snopa zaczynają się długie, pracowite, pełne trudu dni powszednie. Ludzie rozjeżdżają się, na otwartych platformach ciężarówek migocą kolorowe wstążki dziewcząt, kronika filmowa pakuje swoje kamery.

Od Kurajówki jedzie szybko motocyklista, Nelki Saszko, i zatrzymuje się przed Jahnczem.

— Radiogram do pana!

Orionowiec wziął blankiet, potrzymał przez chwilę w rękę, i jakby nie wierząc, że to do niego, podał Innie.

— Przeczytaj.

Zapraszano Jahnycza do wzięcia udziału w prestiżowym rejsie „Oriona”.

30

Potem będą znowu księżycowe noce i zaczną się pierwsze jesienne sztormy. I gdzieś stamtąd, z niewiadomego, jak z głębin wszechświata, nieznana siła będzie gnać i gnać w księżycowej poświacie fale na ten brzeg, gdzie na piaszczystym wzgórku, na wydmie, ledwie majaczy postać zamysłonej dziewczyny.

W rozmarzonym oczekiwaniu stoi człowiek, a morze huczy („gra”, jak śpiewało się w pieśniach), i jest coś magicznego w tych jego odwiecznych niepokojach i lśniących nieskończenie w księżycowej poświacie falach.

I oto o tej porze, kiedy całe wybrzeże kołysane jest do snu potężną muzyką morskiego przypływu, kiedy na niebie świeci jasno samotny księżyc, a rozrzucone chmury bieleją napełnione jego światłem — wychodzi na spotkanie z księżycowym przypływem para białych gęsi. Owidiuszowych lub może Korszakowych. Dzień spędzają ukryte w burzanach, ale gdy tylko zapadnie noc... Co je podrywa i prowadzi tu, na bezludne piaszki brzegu? Na co czatują? Co odnajdują dla siebie w tych jasnych, rozedrganych nocach? Może podrywa je jakaś prasiła instynktu, odległe wspomnienie o czasach, kiedy jeszcze umiały latać? A może jeszcze teraz w swoich ptasich snach widują siebie w locie i odczuwają napięcie skrzydeł? Czy też nie daje im spać właśnie ta magia nocy z szumem morza, z księżycem, z wysoką falą?

Gęsi też zatrzymują się tam, gdzie ugrzęzła na brze-

gu Jahnyczowa arka, która tak jak one nie zerwie się już nigdy do lotu, zamieniona w „piracką” tawernę. Ludzi teraz nie ma, ale pałą się zawieszono na burtach latarnie starodawnego kształtu; kiedyś takie rozsiewające mdłe światło latarnie strzegły ciszy portowych uliczek średniowiecznych miast. Nimfa-rusałka w wieczornym oświetleniu sprawia jeszcze większe wrażenie: wygląda tak, jakby wylatywała z piersi statku, żywa i uśmiechnięta, by pomknąć ponad wzburzonym morzem ku swoim odwiecznym marzeniom...

Tam, gdzie latem drżała księżycowa ścieżka Owidiusza, teraz przewalają się z rykiem fale.

Kiwając się kroczą z powagą brzegiem ptaki, pozostawiając na mokrym piasku ślady rozczapierzonych palców. Od czasu do czasu porozumiewają się gęganiami — tylko im zrozumiała mowa.

Podeszły, zatrzymały się — przed wydumą bieleją dwie grudki śniegu. Ujrzawszy samotną postać na brzegu zdają się pytać:

— Ktoś ty?

Postoją, pogęgają, i ruszają dalej.

Jest jakaś smutna zagadkowość i jednocześnie jakaś atawistyczna siła, która wypędza je co noc z nagrzaných burzanów pod same bryzgi ryczących fal — fal nieskończoności. Coś je tu przyciąga, jakby czatują na kogoś w bezsenne noce, czegoś nasłuchują w tej burzliwej bezkresnej nocy.

A w tym samym czasie gdzieś na dalekich morzach w oślepiającym słońcu „Orion” leci na skrzydłach wszystkich napiętych żagli do swych rodzinnych brzegów.





WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1979

---

Wydanie I. Nakład 10 000 + 272 egz. Ark.  
wyd. 12. Ark. druk. 16,5. Papier druk. sat.  
kl. IV, 70 g. 82×104 cm. Oddano do składania  
10 II 1979 r. Druk ukończono we wrześniu  
1979 r. Cena zł 35.—

---

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne, Rzeszów  
ul. Marchlewskiego 19. Zam nr 729/79 J-8-134

Cenā zl 35,—

**Polecamy następujące utwory  
przekładowe z literatury ukra-  
ińskiej, które ukazały się na-  
kładem Wydawnictwa Lubel-  
skiego:**

**Jurij Bedzyk**

**BŁĘKIT**

**Iwan Franko**

**OPOWIADANIA**

**ZACHAR BERKUT**

**Oleś Honczar**

**CYKLON**

**TRONKA**

**Petro Hurinenko**

**PAMIĘĆ SERCA**

**Wadym Sobko**

**STADION**

**Taras Szewczenko**

**ARTYSTA**

**KAPITANOWA**

**KSIĘŻNA**

**MUZYKANT**

**WARNAK**

Cena zł 35,-

WYDAWNICTWO LUBELSKIE